JAK MU IDZIE UDAWANIE POLITYKA PRAWICY?

Trzaskowski jak Zelig – próbuje mówić językiem PiS, a nawet Konfederacji

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 9/618 24 LUTEGO–2 MARCA 2025
CENA 12,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Aktywiści Hołowni polują na polskich myśliwych

Rafał Brzoska – kim jest człowiek, który ma być „Elonem Muskiem Tuska"

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288 829
Nakład: 43 500 egzemplarzy

PO CO BYŁA TA WOJNA?

Piszą: Łukasz Warzecha, Piotr Semka, Wojciech Golonka

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

DEKADA CHAOSU I NADZIEI

Od transformacji do frustracji – Miliony Polaków w latach 90. walczyły o lepsze życie, „grając" na bardzo nierównym „boisku"

Polska w mackach mafii – Gangsterzy czuli się bardzo pewnie w pierwszych latach III RP. Słabe państwo kapitulowało przed mafiami

Sprawiedliwi z Nankinu – Japończycy zamordowali w tym mieście ok. 300 tys. Chińczyków. Bohaterscy obcokrajowcy uratowali tysiące osób

Jak Canuck z Jankesem – Wydawałoby się, że Kanadyjczycy i Amerykanie powinni żyć obok siebie jak świetnie dogadujący się kuzyni. Nic bardziej mylnego

Ostatni powstaniec – Stanisław Brzóska był księdzem dowódcą oddziału walczącego w powstaniu styczniowym, stawiając opór jeszcze długo po klęsce zrywu

Nazistowskie zaloty – Hitler przez kilka lat przymilał się do Polaków, starając się przeciągnąć Warszawę na swoją stronę

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl b2ee8dcb6b

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Czas wielkiego wzmożenia

Nie jestem szczególnie pamiętliwy, ale od czasu do czasu robię sobie drobną przyjemność i zerkam, co też jeszcze kilka miesięcy temu pisali o wojnie na Ukrainie różni eksperci. O, naprawdę warto. Zaletą (wadą?) Internetu jest to, że można dziś stosunkowo szybko odnaleźć to, czego się szuka. A więc odnajduję (miłosierdzie każe przemilczeć nazwiska).

Po pierwsze, znawcy nie wątpili, że wojna na Ukrainie prędzej czy później (raczej prędzej) przyniesie klęskę Putina. Najbardziej optymistyczni zastanawiali się nad tym, w jakim kształcie Rosja wyjdzie z wojny. Jedni mówili, że wróci ona do stanu granic z XV lub XVI w., a więc do czasów Wielkiego Księstwa Moskiewskiego. Większość sądziła jednak, że Rosja na pewno straci tereny zajęte po 2014 r., a już z pewnością te, które zdobyła w roku 2022. Nie miała przecież odpowiedniej broni, wszystko się tam sypało. Rosja to była kacapia w stanie agonalnym i musiała się rozpaść. Przekonanie to podsycały nieustanne wieści o wspaniałych postępach ukraińskiej armii. Pamiętam, jak po rozmowie w radiu, kiedy to stwierdziłem, że w sukcesy ofensywy ukraińskiej nie wierzę, do studia po moim wyjściu wtargnął bardzo podniecony redaktor, który oskarżył mnie o małoduszność, defetyzm i tchórzostwo, a następnego dnia dowiedziałem się, iż w ogóle wygaduję głupoty.

Po drugie, nie wątpiono w to, że klęsce Rosji będzie towarzyszył upadek samego prezydenta Putina. Tu możliwości było wiele. Jedni spodziewali się, że rosyjski przywódca będzie ofiarą nieokreślonej choroby – raka, zawału, niewydolności tego lub owego. Bardziej znający się na rzeczy sądzili, że najpewniej zażyje cykutę lub że podadzą mu ją jego najbliżsi współpracownicy. Tak czy inaczej nie było niemal dnia, by w mediach nie pojawiła się informacja o kolejnej śmiertelnej chorobie dyktatora. To, że szybko zejdzie z tego świata, było nie do podważenia. Pytanie brzmiało tylko: Jak?

Po trzecie, panowało przekonanie, że rosyjska gospodarka jest niewydolna i wystarczą nowe sankcje, żeby się rozpadła. Dlatego też większość znawców z zadowoleniem przyjmowała informacje o nakładanych na Moskwę ograniczeniach. Nie przejmowano się też ewentualnymi skutkami sankcji dla Polski. W radosnym uniesieniu PiS i PO licytowały się, która partia głośniej i szybciej zrezygnuje ze wszystkich dostaw rosyjskich surowców. Dominowało hasło: byle nie ruskie.

Po czwarte, mędrcom dużo czasu zabierała kwestia skądinąd poważna, a mianowicie pytanie, które tereny Ukrainy, gdy ta już rozprawi się z Rosją, przypadną do odbudowy polskim firmom. Politycy robili poważne miny i nadymali się, stojąc nad mapami i rozważając, jak będzie wyglądała nasza ekspansja gospodarcza na Wschód.

Po piąte, nikt nie podawał w wątpliwość tego, że skoro po stronie Kijowa opowiedziała się Ameryka, to sprawa jest przesądzona. Amerykanie, utrzymywali najpoważniej w świecie polscy liderzy, nie mogą się wycofać z popierania Wołodymyra Zełenskiego, bo utraciliby wiarygodność, a na to Ameryka nie może sobie pozwolić. Zresztą przewaga i potęga amerykańska nie budziły żadnych wątpliwości. Skoro na Ukrainę popłynęły miliardy dolarów, to musiała ona wygrać. Ostatecznie Waszyngton zawsze mógł zrzucić na Rosję kilka bomb atomowych. Rosyjska broń nuklearna była tylko papierowym tygrysem.

Po szóste, ważnym elementem rozważań było przeświadczenie, że Polska i Ukraina wskutek wojny stały się wielkimi przyjaciółmi. Niektórzy wprost wspominali o powstaniu nowego tworu o charakterze niemal państwowym, co złośliwcy nazywali Ukropolinem. Panowało przekonanie, że Ukraińcy walczą za nas. Niektórzy posuwali się tak daleko, że twierdzili, iż przez swą ofiarę poniesioną dziś Ukraińcy wyrównali rachunki krzywd z przeszłości. Ileż to czytałem kolejnych analiz, z których wynikało, że gdyby nie walka Ukraińców, rosyjskie zagony dotarłyby już do Warszawy. W tej sytuacji każdy głos upominający się o upamiętnienie ofiar Wołynia traktowany był jak przejaw zdrady, tchórzostwa, agentury.

Po siódme, był to czas, kiedy każdy, kto powątpiewał w wyżej opisany przebieg zdarzeń, stawał się natychmiast sojusznikiem Putina, wyznawcą rosyjskiej propagandy, poputczikiem Kremla, ruska onucą, zwolennikiem Moskwy – a to i tak najbardziej parlamentarne określenia. Trzeba było manifestować sympatię do Kijowa, choćby rezygnując ze słuchania rosyjskiej muzyki.

Nie było miejsca na pytania i zastrzeżenia. Wszystko, co mówili Wołodymyr Zełenski i Joe Biden, było święte i słuszne. Przyszłość jawiła się w jasnych barwach: po upadku Rosji Putlera nadciągał świt nowej ery bez wojen i zła. Ukraina musiała zostać włączona do UE i do NATO. Kwestionować to mogli tylko ludzie podli i nikczemni, w najlepszym razie ignoranci, w najgorszym agenci.

Nic dziwnego, że tak wielu po rozmowie Trump – Putin najchętniej usunęłoby z Internetu swoją twórczość. ©℗

eprasa.pl b2ee8dcb6b

TEMAT TYGODNIA

14 ŁUKASZ WARZECHA
BRUTALNA LEKCJA REALIZMU
Poważna polityka i pobożne życzenia

17 WOJCIECH GOLONKA
WSTRZĄS DLA EUROPY

20 PIOTR SEMKA
TRZY LATA WOJNY O NIEPODLEGŁOŚĆ. CZY TO MAŁO?

KRAJ

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
TEN TRZECI
Prezydencka kampania wyborcza

27 JAKUB WOZINSKI
NISZCZARKA PIENIĘDZY PODATNIKÓW

30 ROZMOWA Z KS. DANIELEM WACHOWIAKIEM
ZŁO, NA KTÓRE PRZYZWOLILIŚMY

32 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
WYCHOWAĆ HAZARDZISTĘ

KULTURA

34 PIOTR GOCIEK
AMERYKAŃSCY CHŁOPCY
Wietnam – wojna, która zmieniła Amerykę

37 KRZYSZTOF MASŁOŃ
BARDOWIE – LESZEK CZAJKOWSKI

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, GRA

OPINIE

42 JAN FIEDORCZUK
OPERACJA „NEO-TRZASKOWSKI"
Kandydat PO próbuje mówić językiem PiS, a nawet Konfederacji

45 DARIUSZ J. GWIAZDOWICZ
AKTYWIŚCI HOŁOWNI POLUJĄ NA POLSKICH MYŚLIWYCH

48 TERESA STYLIŃSKA
POLSZCZYZNA NA RÓWNI POCHYŁEJ

HISTORIA

50 ROBERT KOSTRO
MIASTO NIEPOKORNE
Recenzja książki Piotra Semki

54 PAWEŁ WITASZEK

OWSZEM, CHURCHILL NIE BYŁ LOJALNY WOBEC POLSKI

ŚWIAT

58 WITOLD REPETOWICZ
BLISKI WSCHÓD WEDŁUG TRUMPA
Piękny sen może się zmienić w koszmar

62 MACIEJ PIECZYŃSKI
KOLONIZACJA ALBO OKUPACJA

64 PIOTR WŁOCZYK
KRZYŻOWIEC W PENTAGONIE

EKONOMIA

66 RADOSŁAW WOJTAS
PAN NIEBEZPIECZNY
Rafał Brzoska – kim jest człowiek, który ma być „Elonem Muskiem Tuska"

70 JACEK PRZYBYLSKI
WOJNA MÓZGÓW

STYL

74 JOANNA BOJAŃCZYK
KUP! I TO ZARAZ!
Kuszenie na ekranie

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (53), PRZYBYLSKI (61), GABRYEL, WARZECHA (73), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), KRATIUK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl b2ee8dcb6b

TYGODNIK POLSKI
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Jose Hernandez/Shutterstock/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKA WYDAWCA
FIRMA RODZINNA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 43 500 egzemplarzy
NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Stara gra w nowej odsłonie i w nowej skali", Piotr Semka, „DRz" nr 7/2025

Szanowna Redakcjo,
do napisania tego listu skłonił mnie artykuł Pana redaktora Piotra Semki pt. „Stara gra w nowej odsłonie i nowej skali".

Chciałem się podzielić takim spostrzeżeniem czy propozycją. Może dałoby się poinformować firmy, które wycofały swoje reklamy z TV Republika oraz tygodnika „Do Rzeczy" z powodów politycznych, że są zarówno telewidzowie, jak i czytelnicy, którzy również rezygnują z kupowania produktów czy korzystania z usług tych firm? Może byłby to jakiś spot reklamowy w TV Republika i ogłoszenie w tygodniku „Do Rzeczy"?

W każdym razie takie firmy, jak: Amica, Oleofarm, Lidl, IKEA, mBank, Żabka, Provident, Tarczyński, Adamed oraz Wawel nie zarobią już na mnie ani jednej złotówki. Nie kupię już nawet jednego czekoladowego „Tiki Taka" z Wawela.

Z poważaniem
Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

Europejska tradycja

Szanowni Państwo,
mniej więcej raz na 100 lat Europa rusza na Rosję.

W XIX w. Napoleon wystawił Wielką Armię w sile 600 tys. żołnierzy wobec 400 tys. wojsk rosyjskich i zamarzył wejść do Moskwy. Jak wiadomo, poniósł sromotną klęskę, po czym nastąpił jego upadek.

W XX w. jego wyczyn postanowił powtórzyć Hitler, rozpoczynając akcję „Barbarossa". Do zdobycia przestrzeni życiowej Niemcy wystawili sześciomilionową armię i nowoczesny sprzęt naprzeciw 4 mln archaicznie wyposażonych Rosjan. Szeroko zakrojony plan oczywiście się nie powiódł i po krótkim czasie Niemcy zostały zmuszone do podpisania bezwarunkowej kapitulacji.

W XXI w. UE deklaruje wysłanie 30 tys. żołnierzy na Ukrainę, by pilnowali interesów Unii i zapobiegali dalszej ekspansji Rosji. Możliwe, że pomysł nie jest tak głupi, jak się wydaje. Pomijając już brak armii i sprzętu, nauczona doświadczeniem Europa wie, że prawdopodobieństwo przegranej jest ogromne. Po co więc daremnie narażać życie milionów? A tradycję należy przecież podtrzymywać!

Z poważaniem
Ewa Kowynia

eprasa.pl b2ee8dcb6b

NA PIERWSZY OGIEŃ

Prawdziwe powody do płaczu

PIOTR SEMKA

Kto dziś z większą swadą gromi Stany Zjednoczone jako kandydat prezydencki niż Szymon Hołownia? Rafał Trzaskowski pytany o ostatnie deklaracje Trumpa uważnie dobiera słowa. Karol Nawrocki też unika bezpośredniej krytyki prezydenta USA. A lider Polski 2050 idzie na ostro. 17 lutego zagrzmiał, że „Stany Zjednoczone muszą potwierdzić, że artykuł 5 paktu NATO wciąż obowiązuje". Dwa dni później zaatakował przywódcę Ameryki za jego wypowiedzi na temat prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskiego. „To absurdalne tezy, które dowodzą braku wiedzy".

Te wyraziste popisy krasomówstwa kandydata prezydenckiego brzmią dość efektownie, ale nie wpływają jakoś na wzrost jego notowań. W sondażu IPSOS dla TVP z 19 lutego Hołownia uzyskał tylko 7 proc. Dwa dni wcześniej w badaniu Opinia24 dla RMF wynik był jeszcze bardziej fatalny – tylko 4,7 proc. Niewykluczone, że ostrą retoryką Hołownia odreagowuje buksowanie swojej kampanii. Po prostu nie ma zbytnio kim jej robić. Struktury partii Polska 2050 są słabe lub powoli zanikają, a formalny koalicjant Hołowni – Polskie Stronnictwo Ludowe – nie ma ochoty wydawać pieniędzy na z góry przegraną kampanię. Jeden z dzienników cytuje działacza ludowców: „Oni [tj. Polska 2050] chcą, by nasze terenowe struktury pracowały na niego [tj. Hołownię]. Bo własnych struktur do tej pory nie zbudowali i raczej już nie zbudują. Ale co my z tego mamy? Figę. Hołownia coraz bardziej zadziera nosa, a my mamy na niego harować?".

Prawie pięć lat temu, w 2020 r., w poprzednich wyborach prezydenckich Hołownia zdobył 13,87 proc. głosów – solidny, trzeci wynik po Andrzeju Dudzie i Rafale Trzaskowskim. Co charakterystyczne, wówczas kandydat Konfederacji Krzysztof Bosak zdobył o połowę mniej głosów od Hołowni, bo tylko 6,78 proc. Hołownia osiągnął tak dobry wynik, bo trafiał do elektoratu zmęczonego długotrwałą wojną Platformy z PiS, bo przyciągnął do siebie część liberalnych katolików, którzy zachwycili się jego popkulturowym fajnokatolicyzmem, i wreszcie – bo korzystał z popularności medialnej zdobytej w TVN.

Tyle że czas płynie i dziś o jego występach w stacji na Wiertniczej już mało kto pamięta. Młodzi, na których liczył, widzą w nim już faceta posuniętego w latach, a w jego wciąż powtarzane obietnice zakończenia politycznej wojny polsko-polskiej nie wierzy już prawie nikt. Rolę, którą w 2020 r. odgrywał Hołownia jako kandydat spoza duopolu PO-PiS, i powiew młodości w polskiej polityce ukradł liderowi Polski 2050 Sławomir Mentzen. A ludowcy, którzy mieli być partnerami, mają już szefa Polski 2050 po prostu dosyć. Lider PSL Władysław Kosiniak-Kamysz nawet nie udaje już, że stanowi z Hołownią zgrany i wzajemnie lubiący się duet. Jeśli PSL wciąż tkwi w sojuszu z Polską 2050, to tylko dlatego, że nie ma żadnego innego partnera.

Dziś Hołownia może z rozrzewnieniem wspominać czasy, gdy przed kamerą wybuchał płaczem wzruszony zapisami Konstytucji RP. Teraz, o dziwo, jakoś nie płacze, choć powodów ma dziś nieporównywalnie więcej. ©℗

FOT. KM PSP POZNAŃ

SZCZĄTKI FALCON 9 SPADŁY NA POLSKĘ

W Komornikach pod Poznaniem i w okolicach Czerska (woj. pomorskie) rozbiły się szczątki rakiety Falcon 9. Rakieta uległa deorbitacji, a jej szczątki powinny spłonąć, ale nie spłonęły... Władze pokłóciły się więc, kto odpowiada za brak ostrzeżenia, że coś może Polakom spaść na głowę. Minister rozwoju i technologii Krzysztof Paszyk wezwał na dywanik szefa Polskiej Agencji Kosmicznej. POLSA twierdzi jednak, że raporty nie dotarły do wszystkich adresatów ze względu na problemy ze skrzynką e-mailową. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl b2ee8dcb6b

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Głupia sprawa. Ledwie Hudson Institute pogroził Tuskowi, że źle się bawi i że dojeżdżanie opozycji oraz „demokracja walcząca" skończą się pogorszeniem relacji z Hameryką, a już nastąpiła ciekawa reakcja: zdwojenie wysiłków w celu zamknięcia do pudła głównych polityków PiS oraz wywalenie z roboty szefowej CBA za to, że nie chciała łamać prawa, to znaczy zdradzać na polityczne polecenie tajemnic śledztwa. Zawsze wiedzieliśmy, że Zły Donald z Sopotu ma kłopoty z dostrzeganiem różnych rzeczy. Jak się okazuje, nie najlepiej u niego także ze słuchem.

Natomiast nie wiemy, czy państwo mają świadomość, że Agnieszka Kwiatkowska-Gurdak, która została zrezygnowana w ubiegłym tygodniu, ma jeszcze jedną pasję oprócz pracy – a mianowicie hoduje pieski chihuahua. I to na masową skalę. Jeśli chcielibyście zobaczyć, jak mieszka była szefowa CBA, to wrzućcie w media społecznościowe hasło „chihuahua uzależnia", a będziecie mogli zobaczyć nie tylko pieski, lecz także sypialnię.

A już tak trochę poważniej. Wyjaśniamy sytuację, gdyż lubimy, a poza tym jesteśmy dobrze poinformowani. Otóż zaostrza się walka o to, kto panuje nad specsłużbami. Z jednej strony nieformalną kontrolę sprawuje gen. Radosław Kujawa. Z drugiej o władzę nad służbami zabiega były szef ABW, czyli Krzysztof Bondaryk, zwany też pieszczotliwie Bondem. Ot, cała historia.

Skoro już mowa o rywalizacji o kontrolę nad specami: zastanawiamy się, kto w minionych dniach rozpowszechniał informacje o rzekomych aferach obyczajowych na szczytach służb. Mamy swoje podejrzenia. Zwłaszcza że te same źródła twierdzą, jakoby dni szefa kolejnej służby, znaczy SKW, są policzone. Jarosława Stróżyka są policzone. Choć to kolega z podstawówki jednego z nas, to płakać nie będziemy.

Tymczasem w kampanii. Sztabowcy PiS z głęboką podejrzliwością spoglądają na sondaże pokazujące zbliżanie się kandydata Sławomira Jerzego Mentzena do kandydata Karola Tadeusza Nawrockiego. Uważają bowiem, że są podkręcane w ramach wojny psychologicznej przeciw PiS. Swoją podejrzliwość argumentują tym, że elektorat PiS jest z natury bardzo wierny i nigdy nie opuszcza kandydatów PiS. No tak, ale cały czas część elektoratu PiS nie wie, że Karol Tadeusz jest kandydatem PiS.

Źli ludzie nie ustają w donoszeniu na premiera Mateusza. Że niby kampania się rozkręca, a on zamiast sercem i ciałem wspierać kandydata Karola Tadeusza, zajmuje się promowaniem samego siebie w szeroko oglądanych i komentowanych filmikach. Otóż mamy dla złych ludzi nieoczekiwaną wiadomość: słyszeliśmy, że Mateuszowi zdarza się szkolić i medialnie trenować kandydata. Aczkolwiek uważamy, że te zbożne działania nie muszą stać w sprzeczności z promowaniem samego siebie.

Wracamy do knowań Złego Donalda z Sopotu. Wielu ludzi zastanawia się, po co właściwie bogacz Rafał Brzoska wdaje się w gierki z obecnym premierem, skoro ten dołuje i krajowo, i międzynarodowo. Nas też to dziwi, ale z innego powodu: otóż bogacz Rafał wspierał bardzo mocno, i to nieraz, niejakiego Szymona Hołownię. Człowiek, który naprawdę wierzył, że Hołownia to nowa jakość, niespecjalnie zna się na ludziach i na polityce.

Z zainteresowaniem przeczytaliśmy jednak listę rekomendacji dotyczących deregulacji przygotowanych dla Złego Donalda z Sopotu przez zespół ekspertów pod wodzą Brzoski. Jesteśmy w rozterce. Z jednej strony chciałoby się napisać, że wszystkie mafie VAT-owskie bardzo by się z tego ucieszyły. Z drugiej – nie chcielibyśmy zadzierać z żadnymi mafiami, nawet jeśli są tylko VAT-owskie.

Sport. Prezydent Wrocławia Jacek Sutryk wyrzucił z roboty prezesa piłkarskiego klubu Śląsk Wrocław, który doprowadził ekipę do ostatniego miejsca w lidze. Nowym prezesem ma zostać gość, który jest kolegą Sutryka, ale za to był dyrektorem zoo. Mamy propozycję dla Peło – jeśli już myślicie o podmianie kandydata Trzaskowskiego na jakiegoś innego, to nikogo lepszego niż prezydent Wrocławia Jacek Sutryk nie znajdziecie. To cała myśl i praktyka Platformy w jednej skromnej osobie. Nawet w aferę Collegium Tumanum się ubabrał.

Za krat. Otóż nasza ulubienica Marta Ejchart, bo już nie Dubois, w kilkunastu pierdlach wprowadza pilotażowy program: telefon w każdej celi. Osadzeni do tej pory mieli bardzo ograniczone możliwości porozumiewania się ze światem zewnętrznym. I to się właśnie zmienia. Złodzieje i mordercy mogą teraz dzwonić, kiedy chcą i do kogo chcą. Musimy przyznać, że koalicja potrafi się odwdzięczyć swojemu najwierniejszemu elektoratowi, który masowo właśnie na nią głosuje.

Życie duchowe. Jeden z prezydenckich ministrów udał się do spowiedzi. Zakonnik go nie rozpoznał, ale zainteresował się, czym właściwie penitent się zajmuje. Grzesznik po chwili namysłu przyznał się, że polityką. – A da się z tego wyżyć? – zainteresował się duchowny.

Sprawy zagraniczne. Niektórzy się zastanawiają, czym tak bardzo prezydent Ukrainy Wołodymyr Ołeksandrowycz Zełenski podpadł Dobremu Donaldowi z Waszyngtonu. Otóż nie tylko tym, że kiedyś nie chciał ścigać przekręciarza Huntera Bidena. Także tym, że przez ostatnie cztery lata Trump znaczył dla niego tyle, co martwa mrówka. Gdyż całkowicie orientował się na swojego frienda wujaszka Joe, znanego jako Biden. Wiewiórki opowiadają, że pierwsze kontakty ludzi Zełenskiego z ludźmi Trumpa nastąpiły dopiero we wrześniu ubiegłego roku. Cóż, zobaczymy, czy Wołodymyr przetrwa na stanowisku do następnego września. ©℗

eprasa.pl b2ee8dcb6b

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Mądrości etapu

Opinia Komisji Weneckiej – miażdżąca dla „przywracania praworządności" przez Tuska i Bodnara – się nie liczy. Tak ogłosiła niezawodna „Gazeta Wyborcza", powołując się na opinię „naukowczyni z Princeton". „Naukowczyni" ta powiedziała gazecie, że „komisja zbłądziła, zaślepiona prawniczym legalizmem", bo zapomniała, że „legalność jest obecnie modnym listkiem figowym, za którym ukrywa się autokracja".

Punktowanie obłudy medialnych hajduków Tuska to nudne zajęcie, tak jest ona powszechna, ale przyznajmy, że tu obłuda i nonsens sięgnęły już szczytów Himalajów. To, co do wczoraj było „praworządnością", której należało bronić do upadłego, obecnie jest „legalizmem", który zaślepia i ukrywa „autorytaryzm". Prawdziwa praworządność wymaga odrzucenia legalizmu i uświadomienia sobie, że rząd, który przestrzegał prawa, choć czasem je naginał, był co do zasady rządem autorytarnym, dlatego sięganie w „rozliczeniach" z nim po bezprawie jest właśnie praworządnością, gdyż robi to „obóz demokratyczny".

Mało obłudy w samej tej pokrętnej konstrukcji, to jeszcze dodatkowo potęguje ją sięgnięcie po opinię pani profesor z USA. Gdy z tego samego kraju płyną opinie krytyczne dla „obozu demokratycznego", ta sama gazeta nazywa to „brutalną zewnętrzną ingerencją w proces demokratyczny". Ale gdy opinia ma być, że Tusk dobry – to „GW" wraca do przećwiczonej metody propagandowego tresowania Polaków opiniami płynącymi z Zachodu w nadziei, że hasło „naukowiec z Princeton" wciąż automatycznie stawia ich na baczność. Kto by tam pamiętał, że to ta sama Alma Mater, która socjologa J.T. Grossa nagrodziła katedrą i tytułem profesora historii za przysługi oddane sponsorom kłamliwą książką o Jedwabnem?

„Tam jest pani Lemańska, która jest neosędzią SN, jest z TK sędzia dubler, są prawnicy z takich krajów jak Węgry" – zdemaskował do wtóru Komisję działacz stowarzyszenia Iustitia sędzia Piotr Gąciarek w wywiadzie dla RMF FM. I skonkludował: „My nie musimy na klęczkach wobec tego organu występować".

No i po Komisji Weneckiej. Już się nie podniesie. ©℗

MAREK JUREK

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

Najważniejsze pytanie

Zrozumienie rzeczywistości to klucz realizmu. A jeśli chcemy zrozumieć współczesną zachodnią prawicę – to trzeba rozważyć pytanie, które wiceprezydent Vance postawił w Monachium. Zarówno odpowiedź, której należy na nie udzielić, jak i samo pytanie, dlaczego padło. Trzeba wzmacniać możliwości obronne – mówił Vance – ale przede wszystkim trzeba wiedzieć, czego chcemy bronić.

J.D. Vance'owi zarzucono zbyt surową ocenę Europy. W istocie była dużo łagodniejsza od tego, jak wcześniej oceniał własny kraj. Krytykując w Monachium Europę – skrytykował jedynie jej instytucje międzynarodowe i rządy. Opisał kryzys polityczny. Krytykując wcześniej swoją ojczyznę, ukazywał jej rozpad społeczny.

Cóż więc dziwić się prawicy, która nie ma ochoty na demoliberalne krucjaty organizowane przez władze, które dekadencję chcą jedynie pogłębiać i utrwalać?

Wiele razy tłumaczyłem naszej radykalnej centroprawicy, że hasłem naszej polityki wschodniej powinno być „Ani Putin, ani Soros". Bez żadnego echa. W tym miejscu pisałem o „Hańbie Europy i naszej", gdy Ukrainę Unia Europejska i jej główne rządy zmuszały w czasie wojny do ratyfikacji genderowej konwencji stambulskiej. Również dziś należałoby zapytać – czy Prawo i Sprawiedliwość czekało na przemówienie Vance'a? Nie jako na argument wyborczy, ale jako na koniunkturę do polityki dobra wspólnego, polityki cywilizacji chrześcijańskiej.

Ekspansja Rosji i widmo dekompozycji Przymierza Atlantyckiego to problemy brutalnie realne. Ale żeby przekonać zachodnią nieliberalną prawicę o ich realizmie, należało systematycznie pokazywać, że to Europa Środkowa jest „heartlandem" Zachodu chrześcijańskiego. I prowadzić politykę, która to potwierdza. Znowu otwiera się na to szansa, tym łatwiejsza, że prawica jest w opozycji. I znowu wszystko się może skończyć na hasłach. Chyba że opinia katolicka się nimi nie zadowoli. ©℗

eprasa.pl b2ee8dcb6b

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O patriarchacie estradowym

Zakończył się 75. Festiwal Piosenki Włoskiej w San Remo, impreza najliczniej oglądana we włoskiej telewizji (koncert finałowy oglądało 14 mln widzów), oczywiście wyjmując najważniejsze mecze futbolowej reprezentacji (finał mundialu 2006 Włochy – Francja: 28 mln).

Niemniej jednak festiwal jest bardzo ważnym wydarzeniem społecznym, analizowanym i dyskutowanym we wszelkich możliwych sosach. Wypowiadają się przeróżne autorytety, politycy i naukowcy. Niestety, nie brakuje również ludzi oszołomionych. Tym razem najgłośniej o protestach włoskich feministek i feministów, którzy w jak najsłuszniejszej sprawie walki z patriarchatem zdecydowanie przegięli.

Kwiat włoskiego feminizmu uznał za skandal i patriarchalną patologię to, że na pierwszych pięciu miejscach klasyfikacji konkursowej są sami faceci. Jeden z najważniejszych włoskich dzienników, superpostępowa turyńska „La Stampa", wywalił na ten temat artykuł na całą stronę pt. „Sprawa dla facetów" Simonetty Sciandivasci.

Niewiasta opowiada rzeczy rzewne, np. że zwycięzca Olly posiada najpotężniejszą menedżerkę estradową w Italii, a festiwal ideowo i organizacyjnie jest przeżarty rakiem patriarchatu, co sprawia, że kobieta od 10 lat nie może wygrać konkursu. Tyle że w skomplikowanym systemie głosowania i konkursu, przy którym nowe reguły Ligi Mistrzów UEFA to pikuś, najwięcej do powiedzenia mają głosujący SMS-ami, czyli lud, więc nie można niczego ukartować. Jednak to autorce nie przeszkadza. Twierdzi, że system faworyzuje panów, i brnie dalej. Przekonuje, że z patriarchalnych powodów kompozytorzy i tekściarze dla pań tworzą gorsze piosenki niż dla panów. Wtórują jej współwyznawcy wojującego feminizmu, a dysputa rozlała się na wszystkie włoskie media. Padły zarzuty, że prowadzący imprezę Carlo Conti też wspiera patriarchat, bo przedstawił jedną z artystek jako dzielną matkę.

Jeszcze trochę, a usłyszymy, że wyniki głosowania sfałszował Patriarcha Wenecji. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl b2ee8dcb6b

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

CENNA ZGUBA

Niedawno świat show-biznesu obiegła dramatyczna wiadomość – Honorata Skarbek przekazała, że na warszawskim lotnisku z jej bagażu zniknęły markowe okulary, które znajdowały się w paczce od firmy kurierskiej. „Zginęły mi na lotnisku okulary za ponad 6 tys. zł. Po zarejestrowaniu bagażu nadawanego [...] na Lotnisku Chopina w Warszawie. Oczywiście wkładałam rano okulary do walizki zapakowane i jeszcze prosto od kuriera, bo nie chciałam, żeby w locie się zniszczyły, więc nie odpakowałam ich nawet [...]. Pierwszy raz w życiu spotkała mnie taka sytuacja" – oznajmiła Honka-Biedronka (ksywa z dawnych czasów, niewielu pamięta). Skarbek dodała, że właściwie natychmiast podjęła próbę kontaktu z odpowiednimi instytucjami, jednak nikt nie był w stanie jej pomóc. „Zupełnie nikt nie chce mi pomóc. Każdy kolejny podmiot odsyła mnie do kolejnego i mówi, że nic nie może zrobić [...]. Chcę z powrotem okulary i chcę po prostu wyjaśnić, jakim cudem może dochodzić do takich abstrakcyjnych sytuacji" – oburzała się w sieci gwiazda. Sprawa szybko stała się bardzo głośna, a oczerniane lotnisko wydało komunikat. Kierownik Działu Komunikacji Polskich Portów Lotniczych zapewnił, że mimo braku oficjalnego pisma od Skarbek lotnisko udzieliło jej stosownej informacji. „Nie wpłynęła korespondencja od pani Skarbek. O zdarzeniu dowiedzieliśmy się z mediów społecznościowych wczoraj, wczoraj również bezpośrednio udzieliliśmy odpowiedzi artystce" – przekazała instytucja. Polskie Linie Lotnicze także postanowiły odpowiedzieć na oskarżenia piosenkarki. „Sprawa pani Honoraty Skarbek trafiła do nas wczoraj wieczorem, a odpowiednie w tym przypadku działania zostały przez nas podjęte niezwłocznie. Reklamacja rozpatrywana jest zgodnie z obowiązującymi przepisami" – wskazały PLL w informacji dla Pudelka. Oni tam naprawdę nie wiedzą, że sprawy zwykłych ludzi załatwia się w zwykłym trybie, a celebrytów na wczoraj? Skandal!

FOT. MATEUSZ GROCHOCKI/JOTVN/EAST NEWS

W IMIENIU LUDU

Honka nie zostawiła tak jednak tych „bezczelnych" oświadczeń. Przyznała, że niemal natychmiast zgłosiła incydent do każdej odpowiedniej instytucji, jednak spuściła nieco z tego. Gwiazda przekonuje, że jej celem nie jest jedynie odzyskanie własnych rzeczy, lecz także zwrócenie uwagi na problem systemowego zaniedbania pasażerów. „Sprawę zgłosiłam bezpośrednio telefonicznie i mailowo [...]. Natomiast, widząc tak ogromny odzew ze strony ludzi potwierdzających, że sytuacje z kradzieżami z bagażu na lotniskach zdarzają się nagminnie, ludzie nie otrzymują właściwej pomocy, mam nadzieję, że uda mi się doprowadzić tę sprawę do końca, nie ze względu na moje straty materialne, a ze względu na wskazanie jakiegoś kierunku ludziom, którzy zostają bez jakiegokolwiek merytorycznego wsparcia, kiedy dochodzi do kradzieży. Cały czas czekam na jakąkolwiek rzetelną odpowiedź" – wyznała w rozmowie z Pudelkiem. Dodała, że pomimo licznych prób kontaktu i oficjalnych zgłoszeń nadal nie otrzymała szczegółowej informacji od odpowiedzialnych za obsługę bagaży. Celebrytka deklaruje, że nie odpuści i będzie walczyć o prawa pasażerskie. Dzięki, Honka!

SZYBKA ZMIANA

Małgorzata Rozenek należy do tych gwiazd, które nie ukrywają, że chętnie korzystają z dobrodziejstw medycyny estetycznej. W jednym z ostatnich wywiadów przyznała, jakie zabiegi sobie serwuje. – Mezoterapia, botoks, stymulatory tkankowe. Bo ja myślałam, że pytamy o twarz, ale jakbyśmy pytali ogólnie, no to wiadomo, że biust, i to parę razy. W obie strony – opowiadała otwarcie. W przeszłości Gonia powiększyła biust, jednak później zdecydowała się na operację zmniejszenia piersi. – Dlatego że teraz podobają mi się bardziej sportowe sylwetki. Duży biust ma to do siebie, że optycznie powiększa całą sylwetkę i po prostu dużo trudniej jest uprawiać sport – mówi Rozenek. Raz tak, a raz tak. Kto bogatemu zabroni?

KACZOROWSKA NON GRATA

Bogatemu nikt niczego nie zabroni. Tak samo, jak nikt nie zabroni Magdalenie Mołek robić wywiadów z postaciami takimi jak Agnieszka Kaczorowska (tancerka znana ostatnio przede wszystkim z tego, że rozstała się z mężem). Kaczorowska opowiadała z przejęciem m.in. o tym, jak walczyła o ocalenie związku. – Ja dałam czas sobie i mojej poprzedniej relacji, żeby to uratować, zbudować na nowo. To trwało długo, ale się nie udało. Nie zrobisz za kogoś czyjejś roboty, możesz tylko swoją – stwierdziła. Internautom i obserwatorom Mołek zaproszenie na wywiad Bożenki z „Klanu" mocno nie przypadło do gustu. „Nie spodziewałam się, że na kanale tak eleganckiej kobiety pojawi się ktoś, kto bez klasy wywleka publicznie swoje sprawy małżeńskie. Hipokryzja wobec kanału; Są osoby z różną aurą; Jaką mądrość życiową reprezentuje ta pani? Bardzo się zawiodłam wyborem gościa – u mnie unfollow; Wybór gościa tragedia, chodzi już chyba tylko o zasięgi; Przepraszam, nie obejrzę" – to tylko niektóre z komentarzy. ©℗

eprasa.pl b2ee8dcb6b

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, znacie ten mit „kreatywności", prawda? Od wielu lat, aby dostać jakąkolwiek pracę – czy to na magazynie, czy to jako kierowca, czy pracownik korporacji, czy specjalista od marketingu – należy być kreatywnym.

A tymczasem naukowcy odkryli, iż w ludzkim mózgu istnieją obwody odpowiedzialne za kreatywność. Wygląda więc na to, iż jeśli ktoś takiego obwodu nie ma, to nie ze swojej winy jest traktowany jako pracownik niższej kategorii oraz jest dyskryminowany na rynku pracy. Naszym zdaniem z tych odkryć płynie jeden prosty wniosek: nie można traktować kreatywności jako kryterium przyjmowania do pracy, iż nikt nie odpowiada za to, jaki się urodził. A zatem nieprzyjmowanie do pracy ludzi, którzy nie są kreatywni, to dyskryminacja.

Jest to odkrycie ważne również dlatego, iż otwiera nam oczy na inne cechy, które do tej pory były traktowane jako wady, a za które po prostu mogą być odpowiedzialne obwody w mózgu. Czyli wychodzi na to, iż nie można nikogo zwalniać za lenistwo, iż jego brak zaangażowania i tendencja do niewypełniania swoich obowiązków nie zależą tak naprawdę od niego! A zatem prześladowanie ludzi leniwościowo dodatnich również jest dyskryminacją. Bez wątpienia są to dla nas dobre wiadomości i nie możemy się doczekać, aż przekażemy je Nowemu z Tarnowa, ale na razie nam się nie chce xD.

Jak tam, kochani, prowadzicie sobie konta na LinkedInie? Ostatnio zaglądamy tam coraz częściej, iż chcemy budować wizerunek osoby profesjonalnej, proaktywnej, skupionej na celach, ale jednocześnie dbającej o wartości, work-life balance, ale też nieprzesadnie, bo szukającej biznesowych inspiracji w codziennych sytuacjach. No, a tak mówiąc wprost, to mamy dość Nowego z Tarnowa, ewidentnie przegapionego przez nową władzę, i chcemy zmienić korpo.

Budując wizerunek, dzielimy się inspiracjami ze swoją siecią kontaktów. Mogą to być myśli typu: „Dziś kierowca taksówki powiedział mi, iż zawsze trzeba jechać do przodu – zupełnie zmieniło to moje podejście do strategii na 2025 r.!!!" albo: „Dziecko wymuszające na rodzicach zakup cukierków w sklepie pokazało mi, jak nieefektywne potrafią być niektóre strategie negocjacyjne".

Pamiętajcie też, iż niezwykle ważna jest regularność – wpisy muszą pojawiać się przynajmniej raz w tygodniu, iżbyście budowali w ten sposób markę osobistą lidera i nie dawali o sobie zapomnieć. W innym wypadku może się okazać, iż nie macie odpowiedniego mindsetu i będzie przypał.

Of kors publikowane treści muszą być inspirujące i motywujące, najlepiej ukazując Wasze ambicje i proaktywne podejście. Na przykład: „Dziś, gdy rano piłem swoje pierwsze flat white, przypomniałem sobie, jak pięć lat temu zaczynałem karierę w open space. Byłem wtedy zwykłym juniorem, a dziś jestem już midem. Za kolejne pięć lat będę seniorem". Nie martwcie się, iż to może nie do końca być prawda i wcale nie dostaniecie tego seniora – ważne jest inspirowanie! ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Z kropką?

Władek, tak nie może być. Co wy macie za burdel w MON z tymi e-mailami? Jakby się wojna zaczęła, toby się okazało, że co – że numery telefonów macie nieaktualne?!
Donald, to jest sabotaż. Sprawdziłem: ten e-mail, co to ta agencja kosmiczna na niego pisała, zmieniał się w ostatnich trzech latach tylko osiem razy. No to chyba nie jest problem, żeby osiem razy sobie zmienić dane w swojej książce adresowej?

Faktycznie, luzik. Teraz mamy tysiąc pięćset memów, że MON e-maila nie umie podać.
Ja już za memy nie odpowiadam.

To podaj mi swój e-mail, kilka ci wyślę.
Proszę: w.kosiniak… Nie, czekaj: wladyslawkosiniak… A może jednak z kropką? ©℗ ***Łukasz Warzecha***

OD RZECZY

„Dzisiaj nie wolno powiedzieć, że kobiety nie myślą, ale mi się wydaje, że tamte to chyba mało".

***ANDRZEJ OLECHOWSKI**, w przeszłości minister finansów i szef MSZ, o kobietach głosujących na Konfederację w TVP Info*

eprasa.pl b2ee8dcb6b

FOT. SIERADOWSKI/ELIC/ZUMA PRESS/FORUM

EUROPA PRZY DZIECIĘCYM STOLE?

Na paryskim szczycie dotyczącym przyszłości Ukrainy, zwołanym przez Emmanuela Macrona, główni europejscy przywódcy nie zdołali znaleźć wspólnego stanowiska. Liderzy unijnych krajów nie zgodzili się m.in. na wysłanie wojsk pokojowych na Ukrainę, na co liczył prezydent Francji. Po trzech godzinach rozmów szefowie rządów Polski, Francji, Włoch, Niemiec, Hiszpanii, Wielkiej Brytanii, Danii i Holandii – prowadzonych w obecności przywódców UE i NATO – zgodzili się jedynie na okrągłe formułki dotyczące konieczności solidarnej współpracy w kwestiach europejskiego bezpieczeństwa, zapewnienia „sprawiedliwego pokoju" oraz współpracy ze Stanami Zjednoczonymi. Jednocześnie Europejczycy zostali de facto wykluczeni przez nową amerykańską administrację z udziału w kluczowej części rozmów o zakończeniu wojny rosyjsko-ukraińskiej. Nie bez powodu.

„Podczas negocjacji na temat przyszłości Ukrainy z powodu dziesięcioleci niedoinwestowania w obronność kraje europejskie zostały posadzone przy dziecięcym stole" – zauważył w rozmowie z „Financial Times" prezes największego niemieckiego koncernu obronnego Rheinmetall. Armin Papperger podkreślił, że unijni przywódcy są sami sobie winni, bo składy broni w większości krajów europejskich świecą pustkami, a ze zdaniem słabych militarnie państw nikt silny się nie liczy. „Jeżeli nie inwestujesz, to nie jesteś silny i wówczas jesteś traktowany jak dziecko" – ostrzegł Armin Papperger. „Przez ostatnie 30 lat dla Europejczyków było bardzo wygodnie powiedzieć: OK, wydajcie 1 proc. [PKB na obronę], to w porządku" – dodał prezes Rheinmetall.

Dopiero po inwazji na Ukrainę państwa członkowskie UE znacząco zwiększyły wydatki na zbrojenia. Wciąż jednak przeznaczają na obronność istotnie mniej niż Rosja (niemal 6,5 proc. PKB) czy USA (ok. 3,4 proc.). W tym zestawieniu dobrze wygląda Polska, która na obronność w roku 2024 wydała blisko 4 proc. PKB, a w przyszłym roku planowane wydatki na ten cel mają wzrosnąć do co najmniej 5 proc. produktu krajowego brutto. Dla porównania: Hiszpania przeznaczyła w zeszłym roku na obronność mniej niż 1,3 proc. PKB. ***(jap)*** ©℗

enprasa.pl h2ee8dcb6b

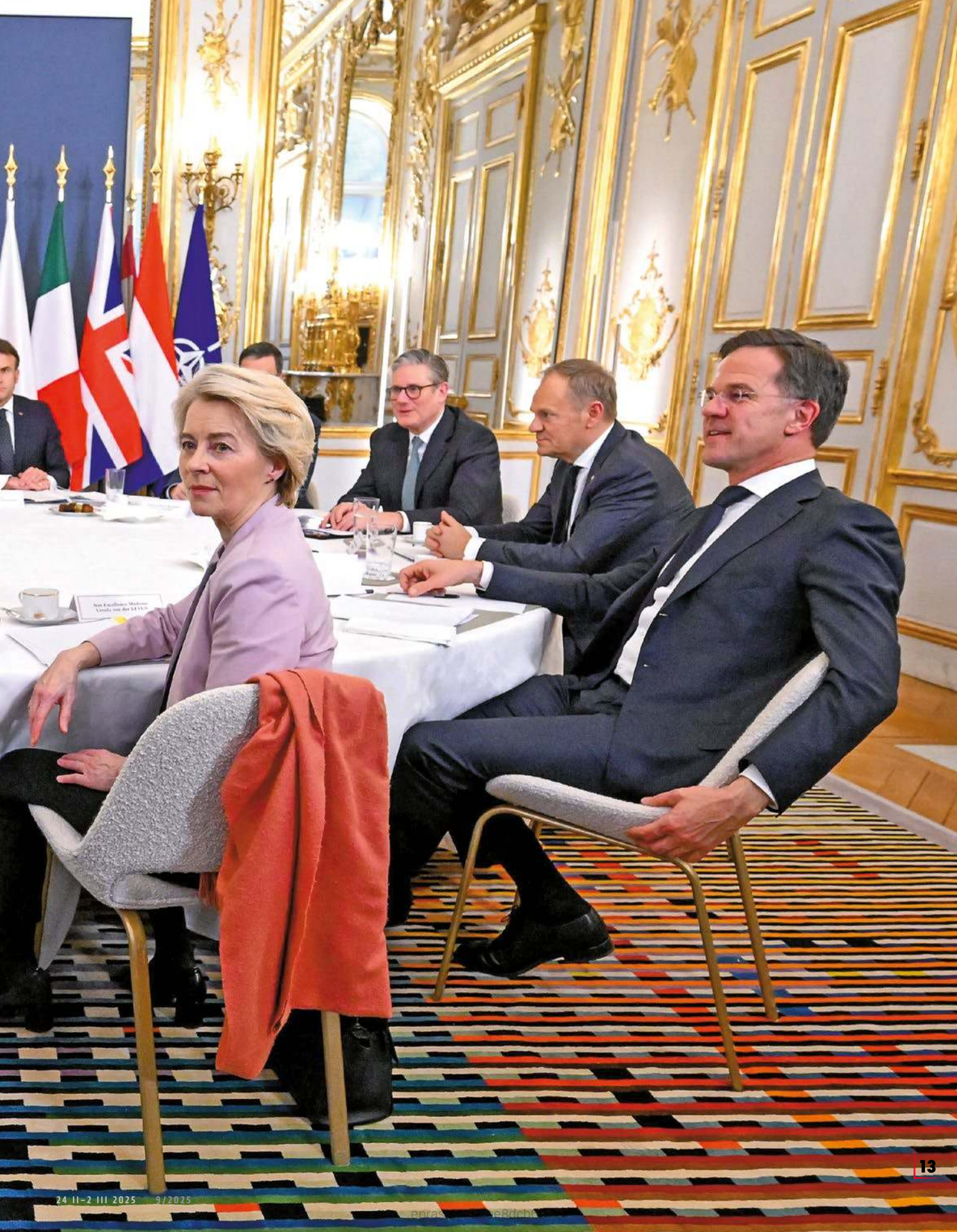

Brutalna lekcja realizmu

Łukasz Warzecha

Mówiąc brutalnie: Zełenski wie, że musi część Ukrainy sprzedać i zapewne ostatecznie pozwolić Amerykanom na dostęp do jej złóż, ale cena ma być jak najwyższa. W tej grze dla Polski istnieje kilka czynników ryzyka, przy czym atak Rosji – o którym znowu zaczął opowiadać prezydent Ukrainy – wcale nie jest największym z nich

W amerykańskiej taktyce wojennej istnieje doktryna „shock and awe" („szok i trwoga"), inaczej zwana „błyskawiczną dominacją". Przypomina nieco niemiecki blitzkrieg. Oznacza zarzucenie przeciwnika siłami tak potężnymi i skierowanie przeciwko niemu tylu uderzeń, że wróg się gubi i głupieje.

Wobec Europy i Ukrainy administracja Donalda Trumpa zastosowała właśnie doktrynę „shock and awe", tyle że nie w formie militarnej, lecz dyplomatycznej. Podczas gdy Marco Rubio, Steve Witkoff i Keith Kellogg zarzucają partnerów kolejnymi oświadczeniami, planami i koncepcjami, Donald Trump wymierza ciosy, których nikt się nie spodziewał. Obraz byłby nawet zabawny, gdyby nie był żałosny, szczególnie w Polsce, gdzie jedyną reakcją dużej części polityków i komentariatu są żenujące pochlipywania, że Ameryka zdradziła, prezydent Trump „powiela rosyjską narrację" (nie wiem, czy ten sztampowy zarzut na kimkolwiek robi jeszcze wrażenie), a Ukraina ma się sprzedać za pokój. Ten gigantyczny rozziew pomiędzy twardą rzeczywistością stosunków międzynarodowych, o której w ramach terapii szokowej przypomina Europie amerykański prezydent, a umiarkowanymi zdolnościami intelektualnymi znacznej części europejskiego mainstreamu do zrozumienia, co się dzieje, jest przygnębiający.

OTRZEŹWIENIE

We wprowadzeniu do „Tragizmu polityki mocarstw" z 2001 r., jednego z najważniejszych dzieł realizmu politycznego ostatnich dziesięcioleci, John Mearsheimer napisał:

„Wielu zachodnich obserwatorów zdaje się sądzić, że wkroczyliśmy wreszcie w epokę »wiecznego pokoju«. Koniec zimnej wojny – przekonują – oznaczał przełom w sposobie postępowania mocarstw wobec siebie nawzajem. Ryzyko ostrego współzawodnictwa o potęgę (security competition) jest znikome, a wojna stała się anachronizmem […].

Takie podejście opiera się na założeniu, że mocarstwa nie uważają się już za potencjalnych przeciwników militarnych, lecz za członków wielkiej rodziny, zwanej czasami »wspólnotą międzynarodową«. W tym nowym, lepszym świecie współpraca przynosi ogromne korzyści, zapewniając wszystkim pokój i dobrobyt […].

Niestety jednak teza, że z systemu międzynarodowego udało się wyrugować współzawodnictwo i wojny między mocarstwami, jest błędna. W rzeczywistości wiele wskazuje na to, że obietnica wiecznego pokoju nie zostanie spełniona".

Przypominam: Mearsheimer pisał te słowa na początku XXI w., gdy na autorów takich tez patrzono często jak na rarogów. Hobbes z jego wizją stosunków międzynarodowych jako uniwersum pozbawionego powszechnych zasad moralnych miał przecież zostać ostatecznie odesłany do archiwum filozofii polityki.

Mamy rok 2025, John Mearsheimer może otwierać popcorn i rozsiadłszy się wygodnie w fotelu, powtarzać tylko: „A nie mówiłem?" – podobnie zresztą jak autor tego tekstu, który wielokrotnie apelował, aby zerwać z infantylnym widzeniem relacji między państwami, tak ukochanym przez pokolenia Polaków.

Jak najbardziej realnym problemem jest bezradność europejskiej – a zwłaszcza polskiej – elity wobec gry, która nagle dramatycznie przyspieszyła. Przypomina to sytuację z początku konfederacji barskiej z roku 1768. Szlachcic Jakub Ujejski,

eprasa.pl b2ee8dcb6b

Wołodymyr Zełenski wie, że naturalne zasoby Ukrainy są jego jedynym atutem. Innych po trzech latach wojny praktycznie nie ma

FOT. PRESIDENT.GOV.UA

który zawiązał konfederację w Wielkopolsce, zebrał zaprzyjaźnionych ziemian i spisał wspólnie z nimi kwiecisty dokument protestacyjny przeciwko rosyjskim poczynaniom, po czym pojechał go oblatować w miejscowym urzędzie. Oczywiście następnego dnia Rosjanie pojawili się w jego dobrach, zmasakrowali mu rodzinę i spalili obejście. To było starcie kompletnie w tamtej sytuacji absurdalnego legalizmu z brutalną siłą. I z czymś posobnym mamy do czynienia teraz. Różnica polega na tym, że o ile Ujejski mógł w 1768 r. żywić nieco naiwne przekonanie, że ciągle żyje w rządzącej się prawem Rzeczypospolitej, o tyle polska elita miała co najmniej trzy lata na wytrzeźwienie i złapanie kontaktu z rzeczywistością. A tak naprawdę znacznie więcej, bo rzeczywistość zaczęła rację Mearsheimerowi przyznawać już 11 września 2001 r., o latach 2008 i 2014 nie mówiąc.

Nie ma sensu wdawać się w detale toczącej się rozgrywki, bo te za tydzień mogą już być inne. Można natomiast wskazać jej zasadnicze linie.

Przede wszystkim zatem administracja Trumpa dąży do osiągnięcia dwóch powiązanych ze sobą celów. Pierwszy to uwolnienie amerykańskich sił dla skoncentrowania się na rywalizacji z tym, kto jest uznawany za głównego przeciwnika – z Chinami. Do tego potrzebne jest zamknięcie problemu Ukrainy, a jeśli to możliwe – to przynajmniej częściowe rozsadzenie chińsko-rosyjskiego sojuszu, który został radykalnie wzmocniony działaniami Zachodu, w tym zwłaszcza systemem sankcji. Nie trzeba być specjalnie przenikliwym, aby dostrzec, że skutki dla Rosji są, mówiąc delikatnie, ograniczone, podczas gdy główny rezultat to zdynamizowanie powstawania alternatywnego wobec Zachodu układu politycznego i gospodarczego, którego rdzeniem – aczkolwiek wciąż dość luźnym i w niewielkim stopniu sformalizowanym – jest system państw BRICS.

Drugi cel to wypełnienie zobowiązań podjętych wobec amerykańskich wyborców: amerykańskie siły i pieniądze amerykańskiego podatnika mają być oszczędzane i wykorzystywane znacznie rozważniej niż za rządów Joe Bidena. Ten cel musi zostać spełniony, jeśli po drugiej kadencji Trumpa ma dojść do skutecznej sukcesji, najpewniej w osobie J.D. Vance'a.

Tu przypomnieć trzeba polskim pięknoduchom o jeszcze jednej oczywistości: Waszyngton działa w interesie Stanów Zjednoczonych. Nie Europy, nie Polski, nie Ukrainy czy Palestyny. Symbolicznie przypomniał o tym Donald Trump, podpisując w ciągu pierwszych kilkudziesięciu godzin swojego urzędowania dekret „America First", skierowany do Departamentu Stanu i nakazujący we wszystkich jego działaniach stawiać interes Ameryki na pierwszym miejscu. Niby jasne, ale dla naszych polityków, zwłaszcza tych, którzy od trzech lat wydają się stawiać interes Ukrainy na pierwszym miejscu, to szok.

TRUMP KONTRA ZEŁENSKI

Istotnym elementem rozgrywki jest to, co Ukraina może Ameryce zaoferować w zamian za jej zaangażowanie, czy to w postaci odpowiedniej przychylności jako partnera negocjacyjnego Rosjan (czyli w zamian za wywalczenie dla Kijowa względnie korzystnych warunków), czy to w zamian za odpowiednie gwarancje bezpieczeństwa – aczkolwiek niemal na pewno bez bezpośredniego zaangażowania sił USA. Ten wątek jest wyjątkowo interesujący, ponieważ starli się w nim partnerzy faktycznie twardzi (co znów polska elita obserwuje bez najmniejszego zrozumienia). Kluczowe było przygotowane w Białym Domu memorandum dotyczące zasobów naturalnych Ukrainy, które miał podpisać Wołodymyr Zełenski – ale ostatecznie tego nie uczynił. Zełenski, który walczy w tej chwili w dużej mierze o własną przyszłość – nie tylko polityczną, lecz także osobistą – wielokrotnie pokazywał się jako gracz twardy i brutalny, również wobec miękkiej, płaczliwej Polski. Zdaje się, że teraz nastąpiło starcie dwóch mocnych osobowości: Trumpa i Zełenskiego. I tu można ukraińskiego prezydenta autentycznie podziwiać, bo stawia czoła znacznie potężniejszemu partnerowi, a wydaje się grać dość umiejętnie.

Przede wszystkim wie, że naturalne zasoby Ukrainy są jego jedynym atutem. Innych po trzech latach wojny praktycznie nie ma. Wie także, że jeśli odda je Amerykanom zbyt tanio, to może go to w przyszłości kosztować wolność. Nie da się bowiem wykluczyć, że – podobnie jak inni przywódcy ukraińscy w przeszłości – także Zełenski kiedyś stanie przed sądem w związku z zarzutami korupcyjnymi. Prezydent Ukrainy będzie zatem lawirował, jak długo się da, pomiędzy USA, Europą oraz innymi istotnymi aktorami, starając się wynegocjować dla siebie jak najwięcej. To się już dzieje – wystarczy zauważyć, że w czasie, gdy w Rijadzie trwało amerykańsko-rosyjskie spotkanie, Wołodymyr Zełenski rozmawiał w Ankarze z prezydentem Turcji Recepem Tayyipem Erdoğanem.

Mówiąc brutalnie: Zełenski wie, że musi część Ukrainy sprzedać i zapewne ostatecznie pozwolić Amerykanom na dostęp do jej złóż, ale cena ma być jak najwyższa. I o to teraz toczy się rozgrywka. Inna sprawa, że swoiste skolonizowanie Ukrainy przez amerykańskie interesy nie musi przecież być dla Kijowa niekorzystne. Wręcz przeciwnie – propozycja Waszyngtonu, acz brutalna, zakłada przecież, że w jego interesie będzie ochrona miejsc, gdzie będzie on realizował swoje

eprasa.pl b2ee8dcb6b

interesy. Czy to się w gruncie rzeczy co do zasady jakoś szczególnie różni od tego, co miał w układzie z USA do zaproponowania Polakom poprzedni rząd?

To, że Zełenski ma tutaj całkiem mocne karty, pokazuje skierowana przeciwko niemu tyrada prezydenta Trumpa (która znów w polskim komentariacie spotkała się z łzawym, powierzchownym przyjęciem i jeremiadami o rosyjskiej narracji). Prezydent Trump, natknąwszy się na wymagającego oponenta, próbuje podważać legitymację prezydenta Ukrainy, do czego ma zresztą mocne podstawy, ponieważ faktycznie wybory prezydenckie w tym kraju powinny były odbyć się blisko rok temu. W grudniowym sondażu prezydenckim ośrodka SOCIS obecna głowa ukraińskiego państwa uzyskała poparcie na poziomie 24,3 proc., wyraźnie w tyle za liderem, gen. Wałerijem Załużnym (36,1 proc.). Trzeci był Petro Poroszenko (9,4 proc.). To dość wyraźne wotum nieufności wobec obecnego lidera, skoro gen. Załużny pozostawał i pozostaje z nim w konflikcie.

Innym mocnym argumentem Trumpa jest kwestia korupcji. Amerykański prezydent wspomina nieustannie – nie tylko we wspomnianym wpisie – o tym, że Ukraina się nigdy należycie z udzielonej jej pomocy nie rozliczyła. To mocny cios w Zełenskiego. I nie jest to – jak twierdzą niektórzy – jedynie gra na własnym, amerykańskim boisku. To także sygnał dla Ukraińców mający podkopać pozycję obecnej głowy państwa poprzez utożsamienie jej z korupcją. Utożsamienie mające bardzo mocne podstawy.

Jeżeli niektórzy komentatorzy dzisiaj wskazują, że skierowane przeciwko Zełenskiemu tyrady prezydenta Trumpa czy Elona Muska raczej podniosą poparcie dla niego, to nie doceniają problemów wewnętrznych Ukrainy. Nawet gdyby sięgnąć po sondaż zaufania – mniej miarodajny niż sondaż prezydencki – to obecnie prezydent Ukrainy cieszy się wciąż zaufaniem ponad połowy (55 proc.) Ukraińców, co oznacza spadek aż o 22 punkty względem pierwszego okresu wojny. Jednak na Ukrainie istnieją ogromne różnice w nastrojach pomiędzy jej częściami wschodnią a zachodnią. Na wschodzie ludzie mają wojny dość i w znacznie większej części niż na zachodzie opowiadają się za jej zakończeniem, nawet dużym kosztem. Dodajmy do tego złość wobec wykupywania się bogatszych od poboru, brak opieki psychologicznej nad żołnierzami z PTSD czy absurdalnie długą obecność niektórych z nich na froncie (czasami trwającą bez przerwy ponad rok), a można zadać sobie pytanie, czy faktycznie Zełenski zyska wiele na konflikcie z Waszyngtonem.

ZAGROŻENIA DLA POLSKI

W tej grze dla Polski istnieje kilka czynników ryzyka, przy czym atak Rosji – o którym znowu zaczął opowiadać Zełenski – wcale nie jest największym z nich. Prezydent USA stara się zyskać dla swojego państwa jak najwięcej, jednocześnie minimalizując koszt, co oznacza próbę zepchnięcia zagwarantowania zawieszenia broni na Europejczyków. Ubocznym efektem jest danie do ręki argumentów tym, którzy chcieliby przyspieszyć federalizację UE, tym razem pod pretekstem konieczności zbudowania „europejskiej armii". To jest dla Polski plan nieakceptowalny i nie ma tu znaczenia, że w praktyce jest nie do zrealizowania. Ważniejsze jest, że unijni federaliści (choć o federacji możemy tu mówić tylko formalnie; faktycznie byłaby mowa o Unii pod kierownictwem kilku głównych jej państw) w ten sposób mają powód, aby promować swój pogląd.

Dla Polski wysłanie żołnierzy na linię demarkacyjną oznaczałoby gigantyczne ryzyko, w tym prowokacji – także ukraińskiej. To się nam absolutnie nie opłaca

Oczywistym czynnikiem ryzyka dla Polski jest także kwestia wysłania na Ukrainę naszych żołnierzy. Mimo że w tej chwili wszyscy politycy głównego nurtu opowiadają się przeciwko takiemu rozwiązaniu, nie należy do tych deklaracji przywiązywać wielkiej wagi – wszak trwa kampania wyborcza, a skierowanie na Ukrainę polskich wojsk jest w elektoracie bardzo niepopularne. Jeśli spojrzeć do najnowszej edycji badań zespołu dr. Roberta Staniszewskiego z Uniwersytetu Warszawskiego (zespół od 2022 r. przeprowadza cykliczne badanie społecznej percepcji uchodźców i migrantów, w tym w kontekście wojny na Ukrainie), to zobaczymy, że nadal wyraźna większość – 82 proc. – opowiada się za pomocą dla Ukrainy. Zarazem 71 proc. potwierdza, że Polska powinna dbać przede wszystkim o własne interesy. Większość – 57 proc. – sprzeciwia się udzieleniu jakiegoś dodatkowego wsparcia poza dotychczasowym (przeciwnego zdania jest tylko 26 proc.). Zaledwie 15 proc. chciałoby zaangażowania polskiego wojska. Najwięcej – 77 proc. – jest za wsparciem dyplomatycznym.

Dla Polski wysłanie żołnierzy na linię demarkacyjną oznaczałoby gigantyczne ryzyko, w tym prowokacji – także ukraińskiej. To się nam absolutnie nie opłaca.

Polska elita stoi jednak przed jeszcze jednym problemem mentalnościowym – fundamentalnym. Uparte trwanie w idealistycznym, infantylnym paradygmacie stosunków międzynarodowych oznacza brak zdolności rozeznania spraw w ich prawdziwym kształcie, a tym samym – właściwego określenia naszych możliwości oraz priorytetów. To z kolei napędza całkowicie fałszywe przekonanie o przymusie własnej ważności i sprawczości. Z ust polskich komentatorów co chwila padają zaklęcia w rodzaju: „MUSIMY zostać uwzględnieni w rozmowach", „MUSIMY mieć coś do powiedzenia", „NIE WOLNO rozmawiać bez Ukrainy o Ukrainie" itd., itp. To wszystko przykłady magicznego myślenia, którego znamieniem jest używanie sformułowań takich właśnie jak „musimy", „trzeba", „nie wolno". Wszystko to są sygnały, że uprawia się politykę imperatywu moralnego, a nie politykę realną. Niestety, wynika z tego dążenie do niemożliwego. Zamiast przyjąć, że nie wypracowaliśmy sobie w tym starciu pozycji umożliwiającej nam jakikolwiek wpływ na ostateczny kształt regionu, i zająć się w związku z tym intensywnym dbaniem o nasz własny interes w mniejszej skali – np. zabezpieczenie kraju przed najazdem zdemobilizowanych ukraińskich mężczyzn z przemycaną bronią – elita wciąż tkwi z głową w chmurach i spiera się, kto pojedzie i co powie na kolejnym szczycie zwołanym przez kieszonkowego Napoleona, prezydenta Macrona.

Czas zejść na ziemię.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b2ee8dcb6b

Wstrząs dla Europy

Wiceprezydent USA J.D. Vance na lotnisku w Monachium wsiada do samolotu do Waszyngtonu, 14 lutego 2025 r.

FOT. LEAH MILLIS/REUTERS/FORUM

Wojciech Golonka

Dla naszych potomnych będzie rzeczą zdumiewającą, jak pchana tępą propagandą Europa pozwoliła się wciągnąć Amerykanom w ich wojenkę z Rosją. A teraz, gdy nastąpiła zmiana warty w USA, żałośnie skomli o miejsce przy stole negocjacyjnym

Wraz z zaprzysiężeniem prezydenta Donalda Trumpa jego administracja zaczęła bez zwłoki realizować złożone amerykańskim wyborcom obietnice, w tym te dotyczące wojny na Ukrainie, co dzieje się właśnie na naszych oczach. W konsekwencji dominująca dotychczas na Zachodzie jedyna słuszna narracja wokół tejże wojny została wstrząśnięta u samych podstaw, jeśli zrozumieć wagę niedawnych słów amerykańskiego przywódcy, skądinąd nie aż tak bardzo nagłośnionych. Jest bowiem charakterystyczne dla nowego rządu USA, że nie przestaje nadawać niesłychanego tempa (jak niesamowicie te ostatnie cztery tygodnie odmieniły oblicze Ameryki!) – tak że nawet kluczowe wypowiedzi bardzo szybko zostają przesłonięte przez kolejne słowa i kroki oraz nienadążające za nimi przeciwne reakcje, co świetnie widać na świeżym przykładzie monachijskiej konferencji do spraw bezpieczeństwa. Wygłoszone nań przemówienie wiceprezydenta J.D. Vance'a, poprzedzone mocno studzącą wojenne nastroje wizytą w Europie sekretarza obrony Pete'a Hegsetha, wywołało istne trzęsienie ziemi wśród dominujących brukselsko-niemiecko-europejskich elit. Są one niezdolne sobie wyobrazić, że po latach zakłamania, również tego płynącego z Waszyngtonu, ktoś mocniejszy – właśnie z Waszyngtonu – może przyjść i na dzień dobry spuścić im publiczne lanie, ośmieszając jednocześnie ich faryzeizm na oczach całego świata.

Ma się rozumieć, te wydarzenia generują mnóstwo szumu informacyjnego, i nie tylko: oto w popłochu elity te zbierają się dwa dni później w Paryżu, by wymyślić na cito jakiś samodzielny europejski ład zbrojny, ale kończy się to żałosnym stwierdzeniem, że w dobie obecnej w zasadzie nic sensownego w kwestii Ukrainy zrobić bez USA nie

eprasa.pl b2ee8dcb6b

mogą i nie zrobią. Równolegle do tej kompromitacji główni dotychczasowi antagoniści toczącej się wojny spotykają się w odległej, ale przyjaznej obu stronom Arabii Saudyjskiej, by przywrócić do łask zapomnianą w ostatnich latach dyplomację i rozpocząć – bez Ukrainy, co znaczące – rokowania na temat zakończenia wojny. Otóż przy tym tempie działań nowej amerykańskiej administracji i hałaśliwych na nie reakcjach w postaci delirium polityków, ekspertów i dziennikarzy wysyłających nieistniejące europejskie dywizje na ziemie ukraińskie, wypowiedziane przez prezydenta Trumpa naprawdę kluczowej wagi słowa, rujnujące w niecałą minutę dotychczasową narrację o wojnie na Ukrainie, po prostu nie zdołały wybrzmieć pełnym echem. Nie zmienia to tego, że to właśnie odziaływanie tych słów, a raczej kryjącej się za nimi logiki będziemy w najbliższych miesiącach obserwować na naszych oczach, ku zdumieniu tych, których wszechobecna propaganda uwięziła solidnie w świecie życzeń i mitów, ponieważ słowa te odzwierciedlają ogląd rzeczy Donalda Trumpa, skądinąd realistyczny.

TĄPNIĘCIE W NARRACJI

W rzeczy samej, śledząc na przestrzeni ostatnich trzech lat przeróżne wypowiedzi administracji Joe Bidena odnośnie do wojny rosyjsko-ukraińskiej, ich bez wątpienia ukutym i zamierzonym lejtmotywem było notoryczne określenie „unprovoked agression". Zazwyczaj tłumaczono to jako „nieuzasadnioną [rosyjską] agresję", choć etymologiczne znaczenie używanego tu przymiotnika byłoby lepsze dla zrozumienia, co tak bardzo miała przesłonić ówczesna amerykańska narracja, wówczas ochoczo powielana przez zachodnie media będące na łasce finansowej USAID. Otóż ekipa Joe Bidena, rządząca de facto Białym Domem w związku z jego ewidentnymi objawami demencji, podkreślała wszem wobec, że rosyjska agresja Ukrainy była niczym „niesprowokowana", a wszelkie głosy ekspertów mających bądź co bądź dojrzałe rozeznanie geopolityczne, pokroju profesorów Jeffreya Sachsa czy Johna Mearsheimera, mogące tę narrację podważyć albo po prostu obalić, były zwyczajnie, właśnie w Ameryce – w tej ojczyźnie wolności – w ogóle niedopuszczane w mainstreamie do głosu (sam Sachs został nawet skandalicznie ściągnięty z wizji podczas transmitowanego z nim na żywo wywiadu w telewizji Bloomberg). Niczym „nieuzasadniona", a jednak w oczach prezydenta Trumpa jak najbardziej „sprowokowana" agresja, będąca w rzeczywistości proxy war (wojną zastępczą) między USA a Rosją, co najlepiej tłumaczy, dlaczego tylko dwie strony siadły na razie do stołu negocjacyjnego, pomijając nie tylko Unię Europejską, lecz także samą Ukrainę – bo właśnie tylko one mogą tę wojnę naprawdę trwale zakończyć.

A zatem podczas jednej z tych już praktycznie codziennych nieformalnych konferencji prasowych w gabinecie owalnym Donald Trump powiedział: „Nie widzę żadnej możliwości, aby kraj w położeniu Rosji, po prostu w ich położeniu, mógł pozwolić Ukrainie przystąpić do NATO; nie widzę, aby to się stało. I na długo przed prezydentem Putinem Rosja była niezwykle stanowcza na tym punkcie. Sądzę, że to dlatego wojna właśnie się zaczęła, Biden wystąpił i powiedział: »Wstąpcie do NATO«, a nie powinien był tego mówić. Kiedy to powiedział, mówiłem: »Wiecie co? Teraz będziecie mieli wojnę!« i miałem rację pod tym względem. To jest wojna, która nigdy by się nie wydarzyła, gdybym był prezydentem. Myślę, że Biden jest niekompetentny; kiedy powiedział, że oni mogą wstąpić do NATO, pomyślałem, że to była bardzo głupia rzecz; kiedy mówił: »To zależy, czy to będzie pomniejsza inkursja [wtargnięcie]«, tzn. że będzie w porządku, jeśli Rosja dokona mniejszej inkursji, myślałem wówczas, że jest to skrajna głupota". Głos Donalda Trumpa jest tu ewidentnie zgodny z wypowiedziami wspomnianych już Jeffreya Sachsa i Johna Mearsheimera, a także np. Henry'ego Kissingera, a mianowicie, że należało wziąć pod rozwagę rosyjskie roszczenia dotyczące bezpieczeństwa, co akurat jest zadaniem dla dyplomacji, która właśnie zabrała się na nowo do pracy po kilkuletniej przerwie i jej bojkocie zarówno przez Waszyngton, jak i przez wszystkie stolice europejskie, poza Budapesztem (co skądinąd tłumaczy, dlaczego nikt „unijczyków" do rokowań nie zapraszał i zapraszać nie zamierza). Ale wypowiedź Trumpa w ogóle koreluje z samym rozeznaniem dyplomatycznym USA, poczynionym już dawno temu: jeszcze za prezydentury George'a W. Busha ówczesny ambasador USA w Moskwie, William Burns (ten sam, który w ostatnich latach był dyrektorem CIA), donosił swej szefowej w departamencie stanu, Condoleezie Rice, że niezależnie od frakcji politycznej przy władzy Rosjanie po prostu pójdą na wojnę w przypadku prób poszerzenia NATO o Gruzję lub Ukrainę.

Czy oznacza to, że bez podnoszenia kwestii akcesu Ukrainy do NATO wojny by nie było? Odpowiedź nie jest tu w pełni oczywista choćby dlatego, że dokonując inwazji na Ukrainę, Rosjanie poczynili ruchy, które nie miały bezpośredniego (jeśli w ogóle go miały) związku z tą kwestią: zdobyli korytarz lądowy łączący Rosję z Półwyspem Krymskim oraz położyli rękę na zagłębiu Donbasu. Jednocześnie, nawet jeśli wizja akcesu Ukrainy do NATO była dla Rosjan przydatnym pretekstem do wojny, ze wspomnianych powyżej wypowiedzi, na czele z wypowiedzią Donalda Trumpa, który od czasu swej listopadowej wygranej ma przecież dostęp do codziennych briefingów wywiadowczych, jasno wynika, że nie był to tylko pretekst. Innymi słowy, amerykańskie elity wiedziały, że stawianie tej kwestii na ostrzu noża doprowadzi do wojny, a mimo to – i mimo głosów ostrzegawczych – ją tak postawiły (co z kolei trudno wytłumaczyć li tylko niekompetencją, jak sugeruje Trump).

Ani Ukraina, ani Rosja nie były gotowe do trwałej wojny na pełną skalę

Innymi słowy, wielce możliwe, że pewnym osobom w amerykańskim establishmencie zależało na tym, aby do tej wojny doszło – tak przynajmniej się zachowywały – i tu znowu mamy potwierdzenie expressis verbis tezy amerykańskiej geopolityki, w osobie George'a Friedmana, którą opisywałem bezpośrednio po wybuchu wojny na łamach „Do Rzeczy". Otóż w wystąpieniu „Europa skazana na konflikt" w lutym 2015 r., podczas sesji pytań, Friedman

eprasa.pl b2ee8dcb6b

wprost mówił, dlaczego Ameryka – jego zdaniem – wręcz potrzebuje wojny, która poróżni Rosję i Europę, i jakie z tego osiągnie korzyści. Chciałoby się zatem powiedzieć, że, owszem, wojny można było jak najbardziej uniknąć, gdyby nie to, że zbyt silne interesy, po obu stronach, czyniły jej wybuch pożądanym. Nie ma natomiast wątpliwości, że wojnę tę, wraz ze wszystkimi jej negatywnymi konsekwencjami dla Ukrainy, Polski czy w ogóle Europy, można było znacznie wcześniej zakończyć.

MILION UKRAIŃSKICH OFIAR

Po pierwsze – ani Ukraina, ani Rosja nie były gotowe do trwałej wojny na pełną skalę. Pewne wiarygodne doniesienia z ukraińskiej generalicji sugerowały nawet, że wojna potrwa co najwyżej parę tygodni, a następnie zakończy się rozejmem. I rzeczywiście na taki wariant wskazywały rokowania stambulskie. W ich trakcie, według informacji postronnych polityków zaznajomionych z tematem, osiągnięto porozumienie co do ogółu spraw, które jednak nie doszło do skutku z racji silnego lobbingu wobec Kijowa ze strony Waszyngtonu, a zwłaszcza Londynu, w osobie ówczesnego premiera Borisa Johnsona, choć Kijów nie miał wówczas wiarygodnych szans na wyzwolenie całości okupowanych terytoriów, a tym bardziej na odzyskanie Krymu. Wprawdzie w listopadzie 2023 r., wobec patowej sytuacji na froncie i fiaska kontrofensywy na odcinku zaporoskim (bardziej medialnej niż rzeczywistej), gen. Wałerij Załużny tłumaczył w wywiadzie dla „The Economist", że liczono, iż ponoszona przez Rosję w tej wojnie skala ofiar zmusi ją do negocjacji (w domyśle: tym razem już na ukraińskich warunkach), ale z tym się ewidentnie przeliczono i to Ukraina z czasem o wiele bardziej zaczęła borykać się w tej wojnie z problemem uzupełniania niedoborów.

Trzeba przy tym zauważyć, że „niedobór" w armii nie jest jakimś abstrakcyjnym pojęciem, a konkretnym człowiekiem, setkami tysięcy młodych ludzi, którzy albo na dobre spoczęli w grobie, albo stali się do końca życia kalekami (fizycznymi bądź psychicznymi), trwale niezdolnymi do służby. Na podstawie wypowiedzi w Monachium specjalnego wysłannika prezydenta Trumpa do spraw Ukrainy, gen. Keitha Kellogga, że straty Ukrainy są w tej wojnie trzykrotnie większe niż straty USA w Korei i Wietnamie razem wzięte, Leszek Miller oszacował, że armia ukraińska straciła w tej wojnie 1,5 mln zabitych i rannych żołnierzy. Ale już pod koniec 2022 r. ówczesny szef połączonych sztabów armii USA, gen. Mark Milley, twierdził, że wojny rosyjsko-ukraińskiej nie da się rozstrzygnąć na polu bitwy. Dlatego nawet jeśli wyliczenie przez Millera 1,5 mln ofiar w armii ukraińskiej byłoby przesadzone (być może milion ofiar bardziej korelowałby z innymi doniesieniami, aczkolwiek prawdą jest, że ta liczba niestety stale rośnie), to i tak chodzi o rząd wielkości, przy którym nie sposób moralnie uzasadniać oporu przed negocjacjami kosztem takiej ludzkiej hekatomby. Hekatomby tłumaczonej, po stronie ukraińskiej, potrzebą zdobycia na polu bitwy lepszej pozycji negocjacyjnej lub też, co nie mniej horrendalne, hekatomby rozgrzeszanej po stronie europejskiej imperatywem, że Rosja nie może wygrać tej wojny za żadną cenę, co biorąc wszystko pod uwagę, oznaczało w praktyce wojnę na totalne wyczerpanie zasobów ludzkich Ukrainy.

NA CZYJ RACHUNEK?

Ale nawet abstrahując od skali rozlewu ukraińskiej krwi, która bez wątpienia jest bardzo ważnym powodem w decyzjach Donalda Trumpa – i chwała mu za to – nie ma wątpliwości, że wymóg rozsądku w udzielanej pomocy, gdyby był przestrzegany, także przyczyniłby się do skrócenia samej wojny. Otóż Trump żąda teraz od Ukrainy zabezpieczenia długu amerykańskiej pomocy, szacowanej na setki miliardów dolarów, w postaci przyszłych zysków z eksploatacji złóż rzadkich minerałów będących wciąż w zasobach Kijowa, zysków z eksploatacji ukraińskiej infrastruktury eksportowej, jak porty itp., a za jego ruchem, obok taktyki negocjacyjnej, kryją się racje niewątpliwie podzielane przez amerykańskich podatników i wyborców. Ponadto jest jak najbardziej zrozumiałe, że rząd w Kijowie całkowicie wzdryga się przed złożeniem podpisu na podobnym cyrografie, przewyższającym ponoć reparacje nałożone na Niemcy po pierwszej wojnie światowej. Ale w takim razie należy postawić proste pytanie: Czy Kijów byłby od początku gotów prowadzić wojnę na tego typu „drastycznych", z góry znanych, warunkach finansowych czy też godził się kontynuować z wiadomych sobie przyczyn konflikt, na który stać go nie było i który był nie do rozstrzygnięcia na polu bitwy, bo prowadził go na cudzy rachunek, poniekąd bez pokrycia, w ramach wojny zastępczej, dorzucając doń, jako wkład własny, kolosalną daninę krwi?

Należy tu na koniec dodać wątek polski i warto zadać retorycznie pytanie, wobec kolejnych odcinków opery mydlanej o ekshumacjach polskich ofiar ukraińskich nacjonalistów z czasów drugiej wojny światowej: Czy teoretycznie łatwiej Trumpowi uzyskać spłatę setek miliardów dolarów, na co, przynajmniej w pewnym zakresie się zanosi, czy uzyskać zgodę na rzecz w zasadzie symboliczną i oczywistą z punktu widzenia fundamentalnych zasad naszej cywilizacji w postaci godnego pochówku naszych bestialsko zamordowanych współrodaków? Ich przykry casus jest tylko przykładem, jak zupełnie bez woli transakcji – a zatem błędnie – podeszliśmy do wszelkiej pomocy niesionej Ukrainie, której zasadności, jako tabu, nawet nie odważano się poddać pod dyskusję Polaków przy okazji wyborów w 2023 r.

Dla naszych potomnych będzie rzeczą zdumiewającą, jak pchana tępą propagandą Europa pozwoliła się wciągnąć Amerykanom po uszy w gruncie rzeczy w ich wojenkę z Rosją (co teraz sami potwierdzają!), zrobiła to kosztem własnych gospodarek, własnych podatników i bez woli opamiętania, piętnując dyplomatyczne próby zakończenia wojny; a teraz, gdy nastąpiła zmiana warty w USA, żałośnie skomli o miejsce przy stole negocjacyjnym i jednocześnie deklaruje gotowość wpompowania kolejnych setek miliardów euro z naszych kieszeni w Ukrainę, które, niczym w piramidzie finansowej, być może po prostu spłacą Amerykanów próbujących z tej rozgrywki wyjść przynajmniej na zero. Rozegrano nas, z kilku stron, jak dzieci, znaków otrzeźwienia nadal brak, a prawdziwej litości nad rozlewaną przez Rosjan krwią ukraińskich żołnierzy w ogóle w Europie nie widać. Do ostatniego Ukraińca, czyli naszej i Ukrainy nędzy, o nieugaszonym zagrożeniu wplątania nas w tę wojnę nie wspominając.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b2ee8dcb6b

Trzy lata wojny o niepodległość. Czy to mało?

Piotr Semka

Obecna sekwencja wydarzeń brutalnie obnaża impotencję Europy, kliencką wobec Zachodu postawę Ukrainy i mocną pozycję Rosji. A polityka USA to wielka niewiadoma. Ja nie przestaję wierzyć w mądry miks szukania realnej siły przeciw planom agresorów z zachowaniem szacunku dla ideałów walki ze wschodnią despotią

Rozmowy amerykańsko-rosyjskie w Rijadzie w Arabii Saudyjskiej rozbudziły spekulacje na temat zakończenia agresji Rosji na Ukrainę. Dotąd się wydawało, że wszyscy uznają – łącznie nawet z Rosjanami – iż to Federacja Rosyjska rozpoczęła inwazję na Ukrainę. Niedawne wypowiedzi Donalda Trumpa pokazują, że można też – tak jak amerykański prezydent – uznawać, iż Ukraina mogła wojnę zakończyć w dowolnym dla siebie momencie. A jeśli tego nie zrobiła, to ponosi współwinę za przeciąganie się wojny.

Czy Kijów mógł więc zakończyć konflikt wcześniej? Oczywiście, że mógł. Pod jednym warunkiem – że w pełni skapitulowałby przed Rosjanami.

WOJNA O NIC?

Trzy lata temu, gdy rosyjscy spadochroniarze lądowali na lotniskach koło Kijowa, a czołówki pancerne armii rosyjskiej pruły z północy na stolicę Ukrainy, brak oporu spowodowałby wjazd czołgów Putina i aresztowanie Wołodymyra Zełenskiego.

Czekałby go pewnie proces o faszyzację Ukrainy i prześladowanie ludności rosyjskojęzycznej. A urzędy państwowe i media czekałaby fala brutalnych czystek.

Migiem zainstalowano by na nowo w Kijowie rosyjskie marionetki Wiktora Janukowycza, usuniętego ze stanowiska prezydenta Ukrainy po drugim Majdanie w 2014 r. Dla większości Ukraińców byłaby to kradzież ich własnego państwa.

Ciekawe, czy Donald Trump byłby równie spolegliwy wobec kogoś, kto chciałby mu siłą zabrać np. jego wieżowce w centrum Nowego Jorku czy Chicago. Ot tak, bez oporu, tylko po to, by nie kontynuować niepotrzebnego konfliktu. Niepotrzebnego z czyjego punktu widzenia?

Oczywiście ostatnie wypowiedzi amerykańskiego prezydenta są raczej funkcją jego przekonania o potrzebie zakończenia „niepotrzebnych konfliktów" jako zawalidrogi w jego rywalizacji z Chinami. To jest echo wciąż popularnych w USA poglądów formułowanych przez takich politologów jak John Mearsheimer, którzy głoszą, że tak duże mocarstwa jak USA w sytuacji konfliktów z innymi supermocarstwami mają prawo do wzajemnego układania się przy respektowaniu umownych „stref interesów".

Jeśli wypowiedź Trumpa wywołała tak wielkie wzburzenie, to dlatego, że

eprasa.pl b2ee8dcb6b

Rozmowy w Arabii Saudyjskiej rozbudziły spekulacje na temat zakończenia agresji Rosji na Ukrainę

FOT. F. EVERETT/U.S. STATE DEPARTMENT/UPI PHOTO/NEWSCOM/PAP

przechodziła do porządku dziennego nad użyciem siły zbrojnej na terenie szeroko rozumianej Europy i powrotu polityki odrywania od sąsiadów spornych obszarów za pomocą przemocy wojskowej. To modus operandi, który po drugiej wojnie światowej na terenie naszego kontynentu wydawał się ostatecznie wykluczony z katalogu relacji między państwami. Nieprzypadkowo zasada ta została uświęcona przez dyplomację europejską i amerykańską po pokonaniu III Rzeszy – kraju, który metodę agresji militarnej wyniósł do rangi podstawy swego działania.

Dziś wszystko wskazuje na to, że Rosja bliska jest zwycięstwa w tym konflikcie. Analizy specjalistów wojskowych mówią, że Ukraina znalazła się na skraju absolutnego wyczerpania sił żywych. Według różnych ocen w ciągu ostatnich trzech lat zginęło od 50 do 100 tys. Ukraińców, a kolejnych 370 tys. odniosło rany. Jeśli jednak dojdzie do zawarcia traktatu pokojowego, który zakończy wojnę, to w odróżnieniu od drugiej wojny światowej agresor nie tylko nie zostanie ukarany przez społeczność międzynarodową, lecz także zachowa swoje siły i niewykluczone, że będzie gotów do kolejnej agresji w perspektywie od trzech do pięciu lat.

Taki casus faktycznego zwycięstwa państwa o wszelkich cechach dyktatury – i to dyktatury uzbrojonej po uszy – będzie w Europie jednak czymś nowym. Poprzednie przypadki – czy to Francji napoleońskiej, czy też prób podboju Europy przez Cesarstwo Niemieckie w latach 1914–1918, a potem starania Hitlera między latami 1939 a 1945 – kończyły się zlikwidowaniem państw i przywódców, którzy posługiwali się agresją. Teraz zawarcie traktatu pokojowego, w którym Rosja będzie występować jak równy, otworzy drogę do eksperymentu, którego konsekwencje są trudne do wyobrażenia. Doświadczenia historyczne wskazują, że państwa, które z sukcesem dokonały agresji i zyskały nowe terytoria – jak to było np. w wypadku Prus króla Fryderyka w XVIII w. – skłonne były po pewnym czasie do powtarzania wojen zaborczych. A z kolei wejście w logikę ugody z Rosją skłaniać będzie tzw. realistów do uznawania, że trzyletni wysiłek zbrojny Ukrainy oraz żniwo śmierci, które poniósł ten kraj, były brakiem rozsądku lub wręcz nieodpowiedzialnością. Tyle że jest to logika, która zniechęca do stawiania oporu wszelkiemu bezprawiu i wszelkim zakusom na czyjąś niepodległość.

Co więc osiągnęła Ukraina przez te trzy lata? Przede wszystkim zdefiniowała swoją tożsamość. Owszem, w swej historii wcześniej podejmowała parę razy starania militarne o wykreowanie swego państwa, ale były to zjawiska dotyczące niektórych tylko terytoriów zamieszkiwanych przez ludność ukraińską. Historycy wskazują, że początkiem państwa ukraińskiego mogło być Wielkie Księstwo Kijowskie, Księstwo Halickie, już w XX w. tzw. Zachodnioukraińska Republika Ludowa czy w latach 1917–1920 Ukraińska Republika Ludowa pod wodzą Symona Petlury. Gdy Ukraina wreszcie zdobyła niepodległość w 1991 r., kraj ten był bardzo zróżnicowany pod względem świadomości narodowej. Wojna z Rosją z lat 2022–2025 pokazała, że większość Ukraińców chce własnego państwa, które byłoby absolutnie niezależne od Rosji. I że społeczeństwo to gotowe jest zapłacić daninę krwi, aby tej niepodległości bronić.

Co osiągnęła Ukraina przez te trzy lata? Przede wszystkim zdefiniowała swoją tożsamość

Jeśli teraz rozpoczynać się mają negocjacje pokojowe, to niezwykle istotne będzie to, czy dotyczyć mają one jedynie zaprzestania działań wojennych czy też ich ważnym elementem ma być zachowanie niepodległości Ukrainy. Donald Trump nie zaprotestował przeciwko sugestiom strony rosyjskiej, która dąży do tego, by elementem procesu pokojowego były wybory – jak się zdaje przede wszystkim prezydenckie – ale być może i do odnowienia składu Rady Najwyższej Ukrainy. Podstawowe pytanie brzmiałoby: Czy w tych wyborach Rosja przeforsuje możliwość startu na równych zasadach polityków kontrolowanych przez Moskwę w rodzaju wspomnianego już wcześniej Wiktora Janukowycza?

Gdyby tak się stało, mógłby powtórzyć się casus Czechosłowacji z końca lat 30. zeszłego wieku. Niemcy uzyskały wówczas porozumienie między wielkimi mocarstwami europejskimi, które bez jednego wystrzału dały Rzeszy tereny pograniczne z Czechami zwane nie do końca ściśle rejonem sudeckim. To upokorzenie niepodległej Czechosłowacji spowodowało załamanie się woli obrony Czechów i umożliwiło w drugiej turze po dokładnie pięciu miesiącach całkowite i demonstracyjne zajęcie tego kraju przez Niemców.

Tak samo może być w wypadku zgody przez Donalda Trumpa na udział sił prorosyjskich w wyborach i swobodne korzystanie z prawa do zasiadania w parlamencie. Mielibyśmy więc wtedy Ukrainę formalnie ocaloną od wojny, ale znajdującą się w stanie szoku po gwałcie, co ułatwiłoby Rosji powolne dokończenie działań na rzecz ubezwłasnowolnienia władz w Kijowie już bez używania siły zbrojnej. Jeśli więc popatrzymy pod tym kątem na trzy lata wojny Rosji z Ukrainą, to pozytywem jest wyłonienie się nowej pogłębionej świadomej tożsamości ukraińskiej, a zagrożeniem, które wynika z rozmów pokojowych w Rijadzie, jest destrukcja tego stanu świadomości

eprasa.pl b2ee8dcb6b

w razie ewentualnego powrotu do gry sił jawnie prorosyjskich.

Ukraina wprost ze stanu mobilizacji w obronie wolności po porażce może wpaść w stan stuporu i beznadziei. Putina to nie zmartwi.

To jest stawka tej fazy gry. Dla Ukrainy nawet utrata Krymu i wschodnich obwodów nie będzie tak zabójcza, jeśli zachowa suwerenność. Ale jeśli do jej politycznego krwiobiegu na powrót wprowadzi się znów siły prorosyjskie, to może dojść do gangreny.

WSZYSTKO SIĘ MOŻE ZDARZYĆ

Szok wywołany rozpoczęciem negocjacji w Arabii Saudyjskiej, z których Amerykanie i Rosjanie zgodnie wykluczyli zarówno Ukraińców, jak i przedstawicieli państw europejskich, pobudził polską politykę i polskie media do dramatycznych opinii i gruntownego potępienia Donalda Trumpa. Impulsem do tak emocjonalnych deklaracji była w dużej mierze chęć odreagowania występu wiceprezydenta USA J.D. Vance'a na niedawnej konferencji w Monachium. Ale warto przypomnieć, że negocjacje dopiero się rozpoczęły.

Donald Trump głosi, że każda wojna jest czymś strasznym i należy robić wszystko, aby każdy konflikt wojenny zakończyć jak najszybciej. Problem w tym, że takie myślenie było i jest obce sowieckiemu komunizmowi, którego mentalnym dziedzicem jest Władimir Putin. W wypadku brutalnej dyktatury, którą jest państwo Putina, wojna jest dobrym sposobem na długotrwałe rządzenie. Ludzie pokroju obecnego prezydenta Rosji nie liczą się ze stratami wojskowymi, a nawet, jak się okazuje, potrafią przystosować swoją gospodarkę do trybu wojennego bez jakiegokolwiek spektakularnego załamania się ładu społecznego. Trwająca latami wojna to okazja do tresury posłuchu społecznego, do łatwiejszego eliminowania kontestatorów, a przy okazji do załatwiania sobie lukratywnych korzyści na dostawach wojskowych. Może się więc jeszcze okazać, że przekonanie Donalda Trumpa, iż Rosji też winno zależeć na jak najszybszym zakończeniu wojny, to naiwne złudzenie. Pytanie, czy w takim przypadku Trump zrozumie, że bardziej opłaca mu się jednak utrzymać niepodległość Ukrainy.

Dziś prezydentem USA powoduje przede wszystkim irytacja samodzielnością prezydenta Wołodymyra Zełenskiego, który w opinii prezydenta USA postawił na Niemców i powinien odejść od przewodzenia Ukrainie. Nie wiemy, czy Biały Dom ma już upatrzonego jakiegoś generała ukraińskiego na miejsce Zełenskiego czy też zwyciężył całkowity izolacjonizm i losy Ukrainy zostaną wydane na pastwę Rosji. Jeśli mamy do czynienia z tym drugim przypadkiem, to gospodarz Białego Domu może szybko się przekonać na własnej skórze, że efektowne opuszczenie Europy i zdanie się na jej własną zaradność może nie okazać się takie łatwe. Także w całym obozie Trumpa istnieją nadal ludzie, choć są w mniejszości, którzy rozumieją, że oddanie Ukrainy Rosji to początek szerszego procesu odbudowywania wpływów rosyjskich na terenie takich państw postsowieckich jak republiki bałtyckie czy Polska.

Nie trzeba specjalnie głęboko śledzić wypowiedzi rosyjskich polityków, by zauważyć, że kolejnym celem Rosji jest trwałe usunięcie nawet niewielkich jednostek żołnierzy US Army czy – szerzej – NATO z terenów na wschód od Łaby. A to może być już dla Trumpa o jeden dowcip za dużo ze strony Kremla.

POZORY SĄ WAŻNE

Nowy amerykański prezydent zawsze lubił prezentować się jako polityk walący pewne prawdy wprost, bez owijania w bawełnę i bez kompleksów. Twardo żądający tego, co uważa za korzystne dla siebie. Teraz jednak ta maniera w komunikacji międzynarodowej wyraźnie zaczyna być używana z przesadą. Wycenienie pomocy dla Ukrainy z ostatnich trzech lat na poziomie ok. 500 mld dol. czy nonszalanckie dywagacje o tym, kto winny jest rozpoczęcia wojny, pozwoliły wrogom Trumpa wskrzesić jego wizerunek jako ikony aroganckiego i bezwzględnego jankesa, bezlitośnie wcielającego w życie swoje interesy. Prezydent USA stara się chwycić zbyt wiele srok za ogon. Nie da się np. sugerować, że wraz z Arabią Saudyjską Ameryka może zastopować światową produkcję ropy tak, aby boleśnie uderzyło to w gospodarkę Rosji, a jednocześnie angażować się w pomysł wysiedlenia ze Strefy Gazy setek tysięcy Palestyńczyków przy świadomości, że Arabia Saudyjska nigdy na takie plany nie przystanie.

Jest i polski element całego tego rozedrganego zespołu rozmaitych zjawisk. Wysłannicy Trumpa, którzy docierają do prezydenta Andrzeja Dudy, zaklinają się ponoć, że amerykańska militarna obecność w Polsce nie zostanie zmniejszona. Tyle że jeśli tak, to niezwykle ważne dla prognoz takiej współpracy będą wybory prezydenckie 18 maja i 1 czerwca bieżącego roku. Jeśli wygra przedstawiciel PiS, Karol Nawrocki, to Trump może widzieć sens w utrzymywaniu amerykańskiej obecności na terenie Polski. Ale jeśli wygra Rafał Trzaskowski, to całość władzy przejmie Platforma, a wtedy Ameryka może się poczuć z tego rejonu wypchnięta i natychmiast stracić zainteresowanie utrzymywaniem żołnierzy US Army na obszarze między Świnoujściem a przesmykiem suwalskim.

Cała ta powyższa analiza pokazuje, że znaków zapytania jest więcej niż odpowiedzi. Zdarzyć się może dosłownie wszystko. Zarówno te najbardziej pesymistyczne wizje, jak i te, które dają nam pewną nadzieję na przyszłość. Pytanie tylko, czy Polska, trawiona od ćwierćwiecza ostrym wewnętrznym konfliktem politycznym, będzie w stanie wpłynąć na zachowanie niepodległości przez Ukrainę i uzyskanie trwałych gwarancji ze strony USA na jakąś formę obrony naszego kraju przez US Army?

Obecna sekwencja wydarzeń brutalnie obnaża impotencję Europy, klienckę wobec Zachodu postawę Ukrainy i mocną pozycję Rosji. A polityka USA to wielka niewiadoma.

Ta polityka „dla dorosłych" coraz częściej nas przeraża. Wielu Polaków zamyka oczy, nie mogąc patrzeć na ten polityczny brutalny spektakl. Jeszcze inni uciekają w pochwałę cynizmu i specyficznie rozumianego realizmu.

Ja nie przestaję wierzyć w mądry miks szukania realnej siły przeciw planom agresorów z zachowaniem szacunku dla ideałów walki ze wschodnią despotią. Łatwo te ideały wyśmiewać, gdy dziś zostały zużyte przez politycznych kuglarzy – nie tylko z Paryża i Berlina, lecz także z Kijowa. Jednak one nie mogą zniknąć, jeśli nie chcemy wyzbyć się swojej tożsamości. I jeśli chcemy uniknąć kolejnych masakr z Buczy.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b2ee8dcb6b

GŁÓWNY PARTNER

X EUROPEJSKI KONGRES SAMORZĄDÓW

3-4 marca 2025

Hotel Gołębiewski w Mikołajkach

„Globalne wyzwania – lokalne rozwiązania”

2 dni konferencji

+250 debat

+2500 uczestników

eprasa.pl b2ee8dcb6b

Rafał A. Ziemkiewicz

Ten

W zasięgu Konfederacji widać cel, którym byłoby odegranie w kolejnych wyborach parlamentarnych analogicznej roli do tej, którą w roku 2023 odegrała Trzecia Droga. Można mieć nadzieję, że Krzysztof Bosak i Sławomir Mentzen okażą w tej roli więcej politycznego rozumu niż Szymon Hołownia i Władysław Kosiniak-Kamysz

Kiedy Grzegorz Braun ogłosił, że rozpoczyna własną kampanię prezydencką i de facto opuszcza Konfederację oraz gdy poparcie dla niego zadeklarował Janusz Korwin-Mikke, w przeciwieństwie do większości komentatorów, widzących w tym „problem" dla Sławomira Mentzena i Konfederatów, pisałem, że raczej powinni oni otworzyć wielką butlę szampana. W ten sposób bowiem zniknął hamulec blokujący przepływ do Konfederacji rozczarowanych wyborców Trzeciej Drogi, a potencjalnie także Koalicji Obywatelskiej. Ów przepływ z nawiązką zrekompensuje partii Mentzena, Krzysztofa Bosaka i Przemysława Wiplera utratę tych 2 proc. najbardziej nieprzejednanych radykałów. Tak się w istocie stało, sondażowe notowania Mentzena uniosły się wyraźnie niczym balon po odcięciu balastu.

Zdezawuowało to, przynajmniej na razie, inną moją przepowiednię, wcześniejszą, w której sceptycznie odniosłem się do wskazania właśnie Mentzena na kandydata Konfederacji. Sugerowałem wtedy, że rozsądniejszym wyborem byłaby Ewa Zajączkowska-Hernik (dziś wiem, że kandydować nie chciała), gdyż ta mogłaby uzyskać wynik większy niż notowania „Konfy" w sondażu partyjnym, natomiast Mentzen weźmie ostatecznie mniej, co będzie dla Konfederacji porażką. Oceniając jego szansę tak surowo, nie miałem na myśli popularności przekazu, który – jak można było przewidywać – będzie w kampanii głosić, tylko cechy osobiste kandydata: jego swoisty „autyzm" w kontaktach publicznych, słabe radzenie sobie w dyskusjach i sporach, ogólnie brak tego, co określa się niejasnym mianem „charyzmy" lub „cech przywódcy".

CZY PRZESKOCZY KAROLA NAWROCKIEGO?

Nie sądzę, abym się w ocenie wizerunkowych ograniczeń Mentzena mylił, ale jednak – jak widać obecnie w sondażach – wydają mu się one wcale nie szkodzić. Może dlatego, że mimo oficjalnie już ogłoszonej kampanii wyborczej mało Mentzena w dominujących na rynku mediach widać. Wśród komentatorów kibicujących PiS częsta jest wprawdzie opinia, że PO „pompuje" Mentzena i Konfederację, żeby zaszkodzić Karolowi Nawrockiemu i PiS, ale trudno mi dostrzec przejawy tego „pompowania" – chyba że mają nim być same wyniki sondaży, wysokie przecież także w pracowniach, którym trudno zarzucić bliskie związki z partią Donalda Tuska. Nie bardzo też rozumiem, w jaki sposób „pompowanie" Konfederacji, prezentowanej w mediach PO jako partia jeszcze gorsza i bardziej „populistyczna" od PiS, miałoby temuż PiS zaszkodzić.

Gdyby zresztą w sztabie Rafała Trzaskowskiego rzeczywiście rojono o „rozbiciu" elektoratu opozycji przez medialne dowartościowanie Mentzena, oznaczałoby to, że nikt tam nie wyciągnął lekcji z upokarzającej klęski Bronisława Komorowskiego przed ośmiu laty. Wtedy rzeczywiście sztabowcy urzędującego prezydenta wymyślili sobie, że dodatkowo upokorzą Andrzeja Dudę, dyskretnie pomagając Pawłowi Kukizowi – w TVN

eprasa.pl b2ee8dcb6b

trzeci

Sławomir Mentzen przejmuje rozczarowany elektorat Trzeciej Drogi
FOT. OLEG MARUSIC/REPORTER

zdjęto z niego nimb „obciachu" i „oszołomstwa", zaproszono nawet do Kuby Wojewódzkiego i potraktowano tam przyjaźnie. W efekcie Kukiz, w dużym stopniu kosztem Komorowskiego, dostał 20 proc. głosów, z których większość przeszła potem, w drugiej turze, na kandydata PiS.

Ostatnie sondaże – zwłaszcza ośrodka Opinia24, któremu osobiście zanadto bym nie ufał – wyszły już dla Mentzena tak dobrze, że niektórzy analitycy, co prawda z dużym znakiem zapytania, zaczęli rozważać, jak wyglądałaby ewentualna druga tura, gdyby Mentzen wszedł do niej, przeskakując Nawrockiego. Oczywiście dla kandydata PO byłoby to z różnych powodów korzystne, ale taki scenariusz wydaje się całkowicie nierealny. Nawrocki, mimo ogromnej aktywności w terenie, nie może wprawdzie przebić granicy 22–25 proc., ale „żelazny" elektorat PiS to wciąż – można to potwierdzać na różne sposoby – mocne 30 proc. tych, którzy na pewno na wybory pójdą.

Na pytanie, dlaczego Nawrocki ma obecnie mniejsze notowania w sondażu prezydenckim niż PiS w partyjnym, można udzielić dwóch odpowiedzi – niesprzecznych ze sobą. Pierwsza, że to skutek formuły „kandydata obywatelskiego popieranego przez PiS", dla wyborców nieinteresujących się bieżącą polityką na tyle niejasnej, że wielu z głosujących zawsze na PiS po prostu nie wie jeszcze, iż to on właśnie jest kandydatem ich partii. Polityczny komentariat zapomina zwykle, że w wyborach prezydenckich uczestniczy ponad 20 mln wyborców, podczas gdy zasięgi wszystkich mediów, tradycyjnych i internetowych, informujących o polityce, to 3 mln, w najlepszym wypadku 5 mln. Cała reszta wie coś piąte przez dziesiąte, kieruje się instynktem i rozmowami z sąsiadem lub ciotką, a informacje o politycznych faktach i personach docierają do niej z wielkim opóźnieniem. Druga natomiast odpowiedź jest taka, że być może powtarza się także u nas mechanizm, który z wielką mocą objawił się podczas wyborów prezydenckich w USA. W atmosferze nieustannej nagonki mediów i „autorytetów" na „populistów" ci, którzy są zdecydowani na nich zagłosować (w tym wypadku dotyczyłoby to więc najbardziej „żelaznego" elektoratu), odmawiają udziału w sondażach albo deklarują w nich co innego, niż naprawdę zrobią. Na działanie tego mechanizmu zdaje się wskazywać ogromny odsetek „odmowy", sięgający według nieoficjalnych informacji niektórych pracowni aż 20 proc., co jest porównywalne z przedwyborczą Ameryką.

Nie wydaje się więc możliwe, żeby Mentzen był w stanie przeskoczyć owe 30 proc. przy wysokim wyniku Trzaskowskiego. Po prostu nie ma skąd zaczerpnąć wystarczającej liczby zwolenników. Interpretacja sondażu, w którym – jak w badaniu wspomnianej Opinii24 – Trzaskowski ma 30 proc., Nawrocki 21, a Mentzen 18, jako dowodu, że Mentzen przejmuje wyborców PiS, jest dyletanctwem. W istocie – jak wynika z dokładnych badań – w partyjnym elektoracie Konfederacji wciąż jest większy odsetek tych, którzy dopuszczają w pierwszej turze wyborów prezydenckich głosowanie na kandydata PiS, niż w elektoracie PiS tych, którzy mogą zagłosować na kandydata Konfederacji. A próba, która dla niego będzie najtrudniejsza – debaty i gruntowne „maglowanie" przez dziennikarzy na ostatniej prostej kampanii – wciąż jest przed Mentzenem i nie ma gwarancji, że obecną sondażową popularność zdoła donieść do samego głosowania.

„DRUGA TURA BEZ BĄŻURA"

Teoretycznie – ale na ten moment to naprawdę czysta teoria – w granicach prawdopodobieństwa mieści się wariant przeciwny, postulowana półżartem przez propisowskich influencerów w mediach społecznościowych „druga tura bez Bążura", czyli takie podzielenie głosów anty-PiS pomiędzy kandydatów rządzącej formacji, żeby do drugiej tury nie wszedł ostatecznie żaden z nich. Byłoby to

eprasa.pl b2ee8dcb6b

wyobrażalne, gdyby w puli kandydatów był ktoś, kto wykorzystałby umizgi Trzaskowskiego do prawicy, jego groteskowe udawanie „pisowca", patrioty i eurosceptyka przeciwstawiającego dyrektywom Brukseli „zdrowy rozsądek", by zaatakować go z pozycji, umownie mówiąc, giertychowskich. Ktoś taki mógłby wtedy oskarżyć i Trzaskowskiego, i całą PO albo nawet całą koalicję o nieudolność albo wręcz zdradę „rozliczeń" i „przywracania praworządności", i urwać wiceprzewodniczącemu PO do 10 proc. na tej samej zasadzie, jak wściekle antypisowska pod rządami „likwidatorów" TVP Info urwała 2 proc. oglądalności TVN24, dzięki czemu najbardziej oglądaną stacją newsową stała się Republika.

Ale nikogo takiego w stawce nie ma – Silni Razem muszą zaciskać zęby i wierzyć, że „Rafał na razie musi tak mówić", ale kiedy wygra wybory i domknie Tuskowi układ władzy, to wreszcie „oni wszyscy będą siedzieć". Kampanie kandydatów pozostałych komponentów „koalicji 23 października/13 grudnia" są kompletnie chybione, prowadzone bez przekonania i można na nie w ogóle machnąć ręką. Magdalena Biejat nie jest w stanie wyjść poza bańkę lewicowego hardcore'u – aborcja, prawa mniejszości seksualnych etc. – i poza banały w rodzaju: „Europa musi być dziś bardziej zjednoczona niż kiedykolwiek". Na dodatek resztki „ideowo" lewicowego elektoratu dzielić musi z równie niszowym Adrianem Zandbergiem. Nic dziwnego, że w ostatnich sondażach oboje przegrywają nawet z Markiem Jakubiakiem. Skądinąd wiadomo, że takiej sytuacji w Lewicy się spodziewano i Biejat została jej kandydatką głównie dlatego, że jako jedyna chciała startować.

Ciekawszy jest upadek Szymona Hołowni, który postanowił powtórzyć swą kampanię sprzed pięciu lat: jestem nowy, spoza układu, jestem trzecią siłą, mogę przekroczyć plemienne podziały i dokonać tak oczekiwanego „pojednania Polaków". Trudno pojąć, jak mógł Hołownia nie zauważyć, że przez ostatnich pięć lat jego sytuacja się nieco zmieniła. Wygrał wybory parlamentarne i wspólnie z Tuskiem, którego partia nie zdołała przebić swego „szklanego sufitu", odsunął PiS od władzy. Po czym pokazał, że kompletnie nie zrozumiał, iż taki werdykt wyborców

Niezadowolenie z obecnego rządu nie skłania wyborców do zmiany zdania o PiS i dopuszczenia myśli o głosowaniu na partię Jarosława Kaczyńskiego

oznaczał: „Chcemy nowej władzy innej niż PiS", a nie: „Chcemy powrotu rządów sprzed 2015 r.", i nawet nie próbował w najmniejszym bodaj stopniu odegrać roli „lepszego" komponentu rządu, pilnującego, by Tusk nie wrócił do odrzuconych już przez laty przez większość głosujących praktyk. Przeciwnie, w zamian za możliwość pobawienia się marszałkowską laską przyjął rolę chłopca na posyłki wszechwładnego Tuska, posłusznego nawet w najbardziej szemranych jego postępkach, by wspomnieć choćby sprawę Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika. W roli kandydata spoza duopolu PO-PiS jest więc równie wiarygodny jak Trzaskowski w roli rzecznika „gospodarczego patriotyzmu". Jego urok linieje, poparcie pikuje, podobnie zresztą jak popularność koalicji Polski 2050 z PSL, i proces ten wydaje się nieodwracalny.

Dowodem tej nieodwracalności jest właśnie rosnąca popularność Mentzena, wynikająca głównie z przejęcia rozczarowanego elektoratu Trzeciej Drogi. Mentzen nie musi wiele robić – stał się „tym trzecim" i właściwie siłą rzeczy sama sytuacja wyniosła go na tę pozycję jako jedynego kandydata w niej wiarygodnego wśród tych startujących z zauważalnego poziomu poparcia. Elektorat „odsunąć od władzy Kaczyńskiego" z roku 2023 coraz wyraźniej zmienia się bowiem w elektorat „dać po nosie Tuskowi" i ten proces będzie narastał. A Konfederacja nie powtarza już błędu z wyborów parlamentarnych, w których obiecywała, że wejdzie do Sejmu po to, żeby uniemożliwić powstanie jakiegokolwiek rządu i doprowadzić do kolejnych wyborów za pół roku. Krzysztof Bosak zapowiada: „W drugiej turze każdy, byle nie Trzaskowski" i mówi mocno o „prostytuowaniu się" prawniczego establishmentu, a sam Mentzen powtarza na spotkaniach bon mot, że tylko trzy rzeczy są pewne: śmierć, podatki i to, że jak Tusk coś mówi, to znowu kłamie.

Mechanizm, który sprawia, że rośnie popularność i Konfederacji, i Mentzena, mimo jego słabo przebijającej się kampanii i ograniczeń wizerunkowych, jest prosty: rośnie, bo rośnie niezadowolenie z rządów PO. Więcej niż połowa pytanych na różne sposoby, czy obecne rządy są lepsze od poprzednich, odpowiada, że nie, a jako zwolennicy rządu określa się w najlepszym wypadku do 30 proc.

CZEGO NIE ROBIĆ W DEMOKRACJI

To niezadowolenie nie skłania jednak wyborców do zmiany zdania o PiS i dopuszczenia myśli o głosowaniu na partię Kaczyńskiego. Nie dał on im takiej szansy, ogłaszając twardą linię: nie musimy za nic przepraszać, bo rządziliśmy doskonale, nie popełniliśmy żadnego błędu, przegraliśmy, bo wyborcy dali się zmanipulować i oszukać, i będą jeszcze tego żałować. I konsekwentnie się tej linii trzyma w każdym kolejnym wystąpieniu.

Jest to ten sam błąd, który popełniła PO i który uwięził ją pod „szklanym sufitem" tożsamościowych 30 proc. Z perspektywy wyborcy ten przekaz oznacza bowiem: jesteś głupi, nie masz własnego rozumu i głosujesz, jak ci mówią, a teraz przeproś i głosuj, jak my ci mówimy.

W demokracji takich rzeczy po prostu nie wolno wyborcy mówić, nawet, a może i zwłaszcza, gdy są prawdą. Z tych samych powodów, dla których żaden rozsądny mężczyzna nie odpowiada szczerze na pytanie: „Jak wyglądam?", a kobieta na: „Jak było?".

Konfederacja wielokrotnie zapowiadała, że jej strategicznym celem jest rozbicie i odsunięcie od wpływu duopolu PO-PiS. Do tego jeszcze daleko i jeśli w ogóle może się to udać, to na pewno nie w konflikcie jednocześnie z obydwoma partiami tożsamościowymi. Na razie w zasięgu Konfederacji widać cel pomniejszy, być może prowadzący w dalszej perspektywie do głównego: odegrania w kolejnych wyborach parlamentarnych analogicznej roli do tej, którą w roku 2023 odegrała Trzecia Droga. Można mieć nadzieję, że Bosak i Mentzen okażą w tej roli więcej politycznego rozumu niż Hołownia i Władysław Kosiniak-Kamysz.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b2ee8dcb6b

Niszczarka pieniędzy podatników

Minister Izabela Leszczyna do sprawnych administratorów nie należy

FOT. DAWID WOLSKI/EAST NEWS

Jakub Wozinski

Rok 2024 uzmysłowił wszystkim zainteresowanym, że problemem polskiej państwowej służby zdrowia nie jest wcale brak wystarczających środków na nią, lecz sposób jej organizacji i zarządzania

Pogłębiający się kryzys w służbie zdrowia ma spory potencjał, aby stać się jednym z największych gwoździ do trumny obecnego rządu.

Gdy po wygranych przez „uśmiechniętą koalicję" wyborach trwały przymiarki do obsady poszczególnych ministerstw, uwagę zwracało to, że w przypadku resortu zdrowia miała wręcz miejsce łapanka. Wytypowana do tej roli Izabela Leszczyna przyjęła to wyróżnienie bez wielkiego entuzjazmu, co z dzisiejszej perspektywy wydaje się jeszcze bardziej zrozumiałe.

Nikt z koalicjantów nie chciał brać służby zdrowia, ponieważ już w momencie przejmowania władzy po „dobrej zmianie" jej kondycja pozostawiała wiele do życzenia. Po kilkunastu miesiącach rządów problem jedynie nabrzmiał i dziś polską służbę zdrowia negatywnie ocenia ok. 70 proc. respondentów. W wielu badaniach opinii publicznej zaostrzający się kryzys w służbie zdrowia urasta obok wysokich cen energii czy trwającej wojny do rangi jednego z najbardziej niepokojących zjawisk w życiu publicznym.

OBIECANKI CACANKI

Ekipa „demokracji walczącej" być może ma w swoich szeregach sprawnych administratorów, ale Izabela Leszczyna z pewnością do nich nie należy. Na dodatek sama zainteresowana zaczęła otaczać się osobami o dość wątpliwych kwalifikacjach i reputacji (m.in. wicedyrektorką departamentu oceny inwestycji w Ministerstwie Zdrowia została niedawno kierowniczka działu szkoleń w Unii Producentów i Pracodawców Przemysłu Mięsnego, a jednego z bohaterów afery podsłuchowej

eprasa.pl b2ee8dcb6b

Andrzeja Parafianowicza mianowano wicedyrektorem Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego – Państwowego Zakładu Higieny). Znana z licznych wpadek językowych minister zdrowia doprowadziła swoją postawą do frustracji nawet w szeregach rządzącej koalicji. Coraz częściej mówi się wprost o tym, że już wkrótce może pożegnać się ze stanowiskiem.

W trakcie kampanii wyborczej Szymon Hołownia przekonywał, że po dojściu do władzy jego ekipa doprowadzi do tego, iż lekarze sami będą dzwonili do pacjentów, by pytać o ich stan zdrowia. W słynnych już 100 konkretach Koalicji Obywatelskiej zawarta była natomiast obietnica całkowitego zniesienia limitów w lecznictwie szpitalnym. Tymczasem już we wrześniu ubiegłego roku okazało się, że Narodowy Fundusz Zdrowia przestał płacić szpitalom i przychodniom za nadwykonania (świadczenia medyczne wykonane ponad limit wynikający z umowy z NFZ) na wielką skalę, co doprowadziło do drastycznego niekiedy ograniczenia przyjęć, wstrzymania zabiegów i dalszego wydłużenia kolejek do świadczeń.

Jak można było się spodziewać, minister Leszczyna i inni ministrowie zaczęli niemal natychmiast przypisywać zaistniały kryzys rządom PiS. Grzechów po stronie poprzedniej ekipy było wprawdzie wiele, ale należy przyznać, że z reguły płaciła za wszystkie nadwykonania. W sposób oczywisty ogromną niegospodarnością wykazał się obecny rząd, który przecież – także za sprawą PiS – dysponuje rekordowymi środkami budżetowymi na służbę zdrowia.

OGROMNY BUDŻET, OGROMNE KOLEJKI

Polacy mają powody do wielkiego niezadowolenia, by nie powiedzieć wściekłości, ponieważ po wprowadzeniu Polskiego Ładu publiczne wydatki bieżące na ochronę zdrowia wzrosły od 2018 do 2024 r. aż o 100 mld zł. W ustawie budżetowej na rok 2025 r. zapisano na ten cel zaś 221,7 mld zł. Pomimo tego, jak zasugerowali autorzy raportu „Luka finansowa systemu ochrony zdrowia w Polsce", w systemie ochrony zdrowia w latach 2025–2027 i tak może zabraknąć prawie 159 mld zł.

Obecny rząd wykazał się ogromną niegospodarnością, mimo że dysponuje rekordowymi środkami budżetowymi na służbę zdrowia

Nie po raz pierwszy okazuje się, że polska służba zdrowia stanowi worek bez dna. Branżowi eksperci wskazują często, że Polska i tak przeznacza na zdrowotność nawet połowę mniej środków per capita niż większość krajów zachodnich, niemniej jednak miniony rok uzmysłowił wszystkim zainteresowanym jeszcze bardziej to, że problemem nie jest wcale brak wystarczających środków na państwową służbę zdrowia, lecz sposób jej organizacji i zarządzania.

„Demokracja walcząca" bardzo chętnie zrzuca dziś winę za kondycję służby zdrowia na poprzedników, lecz obie ekipy w równym stopniu obciąża to, że w czasie pandemicznym drastycznie wzrosły budżety płacowe szpitali i przychodni. Pod rządami PiS personel medyczny został w zamian za milczenie na temat pandemii wręcz obsypany pieniędzmi, a tylko w okresie od marca 2020 r. do marca 2022 r. na dodatki covidowe wypłacono 10 mld zł, choć jeszcze w 2019 r. całkowity koszt wynagrodzeń w służbie zdrowia wynosił ok. 40 mld zł.

Dodatki covidowe nie były niestety czymś jednorazowym, lecz przyczyniły się do utrwalenia wynagrodzeń personelu medycznego na sztucznie wysokim poziomie. Minister Leszczyna próbowała nawet obronić się przed opinią publiczną, ujawniając skandalicznie wysokie uposażenia lekarzy, lecz została niemal natychmiast zaatakowana przez środowisko medyczne za rzekome przedstawianie nieprawdziwych danych. Równie szybko wzrosły też w ostatnim czasie wynagrodzenia pielęgniarek, którym oprócz covidowej bonanzy pomogły także przywileje wywalczone przez związki zawodowe za poprzedniej władzy.

Stanu, w którym średnie zarobki lekarzy są wyższe niż informatyków, z pewnością nie można uznać za naturalny. Ich praca jest oczywiście ważna i potrzebna, ale z korzyścią dla wszystkich byłoby, gdyby lepiej wynagradzane były zawody wymagające zaawansowanej wiedzy w zakresie programowania i znajomości najnowszych osiągnięć technologicznych, bo to właśnie głównie dzięki nim rozwija się cała reszta gospodarki.

POGRĄŻYĆ POLSKĘ POWIATOWĄ

Problem nieproporcjonalnie wysokich i napompowanych przez politykę pandemicznych zarobków personelu medycznego nie tłumaczy jednak w pełni obecnych zawirowań. Sednem problemu jest to, że obóz „uśmiechniętej Polski" całkowicie świadomie i z premedytacją realizuje w obszarze służby zdrowia tę samą politykę, której najbardziej jaskrawym przejawem jest zwijanie projektu CPK. Egalitarny w swej naturze projekt megalotniska i szprych kolejowych prowadzących nawet do powiatowych miast wyraźnie nie spodobał się wyborcom „uśmiechniętej koalicji", którzy wolą, aby utrzymane zostało obecne uprzywilejowanie największych ośrodków posiadających własne lotniska. Jak pokazały choćby badania IBRiS z ubiegłego roku, znaczna część wyborców Koalicji Obywatelskiej oczekuje, że po wygranych wyborach z 2023 r. wyborcy PiS będą na różne sposoby odczuwali niedogodności związane z przynależnością do „niższych warstw społecznych" oraz zamieszkiwaniem z dala od wielkich miast.

Przejawem tego niezwykle destrukcyjnego sposobu myślenia i działania jest choćby pomysł likwidacji oddziałów porodowych w mniejszych ośrodkach. Władza nie robi sobie absolutnie nic z tego, że znajdujemy się w samym środku katastrofy demograficznej; liczy się przede wszystkim to, żeby duże ośrodki miejskie były uprzywilejowane kosztem Polski powiatowej. Podobny schemat myślenia dał o sobie znać przy okazji decyzji o likwidacji kolejnych kierunków lekarskich na uczelniach w mniejszych ośrodkach. PiS dążył do tego, aby usługi lekarskie były bardziej dostępne, ale „demokracja walcząca" robi wszystko, aby liczba specjalistów była ograniczona oraz żeby byli oni dostępni głównie w dużych miastach. W tym właśnie kie-

eprasa.pl b2ee8dcb6b

runku zmierza m.in. planowana reforma szpitali zakładająca „dostosowanie systemu do zmian demograficznych", czyli ograniczenie dostępności świadczeń w mniejszych miejscowościach.

Powszechnym problemem służby zdrowia w ostatnich latach jest także coraz mniejsza motywacja lekarzy do pracy w placówkach publicznych. Mimo że praca na kontrakcie zapewnia nierzadko bardzo wysokie zarobki, wiąże się ona z bardzo dużym wysiłkiem. Tymczasem w sektorze prywatnym podobny efekt pieniężny można uzyskać bez niepotrzebnie wysokiego poziomu stresu.

W ciągu minionej dekady przeciętna płaca w Polsce wzrosła o 80 proc. i jako społeczeństwo jesteśmy w stanie przeznaczać na prywatne leczenie tak dużo, jak jeszcze nigdy dotąd. Tylko w 2023 r. wartość prywatnych usług medycznych osiągnęła poziom 75 mld zł. Wielu lekarzy, zauważając ten trend, poprzenosiło się na stałe do medycyny działającej na zasadach komercyjnych, zakładając nierzadko własne placówki. W czasach rządów PiS proces odchodzenia lekarzy z publicznej służby zdrowia starano się powstrzymać, oferując coraz wyższe wynagrodzenia, lecz w ostatecznym rozrachunku i tak poniesiono porażkę. Zadłużenie wielu szpitali wzrosło jeszcze bardziej, ponieważ ich budżety są dziś obciążone horrendalnie wysokimi płacami specjalistów.

Środowisko lekarskie, słysząc zarzuty na temat swoich wysokich zarobków, reaguje często z oburzeniem, wskazując na wysokie kwalifikacje potrzebne do praktykowania nowoczesnej medycyny. W tym samym środowisku istnieje jednak wręcz nieprzezwyciężalny opór przed tym, żeby dopuścić do większego udziału rynku w systemie i tym samym weryfikacji poziomu zarobków personelu medycznego. Panujący wciąż w Polsce powszechny strach przed prywatyzacją jest przy tym kompletnie irracjonalny, ponieważ w praktyce od dawna mamy już do czynienia z czymś, co przypomina system amerykański. W USA system ubezpieczeń zdrowotnych jest głównie oparty na prywatnych ubezpieczeniach finansowanych przez pracodawców, a publiczne systemy stanowią zaledwie pewne uzupełnienie. Formalnie w Polsce istnieją publiczne przychodnie i szpitale, ale dostępność świadczonych przez nich usług staje się wraz z każdym rokiem coraz bardziej iluzoryczna.

NIE MA PIENIĘDZY

Za swoje przywiązanie do iluzji publicznego systemu opieki zdrowotnej finansowanej przez monopolistę NFZ Polacy płacą coraz wyższą cenę. Aby osiągnąć w 2027 r. zapisany w Polskim Ładzie poziom wydatków na poziomie 7 proc. PKB, konieczne będzie znalezienie dodatkowych 55 mld zł względem obecnego roku. Tymczasem zgodnie z unijną procedurą nadmiernego zadłużenia polskie państwo będzie musiało już od przyszłego roku zdecydowanie ograniczać wydatki.

Jest właściwie przesądzone to, że rząd nie znajdzie obiecanych dodatkowych środków na służbę zdrowia, ponieważ już teraz ma zauważalne problemy z płynnością, czego najlepszym przykładem była niedawna emisja krótkoterminowych bonów skarbowych. Ministerstwo Finansów przekazuje na bieżąco środki dla NFZ w kwotach, które są minimalnymi dopuszczalnymi przez prawo, choć realnie potrzeby są dużo wyższe.

Powszechnym problemem służby zdrowia jest coraz mniejsza motywacja lekarzy do pracy w placówkach publicznych

Ostatnie miesiące stoją pod znakiem wyraźnego pogorszenia kondycji finansowej Narodowego Funduszu Zdrowia, który jeszcze w latach 2016–2019 otrzymywał z budżetu państwa dopłaty na poziomie 3,6–4,6 mld zł. W ubiegłym roku kwota ta wzrosła do ponad 20 mld zł, a w budżecie na przyszły rok może sięgnąć nawet 30 mld zł. Pomimo rekordowych dopłat NFZ i tak jest wciąż pod kreską.

Lekceważąc przez wiele lat horrendalną skalę kryzysu demograficznego, Polacy będą musieli się wkrótce zmierzyć z permanentnym i ostrym kryzysem w służbie zdrowia. Prognozy mówią, że do 2035 r. ubędzie ok. 30 proc. pracowników służby zdrowia, lecz w tym samym czasie zwiększy się o jedną trzecią liczba seniorów. NFZ będzie być może utrzymywany w sztuczny sposób przy życiu tak jak ZUS, ale poziom oferowanych przez niego usług będzie równie niski co przyszłe bieda-emerytury.

I CHOĆBY PRZYSZŁO TYSIĄC OWSIAKÓW

Wielkie nadzieje na przykrycie kryzysu w służbie zdrowia „demokracja walcząca" wiązała od początku z Jerzym Owsiakiem. Narastający kryzys wizerunkowy WOŚP związany m.in. z niejasnym rozdysponowaniem publicznych środków dla powodzian sprawia, że coraz mniej osób wierzy w rzekomo zbawczą misję skrajnie upolitycznionej fundacji. Zbierane przez Owsiaka środki od samego początku stanowiły zaledwie promile w skali całych finansowych potrzeb publicznej służby zdrowia, lecz w ostatnich latach znaczą jeszcze mniej. Kwota z tegorocznej edycji to 178 mln zł, co oznacza, że aby pokryć wszystkie publiczne wydatki zdrowotne państwa w 2025 r., należałoby zorganizować aż 1245 finałów.

Obecne kolejki do specjalistów są wciąż rekordowe w historii pomiarów, a z przychodni i szpitali płyną sygnały o ich dalszym wydłużaniu. Znaczna część wyborców „uśmiechniętej koalicji" to wielkomiejscy posiadacze abonamentów, dlatego często nawet nie mają świadomości tego, co wyprawia się w wielu placówkach finansowanych z NFZ.
Z perspektywy coraz większej liczby Polaków obecna sytuacja w służbie zdrowia przelewa jednak czarę goryczy, ponieważ z tak rażącą dysfunkcją nie mieli do czynienia już od bardzo dawna. Wprowadzone przez PiS w ramach Polskiego Ładu nowe zasady naliczania składki zdrowotnej przez przedsiębiorców były jednym z istotnych powodów odwrócenia się od tej formacji znacznego grona wyborców z klasy średniej. „Uśmiechnięta koalicja", mając dzięki tym zmianom do dyspozycji rekordowe kwoty na lecznictwo, i tak doprowadziła do faktycznej niewypłacalności NFZ. Słupki sondażowe z pewnością nie pozostaną na to obojętne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b2ee8dcb6b

Z ks. Danielem Wachowiakiem, proboszczem parafii pw. św. Brata Alberta w Koziegłowach koło Poznania
rozmawia Ryszard Gromadzki

Zło, na które przyzwoliliśmy

FOT. YOUTUBE.COM/@XDANIELOU

RYSZARD GROMADZKI: Kilka dni temu zamordowany został proboszcz parafii w Kłobucku koło Częstochowy. W listopadzie ofiarą brutalnego mordu padł w Szczytnie inny, bardzo zasłużony dla lokalnej społeczności ksiądz. Niemal każdego tygodnia do opinii publicznej docierają wiadomości o zniszczeniach i profanacjach obiektów kultu katolickiego. Komentując morderstwo w Kłobucku w mediach społecznościowych, napisał ksiądz: „Czy wy nie dostrzegacie, że antyklerykalna nagonka, zohydzanie Kościoła, stygmatyzowanie duchownych przynoszą swoje skutki? Masa wulgaryzmów i nienawiści zamieniła się w konkretne napaści i morderstwa". Co się stało z Polską, że to barbarzyństwo nikogo nie obchodzi? Media tak wrażliwe na wszelką dyskryminację zajmują się każdego dnia setkami zastępczych tematów, ale o mordach na księżach i napaściach na nich nie mówią. Dlaczego?

KS. DANIEL WACHOWIAK: Kiedy przed laty słyszałem o morderstwach księży w różnych krajach świata, np. w katolickim Meksyku, to się mocno dziwiłem, jak to jest możliwe, że wśród ludzi, którzy wyznają Pana Jezusa, mają światopogląd katolicki, dochodzi do tego rodzaju zbrodni. Ale gdy obserwuję to, co dzieje się w naszej ojczyźnie, a nie jest to tylko teoretyczna obserwacja, to zadaję sobie pytanie: Do jakiego punktu doszliśmy dziś w Polsce? Jak to się stało, że nienawiść wobec Kościoła czy wobec księży niektórzy ludzie potrafią zamienić w tak haniebny czyn, jakim jest morderstwo? Mam odczucie, któremu dałem wyraz w swoim wpisie, że od pewnego czasu w Polsce występuje nie tylko powszechne przyzwolenie na to, żeby obrażać katolików, bo to się działo u nas zawsze. Jest u nas wielu ludzi, którzy są katolikofobami czy antyklerykałami. Jeśli ktoś nie lubi Kościoła, księży czy nie znosi wiary katolickiej, już nie wnikam, czy ta nienawiść jest w nim zakorzeniona czy nabyta wskutek manipulacji, której ten człowiek uległ, to ja nie jestem w stanie wejść do jego wnętrza i wyrzucić z niego tych złych emocji. Można odrzucać Kościół, nie lubić księży czy katolików, ale nie można posuwać się do takiego punktu, w którym z tego powodu odbiera się życie innej osobie. Uważam, że napędzana w sferze publicznej nienawiść polegająca na tym, że księży się stygmatyzuje, wszystkich wrzuca do jednego wora pełnego najgorszych brudów, produkuje ludzi, którzy dopuszczają się morderstw na duchownych.

Trudno dziś zauważyć na ulicy księdza, który ma odwagę chodzić w sutannie. Bardzo brakuje takich prostych świadectw wiary w przestrzeni publicznej.

Z pewnym bólem powiem, że o ile jadąc na Zachód, widzi się odważnie noszących np. muzułmańską burkę, chustę, o tyle Kościół trawi choroba, która dotyka także sfery zewnętrznych strojów. Za pięknymi i prawdziwymi hasłami „liczy się przede wszystkim wnętrze" czasami strach przed świadectwem powoduje, że zakonnice czy księża nie ukazują na zewnątrz swojej wiary. Ufam jednak, że i to

eprasa.pl b2ee8dcb6b

się zmieni, gdy przeminie stare duchem pokolenie.

Nie sądzi ksiądz, że do coraz bardziej brutalnych ataków na Kościół i księży przyczynia się też słabość samych katolików w Polsce? Dało to o sobie znać podczas tzw. Strajku Kobiet kilka lat temu. Tylko nieliczni wierni mieli wówczas odwagę bronić kościołów przed zuchwałą dziczą. Myślę, że jeszcze mniej katolików gotowych jest stanąć w obronie swoich duszpasterzy. Katolicy w Polsce boją się publicznie demonstrować swoją wiarę. Wrogowie Kościoła doskonale to wyczuwają i wykorzystują.

Coś się z Polakami takiego stało, że dyskutujemy przy stole podczas spotkań rodzinnych, w pracy o sytuacji w kraju czy w Kościele. Lubimy krytykować i narzekać. Ale nie potrafimy już głośno i zdecydowanie zaprotestować przeciw złu, nie wystarczy widzieć paskudztwo wokół nas, trzeba jeszcze podjąć konkretne, realne kroki, żeby je usunąć. Tego mi brakuje nie tylko w wymiarze Kościoła. Polacy stracili „cojones".

Wyrastałem w przekonaniu, że jesteśmy dzielnym narodem. Niestety, rzeczywistość coraz częściej koryguje ten obraz.

Mnie to zjawisko też uderza, smuci i boli. Tak jak byśmy dali sobie wmówić, że krytykowanie wszystkich i każdego, ale tylko w Internecie czy na spotkaniach rodzinnych i firmowych, jest szczytem naszej aktywności publicznej. To rzecz, z którą się głęboko nie zgadzam. Marudzić i narzekać potrafią wszyscy, krytykować umie każdy. Dopóki krzywda nie dotknie bezpośrednio mnie, dopóty nie kiwnę palcem, żeby wstawić się za tymi, którzy są deptani. Uważam, że ta cecha, którą wykreowano w Polakach w ostatnich latach, jest czymś przerażającym. Choć to pełzało już wcześniej. Daliśmy się paskudnie podzielić, co dało już o sobie znać po katastrofie smoleńskiej podczas nienawistnych ekscesów skierowanych przeciw modlącym się ludziom na Krakowskim Przedmieściu.

Potrzebujmy jako społeczeństwo wstrząsu? Próby ognia, żeby zatrzymać rozkład, który toczy naszą narodową wspólnotę?

Obawiam się, że tak. Patrząc z perspektywy teologicznej, odwołam się do Roku Jubileuszowego, który właśnie przeżywamy. Jednym z kluczy do jego właściwego odczytania jest chrześcijańska nadzieja. Z bólem dostrzegam zjawiska, które niszczą polską wspólnotę, ale wciąż nie tracę nadziei. Nie chodzi o naiwny optymizm, bo to postawa emocjonalna polegająca na tym, że mi się wydaje, że będzie dobrze. Ale nie zrobię nic w tym kierunku, bo na pewno będzie wspaniale. Tymczasem nadzieja chrześcijańska zakłada, że dokonam jakiegoś dzieła, podejmę konkretne czyny. Tym się różni nadzieja od optymizmu, że ja ufam, iż przyszłość będzie dobra, ale muszę pracować nad tym, żeby tak się stało. Zło, które tak szeroko rozpanoszyło się w sercach Polaków, jest skutkiem tego, że na to przyzwoliliśmy.

To, co ksiądz mówi, skłania do wniosku, że polscy katolicy, Kościół w Polsce, który przez dziesięciolecia ogrzewał się w cieple pontyfikatu Jana Pawła II, ma przed sobą wielkie zadanie do przepracowania, jeśli chce odbudować siłę społeczną i nadal przyciągać ludzi i zatrzymać spustoszenia, które zły duch spowodował w naszym narodzie.

Z perspektywy duchowej trudno nie dostrzec ingerencji złego ducha w procesy, o których mówimy. Natomiast to my sami daliśmy na to przyzwolenie. Patrząc na najnowszą polską historię, mam nadzieję, że nie w naiwny sposób. Także w okresie pontyfikatu Jana Pawła II w Polakach był pewien rodzaj antyklerykalizmu, pewien rodzaj letniości katolickiej. Z tym że w czasach Jana Pawła II katolicyzm w Polsce miał jeszcze charakter masowy, choć wewnętrznie wielu ludzi popadało w rodzaj religijnej obłudy i hipokryzji. W ciągu kolejnych lat wrogom Kościoła udało się umiejętnie przesterować te antyklerykalne uprzedzenia w niejednym Polaku. To medialne, publiczne i polityczne przyzwolenie na „nielubienie Kościoła" wyzwoliło w ludziach, którzy nie byli mocno przekonani do swego katolicyzmu, definitywne zerwanie z Kościołem. Oni nawet chętnie przyjmowali sakramenty, ale ten „paskudny katolicyzm" bardzo ich uwierał. To szerokie przyzwolenie na niechęć do Kościoła wywołało swoiste odreagowanie w wielu ludziach na pontyfikat Jana Pawła II, które przejawia się dziś we wzmożonej agresji wobec księży i ludzi wierzących. Tak jakby przez lata tłumili w sobie tę złą energię, którą teraz wreszcie mogą z siebie wyrzucić, nie zauważają tego, że w ostatecznym rachunku to dla nich samych się źle skończy.

Może to dobrze dla przyszłości Kościoła w Polsce, że maski opadły. Katolicyzm w Polsce straci masowy charakter, ale za to przetrwa dzięki autentycznej wierze wyznawców, którzy pozostaną.

Zdecydowanie wolę sytuację, w której w Kościele będzie mniej ludzi, ale za to ci, którzy pozostaną, będą przychodzili na spotkanie z Panem Bogiem z otwartym sercem i intelektem. Parafrazując o. Pio, „wolę pusty kościół niż pełen diabłów". Ponadto żal mi tych, którzy nie mając łaski wiary, przywdziewają szaty katolikofobów. Na szczęście znam też takich ateistów, którzy łaski wiary nie mają, ale mają szacunek dla kodu kulturowego, do tego wszystkiego, co chrześcijaństwo przyniosło światu, i nie wyobrażają sobie, żeby nie budować przyszłości naszej cywilizacji bez odniesień do Ewangelii. Wiele osób pozbawionych łaski wiary dostrzega, że to chrześcijaństwo stworzyło najpiękniejszą kulturę, a świat, który od chrześcijaństwa się odcina, sam szykuje sobie stryczek. Ludziom zaczynają otwierać się oczy, kiedy widzą owoce liberalnych rządów. Być może to będzie dla nich impulsem, żeby wrócić do mądrego konserwatyzmu, czyli również wiary.

Hasło „Polak katolik" definitywnie straciło rację bytu?

Nigdy nie byłem entuzjastą tego typu formuł. Nie używam takich określeń, bo można być Polakiem, nie będąc katolikiem, ale mam nadzieję, że przyszłość pokaże, iż Polak to jednocześnie człowiek mądry, odważny i nieodcinający się od chrześcijańskich korzeni, które ukształtowały Polskę.

Czy my, Polacy, mamy jeszcze coś do zaoferowania zlaicyzowanej, pogrążonej w dekadencji Europie?

Trudne pytanie. Ci wszyscy, którzy swą postawą zaprzeczają temu, o czym mówiliśmy w naszej rozmowie, a więc mają odwagę wiary, odwołują się do chrześcijaństwa, zachowują tożsamość. Wtedy w kontaktach z Niemcami, Francuzami czy Czechami ta nasza tożsamość nie zostanie unicestwiona czy anulowana. Człowiek obdarzony tożsamością wiary zawsze ubogaca drugiego człowieka.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b2ee8dcb6b

Wychować hazardzistę

Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Niewinnie wyglądające „skrzyneczki", pozwalające na osiąganie kolejnych leveli w grze lub zdobywanie ulepszeń postaci (niekiedy wręcz niezbędnych, by wygrywać), stały się odpowiednikiem hazardu dla dzieci. Są też internetowe kasyna, których szata graficzna ma przemówić do dziecięcej wyobraźni

Loot boxy" (określenie stosowane w środowisku gamingowym, z języka angielskiego „skrzynki") to element występujący w wielu popularnych grach, nie tylko w tych skierowanych do dzieci, np. „Fortnite", „Call of Duty",, „Rocket League", „EA Sports FC" (dawna „FIFA") czy „Counter-Strike". W owych pojemnikach gracz znajduje losowe, wirtualne przedmioty, które mogą poprawić jego możliwości lub po prostu wyróżnić wizualnie jego postać. Nigdy nie wiadomo, co to będzie, a to wprowadza uzależniające poczucie niepewności i ekscytacji. Jednocześnie słaba zdobycz tylko motywuje do tego, aby otworzyć kolejną „skrzynkę" i się odkuć. Jak zdobyć taki item (znowu slangowe określenie na „przedmiot")? „Loot boxy" otwiera się albo za dobre wyniki w grze, albo za wirtualną walutę, pozyskiwaną za zdobywanie kolejnych leveli, lub też za realne pieniądze (tzw. mikropłatności).

HAZARD CZY NIE HAZARD?

Choć wszystko odbywa się w świecie wirtualnym, to eksperci od uzależnień wskazują, że „skrzynki" nie różnią się wiele od automatów do gier. Maciej Frasunkiewicz, psycholog zajmujący się zachowaniami społecznymi dzieci i młodzieży z SWPS, wyjaśnia, dlaczego mechanizm łączący losowość i mikrotransakcje stanowi zagrożenie. „Takie środowisko wciąga, bo młodzi mogą próbować osiągnąć sukces za prawdziwe pieniądze, a to czasem wprowadza ryzykowne nawyki powiązane z hazardem" – mówił w rozmowie z „Wysokimi Obcasami". Sprawą „loot boxów" zajął się w 2018 r. polski rząd. Wtedy chodziło o grę „Star Wars: Battlefront 2", w której ramach oferowano „gwiezdne karty", wymagane do poprawiania możliwości postaci w grze, które można było zdobyć m.in. w „skrzynkach". Sprawą zainteresowali się regulatorzy m.in. z Wielkiej Brytanii i ze Szwecji oraz właśnie z Polski. Ministerstwo Przedsiębiorczości i Technologii przekazało, że „klient kupujący towar w sklepie ma prawo oczekiwać, że towar będzie w 100 proc. pełnoprawnym produktem, z którego będzie mógł w pełni korzystać, a do ukończenia którego [ukończenia całej gry – przyp. red.] nie będzie musiał dokonywać dodatkowych zakupów". Zapowiedziano konsultacje i obiecano, że „po ich zakończeniu zostaną podjęte decyzje co do ewentualnych działań regulacyjnych". Z kolei Ministerstwo Finansów wydało taki komunikat: „Na bieżąco monitorujemy i analizujemy sygnały dotyczące organizacji przedsięwzięć, które mogą zawierać elementy losowe, jak również działania państw członkowskich w tym obszarze".

Sprawa miała swój ciąg dalszy, ponieważ w roku 2019 Ministerstwo Finansów stwierdziło, że wirtualne „skrzynki" nie mają znamion hazardu. „Sam element losowości w danym przedsięwzięciu nie przesądza o hazardowym charakterze danej gry. W praktyce może występować wiele przedsięwzięć, które częściowo mają charakter losowy, jednak nie są one hazardem. Gry wykorzystujące w swej formule loot boksy nie wypełniają przesłanek żadnej z gier hazardowych, które są wskazane w zamkniętym katalogu ustawy" – poinformowało MF.

> **Zagrożeniem są internetowe kasyna. Są takie, których reklama wygląda niczym skrojona pod 10-latka**

W 2023 r. Ministerstwo Finansów wpisało serwis Keydrop, jedną z najpopular-

eprasa.pl b2ee8dcb6b

FOT. ADOBE STOCK

niejszych platform ze „skrzyneczkami", do rejestru domen służących do oferowania gier hazardowych niezgodnie z ustawą. To jednak nie sprawiło, że dostęp do tego rodzaju „zabaw" stał się trudniejszy, ponieważ weryfikacja wieku internautów to zazwyczaj zwykła fikcja (wystarczy zadeklarować, że jest się osobą pełnoletnią; nie wszystkie platformy wymagają dokumentu tożsamości), a „loot boxy" można też kupić bezpośrednio w grze. Na platformach typu Keydrop za „skrzynki" nie płaci się wirtualnymi monetami czy punktami, ale pieniędzmi. Dzięki temu, że serwisy są zarejestrowane w innych krajach, łatwo obchodzą obowiązującą od 2009 r. ustawę o grach hazardowych, która jasno mówi, że hazard to aktywność dla osób powyżej 18. roku życia.

CIASTECZKOWE KASYNA

Oprócz „skrzynek" z itemami do gier innym czyhającym na nieletnich zagrożeniem są internetowe kasyna. Są takie, których reklama wygląda niczym skrojona pod 10-latka. – Jakiś czas temu znalazłam stronę kasyna, które miało szatę graficzną jak kreskówka: ciasteczka, piesek, laleczka. Wystarczy wpisać imię i nazwisko, nikt nie weryfikuje wieku osoby, która się loguje, ważna jest tylko karta kredytowa. Gdyby miało ją dziecko, mogłoby zacząć grać – zaznacza Maja Ruszpel, certyfikowana specjalistka psychoterapii uzależnień, prezes fundacji Inspiratornia. Z badania CBOS z 2017 r. wynika, że po taką „rozrywkę" potrafią sięgać już dziewięcioletnie dzieci. Największe zainteresowanie jest w przedziale wiekowym 14–16 lat. Wystarczą dostęp do Internetu i karta płatnicza. „Strony są bezustannie blokowane, ale jeśli zablokowane kasyno internetowe nazywało się na przykład Cookie, za chwilę pojawia się nowe – Cookie1. To bardzo trudne do uregulowania" – dodaje Ruszpel w rozmowie z „Wysokimi Obcasami".

NIEWIEDZA RODZICÓW

Kolejny raz się okazuje, że rodzice nie mają pojęcia, co ich nawet kilkuletnie dzieci robią w Internecie. – Wynika to z różnych powodów: bariery technologicznej, braku wiedzy o ciągle zmieniających się trendach w Internecie, odpowiedniej motywacji, a często również ze zwyczajnego braku czasu. Rodzice nie zawsze rozumieją, że świat on-line to dla ich dzieci przestrzeń relacji społecznych, taka jak kiedyś podwórko. Tyle że to nowe podwórko zawiera dziś portale do różnych miejsc, do których nigdy wcześniej nie było tak łatwego i niekontrolowanego dostępu – komentuje Maciej Frasunkiewicz.

Oprócz trudności dorosłych z nadążeniem za internetowymi nowinkami warto zwrócić uwagę na ogromny wpływ, jaki na dzieci mają influencerzy. Niezwykle popularną grupą są streamerzy, których głównym contentem są właśnie gry internetowe. Chęć szybkiego i atrakcyjnego zarobku sprawia, że wielu takich influencerów, których oglądają małoletni, reklamuje serwisy ze „skrzynkami". Jesienią 2024 r. popularny youtuber Konopsky (ten sam, który wcześniej brał udział w ujawnianiu tzw. pandoragate), opublikował film pt. „Mafia hazardowa polskiego Internetu". Skupił się tam na serwisie Keydrop, wymieniając nazwiska twórców, którzy go reklamowali. „Brak dogłębnej weryfikacji wieku oznacza, że do społeczności Keydropa mogą dołączyć nawet dzieci. Strona jest dla nich bardzo atrakcyjna dzięki kolorowej szacie graficznej oraz animowanym podobiznom superbohaterów na wirtualnych skrzynkach, a sami streamerzy reklamowali nawet kody do Keydropa z okazji Dnia Dziecka. Najmłodsi mogli również bez wiedzy rodziców doładowywać swoje konta na Keydropie, nie posiadając konta w banku – oprócz BLIK-a czy kart VISA strona akceptowała bowiem formę płatności przez PaysafeCard" – opisuje Spiders Web.

Gdy w listopadzie 2023 r. strona Keydrop została wpisana do Krajowego Rejestru Domen Służących do Oferowania Gier Hazardowych Niezgodnie z Ustawą, internetowi influencerzy zaczęli masowo usuwać swoje filmy, w których reklamowali serwis (oraz inne strony działające na takiej samej zasadzie). Według Konopsky'ego twórcy mogli zarobić na tej współpracy nawet po kilkadziesiąt tysięcy złotych. Wyliczył też, że sama strona mogła zarobić – uwaga – 1,5 mld zł. Tymczasem regulamin strony głosił: „KeyDrop nie gwarantuje, że informacje zawarte na ich stronie są kompletne, prawdziwe, dokładne i że nie wprowadzają w błąd".

Alarmujące dane zawiera badanie Krajowego Centrum Przeciwdziałania Uzależnieniom, przeprowadzone w 2024 r. Wynika z niego, że nastolatki uprawiające hazard i deklarujące wiedzę rodziców na temat swojej gry najczęściej mówią w tym kontekście o obojętności rodziców, których nie interesuje ten aspekt aktywności dzieci (58,4 proc.). Pozostali młodzi gracze spotykają się z negatywną reakcją i zniechęcaniem. Z deklaracji badanych niepełnoletnich dowiadujemy się też, że tylko w niemal połowie przypadków (49,1 proc.) opiekunowie wiedzą o hazardowej aktywności swoich podopiecznych. „W porównaniu z danymi z 2019 r. odsetek deklaracji potwierdzających wiedzę rodziców na temat gry nieco wzrósł, jednak z uwagi na ograniczoną liczebność grających nastolatków należy tę pozytywną zmianę traktować z ostrożnością" – zastrzega KCPU. Do hazardu bardziej skłonne są dzieci z bogatszych domów – 81,8 proc. deklaruje dobrą sytuację materialną. „Można zatem sądzić, że w ich przypadku istotną motywację do uczestnictwa w hazardzie stanowią czynniki pozafinansowe" – zauważa Centrum.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b2ee8dcb6b

Amerykańscy chłopcy

Piotr Gociek

Najciekawszy serial o wojnie wietnamskiej od czasów dokumentu Kena Burnsa trafił właśnie do Apple TV+

Pewne pomysły wydają się oczywiste, ale dopiero wtedy, kiedy zrobi z nich użytek ktoś inny – bardzo łatwo we wszystkim być drugim, ale cholernie trudno jest być tym pierwszym. Dokumentalna seria „Wietnam: wojna, która odmieniła USA" („Vietnam: The War That Changed America") to opowieść, która zapiera dech w piersiach, choć reżyser Rob Coldstream i producentka Caroline Marsden nie zrobili niby niczego specjalne zaskakującego: sięgnęli do archiwalnych nagrań i nagrali świadków wydarzeń. Ale liczy się to, w jaki sposób połączyli te źródła, tworząc nową jakość.

Serial wyprodukowany dla Apple TV+ (i tam dostępny) przynależy do najpopularniejszego dziś gatunku non-fiction, tzn. historii subiektywnej, historii osobistej, emocjonalnej opowieści uczestników wydarzeń, którzy niby mówią o tym, co znamy z książek historycznych i reportaży, a mimo to mamy wrażenie, jakbyśmy odkrywali nowy wymiar.

PIERWSZA „WOJNA TELEWIZYJNA"

I tak rzeczywiście jest. Oto kilku weteranów wojny wietnamskiej wspomina swe wojenne losy. Ich słowa wzbogacone są warstwą wizualną – rzecz niby oczywista – ale już w pierwszym kwadransie pierwszego odcinka odkrywamy, jak nietypowe połączenie nas czeka. Chłopak dowodzący jednym z plutonów, które brały udział w pierwszej bitwie sił amerykańskich z Vietcongiem, czyli bitwie w dolinie Ia Đrăng, wspomina tamte dni – tu przygwoździli nas ogniem, tu wzięliśmy do niewoli pierwszego jeńca, tu sąsiedni pluton został otoczony i musieliśmy ruszyć z odsieczom. Co widzimy na ekranie? Ano archiwalne filmy, które dokumentują, jak autor tych słów ląduje w Ia Đrăng; widzimy jego oddział, widzimy po raz ostatni towarzyszy broni, którzy za chwilę zginą, widzimy moment, w którym schwytano owego pierwszego jeńca. To są wszystko autentyczne rolki filmu.

Dopiero od tej chwili zaczynamy rozumieć, jak wiele prawdy kryje się w słowach, że była to pierwsza „wojna telewizyjna". Nie dość, że na lądujących w Wietnamie żołnierzy czekało mrowie reporterów (są i takie niesamowite ujęcia), jakby była to ceremonia wręczania

eprasa.pl b2ee8dcb6b

Serial wyprodukowany dla Apple TV+ (i tam dostępny) przynależy do najpopularniejszego dziś gatunku non-fiction

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Oscarów, a schodzący z okrętów wojacy maszerowali po czerwonym dywanie, to jeszcze wielu z nich było dopuszczonych potem do rejestrowania działań wojennych. Oprócz tego zachowała się także wielka obfitość materiału kręconego przez operatorów wojskowych: ta wojna naprawdę została zarejestrowana na taśmie filmowej.

Efekt jest oszałamiający, mogę porównać go tylko z uczuciem, które towarzyszyło mi podczas oglądania znakomitego dokumentu Petera Jacksona „I młodzi pozostaną" („They Shall Not Grow Old", 2018). Jackson dokonał rzeczy niezwykłej – po pierwsze, archiwalne materiały z pierwszej wojny światowej cyfrowo zrekonstruował i przystosował prędkość zmiany klatek taśmy do współczesnych standardów, dzięki czemu nie oglądaliśmy już zabawnych ludzików na przyśpieszonych obrotach, tylko realistyczny dokument. Po drugie, z archiwum Imperial War Museum wyciągnął ocalałe nagrania audio weteranów, którzy przeżyli. I z tego wszystkiego zmontował szokujący obraz życia w okopach. (Film powstał na zamówienie Brytyjczyków, by upamiętnić 100. rocznicę zakończenia wojny).

Reżyser Rob Coldstream idzie tym tropem, wszędzie, gdzie tylko może, stara się dopasować wypowiedzi bohaterów serialu do nagrań, które dokumentują dokładnie te wydarzenia, o których opowiadają. Nie zawsze jest to możliwe, ale i tak efekt jest niesamowity. Oto jeden z żołnierzy wspomina, jak po raz pierwszy Amerykanie natrafili na system podziemnych tuneli i schronów wykopanych przez Vietkong – na ekranie widzimy nieco późniejsze nagrania z filmu szkoleniowego, kiedy to ekipa armijna penetrowała podobne podziemia. „Wietnam: wojna, która odmieniła USA" to opowieść, która wrzuca nas w środek koszmaru i pozwala go odbierać emocjami zbliżonymi do tych, które towarzyszyły żołnierzom. Wszystko to spina dostojna, nieco elegijna narracja, za którą odpowiada aktor Ethan Hawke.

Najlepszym serialem dokumentalnym o Wietnamie pozostaje 10-odcinkowy „The Vietnam War" nakręcony przez Kena Burnsa i Lynn Novick. Polscy widzowie mogli go oglądać przez jakiś czas w serwisie Netflix, ale zniknął już z listy dostępnych w Polsce produkcji. Burns słynie z charakterystycznego powolnego stylu, drobiazgowego researchu i przywiązywania ogromnej wagi do źródeł pisanych – zwłaszcza zapisków bohaterów wydarzeń – oraz do archiwalnych fotografii. Pozwoliło mu to stworzyć pasjonujące opowieści o erze prohibicji, jazzie czy Hemingwayu, a przede wszystkim niezwykły dokument „The War" o drugiej wojnie światowej. W tym opus magnum niemal cała narracja pochodzi z nagrań wspomnień żołnierzy; materiał zdjęciowy i filmowy też jest niezwykły. Ogląda się to równie dobrze jak fabularne seriale Spielberga i Hanksa „Kompania braci" czy „Pacyfik".

Dlaczego mimo całej emocjonalnej siły serial „Wietnam: wojna, która odmieniła USA" nie może dorównać dokonaniu Burnsa? Przede wszystkim Burns starał się opowiedzieć całą historię. To znaczy zaczął od przypomnienia, skąd właściwie wzięli się na tej wojnie Amerykanie i z jakich powodów ich zaangażowanie wzrastało. A nie da się tej historii opowiedzieć bez przypomnienia, jak nacjonaliści chińscy przegrali z komunistami wojnę o Chiny, jak długo i z jak fatalnym skutkiem kończyło się francuskie panowanie w Indochinach. No i wreszcie bez wskazania jasno, że Amerykanie w wyniku takiej, a nie innej kalkulacji strategicznej, w obliczu komunistycznego zagrożenia, po prostu przejęli po nieudolnych i okrutnych Francuzach (najgorsza kombinacja) zapalną sytuację w Wietnamie.

Francja zdążyła przed ostatecznym krachem jej imperialnych snów poprowadzić jeszcze jedną wojnę kolonialną w Algierze. Amerykanie zaś dostali pod opiekę kraj wybijający się na niepodległość, który w obliczu komunistycznej infiltracji oraz niekompetencji skorumpowanych władz lokalnych nie potrafił sam zadbać o swoje bezpieczeństwo i integralność terytorialną. Przypominać o tym wszystkim trzeba do upadłego, bo w głowach przeciętnego konsumenta kultury masowej funkcjonuje budowany przez dekady przez lewicę mit: był sobie szczęśliwy, idylliczny kraj, w którym mieszkali mili sympatyczni ludzie. Aż pewnego dnia, nie wiadomo dlaczego – zapewne wskutek wrodzonego łajdactwa USA – najgorsi ludzie na świecie, tzn. Amerykanie, postanowili zrzucić na nich napalm. Otóż nie, ta historia jest dużo bardziej skomplikowana.

WOJNA DZIECI

Twórcy serii „Wietnam: wojna, która odmieniła USA" mieli nieco inny cel. Oprócz tego, że postawili na emocje, zawęzili zgodnie z tytułem pole widzenia. Nie chodzi im o przyspieszony kurs historii drugiej połowy XX w., ale o to, jak konflikt wietnamski odmienił społeczny pejzaż Ameryki. Zanim jednak do tego dojdą, dostajemy bardzo wiarygodny obraz wojny widzianej od środka, sytuacji granicznych, gdzie liczą się kwestie podstawowe:

APPLE TV+
„WIETNAM: WOJNA, KTÓRA ODMIENIŁA USA"
USA 2025

eprasa.pl b2ee8dcb6b

Reżyser Rob Coldstream stara się dopasować wypowiedzi bohaterów do nagrań, które dokumentują dokładnie te wydarzenia, o których opowiadają FOT. MATERIAŁY PRASOWE

lojalność, odwaga, i jakże często po prostu szczęście. Nie chcę za wiele zdradzać, bo podążanie za powikłanymi losami weteranów obfituje w nieoczywiste zwroty akcji i jest bardziej emocjonujące od oglądania niejednego filmu fabularnego.

Na temat „Wietnam a życie codzienne USA" napisano setki opasłych tomów. Przemyślenia żołnierzy nie są specjalnie oryginalne: oczekiwali innej wojny. Byli wychowani na kulcie bohaterów drugiej wojny światowej, gdzie linie podziału narysowane były jasno: tu źli, tu dobrzy, trzeba ocalić świat wolności przed zakusami ludobójczego tyrana. Prawdziwą klęskę w Wietnamie ponieśli nie żołnierze, lecz politycy, którzy nie potrafili wytłumaczyć, dlaczego właściwie ta wojna jest toczona. Oraz generałowie, którzy nie potrafili elastycznie dostosować przygotowań i szkolenia oraz sztuki wojennej do wymogów zupełnie innego teatru wojennego, konfliktu – jak dziś mówimy – asymetrycznego.

Jeden z bohaterów serialu wspomina, w jakim szoku znalazł się po powrocie z Wietnamu, gdy zobaczył, jakich rozmiarów – i jak bardzo radykalny – jest ruch antywojenny. „Z początku myślałem, że to wszystko zdrajcy i komuniści" – mówi. Cóż, może akurat nie oni i akurat nie wszyscy, ale przecież dopiero mając dostęp do ujawnionych po latach archiwów, poznajemy prawdę (prawdę, której ani Hollywood, ani liberalno-lewicowe media nie ujawnią). Dwa opasłe tomy serii „Annały komunizmu" przygotowanej na uniwersytecie w Yale (dokumenty z sowieckich archiwów) pokazują, że niemal cały amerykański ruch związkowy to była po prostu sowiecka agentura. Folkowy pieśniarz Pete Seeger, oglądany niedawno na ekranie w filmie o Bobie Dylanie („Kompletnie nieznany"), był stalinistą i sowieckim agentem wpływu. I tak dalej. Ci, którzy obrzucali obelgami chłopców wracających z Wietnamu, mieli często dobre chęci i jeśli grzeszyli, to łatwowiernością oraz naiwnością. Ci, którzy nimi sterowali, to już zupełnie inna historia.

Tak czy inaczej, serial Roba Coldstreama i Caroline Marsden ogląda się znakomicie, bo najważniejszy jest w nim ludzki punkt widzenia. Uczciwych analiz społecznych i politycznych szukać trzeba gdzie indziej. Warto jednak dostrzec, jak opowieść ta dobrze wpisuje się w nastroje współczesnej Ameryki. „Wietnam: wojna, która odmieniła USA" trafia do widzów w 50. rocznicę upadku Sajgonu, żałosnego odwrotu upokorzonego imperium (stolicę Wietnamu zdobyto 30 kwietnia 1975 r.).

Kiedy Amerykanie rozpoczynali swe zaangażowanie w wojnę wietnamską, szczycili się mianem armii, która nie przegrała jeszcze w dziejach żadnej wojny. Dziś Stany Zjednoczone mają za sobą wstydliwą i dramatyczną rejteradę z Afganistanu, zadziwiająco przypominającą haniebne sceny z roku 1975. Niemal powszechne jest też w USA przekonanie, że druga wojna w Iraku okazała się przedsięwzięciem nieprzemyślanym i nadmiernie kosztownym. Nie dziwi więc łączące zwaśnione partie polityczne oraz ich wyborców oczekiwanie, by nie angażować wojsk w ryzykowne i niepotrzebne eskapady w odległych zakątkach globu.

Dyskusja na temat polityki międzynarodowej USA, która zajmuje dziś komentatorów, publicystów i polityków, bezpośrednio powiązana jest ze sporem o wnioski ze wszystkich tych trzech wojen (Wietnam, Afganistan, Irak). Kiedy, w jakim stopniu i w imię czego mocarstwo może angażować się w działania militarne z dala od swoich granic? Pytanie „W imię czego?" mam zresztą za najważniejsze. Amerykańcy politycy z lat 60., którzy wysyłali kolejne oddziały do Wietnamu, mówili o strategii powstrzymywania komunizmu i o teorii domina (zdobycie przez komunistów jednego kraju w Azji Południowo-Wschodniej miało doprowadzić do upadku kolejnych). W dużym stopniu mieli rację – upadek Sajgonu oznaczał nie tylko przerobienie Wietnamu na komunistyczny gułag, lecz także otwierał drogę do ludobójstwa w Kambodży.

Neokonserwatyści ery Busha mówili o konieczności eksportu praw człowieka i budowie demokracji w krajach, które dotąd tych dobrodziejstw nie zaznały. Napięcie między optymizmem prezydenta Woodrowa Wilsona a izolacjonizmem prezydenta Jamesa Monroego zawsze definiowało amerykańską politykę zagraniczną. Dziś Trump wybiera drogę bliższą temu ostatniemu, ale być może tylko kwestią czasu jest to, czy nie będzie musiał znów podejmować najtrudniejszych decyzji: dokąd i ilu wysłać amerykańskich chłopców.

I odkładając na bok wszelkie rozważania, które jakże łatwo snuć z kanapy przed telewizorem albo fotela dziennikarza, to właśnie twarze amerykańskich chłopców pozostają nam w pamięci najdłużej po obejrzeniu serialu „Wietnam: wojna, która odmieniła USA". Chłopcy, młodzieńcy, dzieci. Wielu z nich musiało zdobywać porośnięte dżunglą wzgórza, zanim jeszcze mogli legalnie kupić i wypić butelkę piwa. Sprawy, w imię których toczy się walka, bywają słuszne i niesłuszne. Ale każda wojna jest wojną dzieci.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b2ee8dcb6b

FOT. BLOGPRESSPORTAL/YOUTUBE

Czarna owca

Krzysztof Masłoń

Według specjalistów od śpiewu i mas na miano barda zasługuje ten tylko, kogo oni za takiego uważają. A ponieważ Leszek Czajkowski jest im solą w oku, rzekłbym od zawsze, jego twórczość kwitują, w zależności od humoru, albo niewybrednymi epitetami, albo wzgardliwym milczeniem. Czasem, acz z rzadka, ktoś go niechętnie nazwie bardem polskiej prawicy. Co ma to znaczyć, w gruncie rzeczy nie wiadomo, Czajkowski więc podpowiada w swojej „Wizytówce":

Mówią o mnie czarna owca
Wrogów mam pokaźną listę
Łączę w sobie narodowca
Oraz antykomunistę.

Horribile dictu! Ten antykomunizm można by, od biedy, jakoś zglajchszaltować, ale narodowiec to – jak ustalono na Czerskiej i Wiertniczej – Public Enemy Number One całej postępowej ludzkości. A ten jeszcze się odgraża!

Nie przemogli nas czerwoni,
teraz czasy są łaskawsze
Nam pisane Krzyża bronić
Wczoraj, dzisiaj, jutro, zawsze.

Nagrał cieszące się dużym powodzeniem „Śpiewniki oszołoma" i „Pieśń kontrrewolucjonisty". Z koncertami granymi wspólnie, najpierw z Jakubem Mędrzyckim i Pawłem Piekarczykiem, a potem już tylko w duecie z Pawłem, zjeździł całą Polskę, a i Amerykę z Kanadą pospołu, przy akompaniamencie gitary przekazując prawdziwą historię Polski, tę, której uczeń polskiej szkoły od czasu, jak zarządza nią pewien nawiedzony babsztyl, poznać nie ma szans. Tymczasem Czajkowski z olimpijskim spokojem opowiada o generale „Nilu", Witoldzie Pileckim, „Ince" i innych polskich bohaterach. I jakoś tak, między kolejnymi koncertami a pracą w Urzędzie do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, prezydent Duda odznaczył go Krzyżem Kawalerskim za „wybitne zasługi w pielęgnowaniu pamięci o najnowszej historii Polski, a w szczególności o dziejach Żołnierzy Wyklętych".

Pierwszy swój koncert zagrał jako 17-latek w 1984 r. Oczywiście w mieszkaniu prywatnym, śpiewając pełnym głosem „o sprawach, które dobrze znamy". Posiłkował się wtedy głównie twórczością Jacka Kaczmarskiego, którym był zafascynowany. Wiele lat później, po śmierci artysty, oddał hołd temu mistrzowi swojej młodości, pisząc „Epitafium dla Jacka Kaczmarskiego". Zauważył wszakże:

Wino przynoście w dzbanach
Dla nowego kompana
Marzyciela, Sarmaty, żyjącego pod prąd
Świetlistością go mierzy
Ten, w którego uwierzył
W przedostatniej godzinie – miłosierny jest Sąd.

Z sarmatyzmem twórcy innego epitafium – dla Wysockiego – nie przesadzałbym, niemniej ranga dorobku Jacka Kaczmarskiego w pełni upoważnia nie tylko do wymieniania go jednym tchem z Brelem, Brassensem czy Krylem, że o Galiczu i Okudżawie już nie wspomnę, lecz także traktowania tej twórczości jako absolutnie wyjątkowego zjawiska, daleko wykraczającego poza granice znaczone songami zarówno jego poprzedników, jak i następców.

W istocie zresztą to Kaczmarski był pierwszym, który ośmielił się (już w 1978 r. w utworze „Świadkowie") pełnym głosem wypowiedzieć, wyśpiewać, wykrzyczeć prawdę o Żołnierzach Wyklętych, których wtedy tak jeszcze nie nazywano. Podkreśla to sam Czajkowski, któremu pierwszeństwo to, z racji jego pieśni „Żołnierzom Wyklętym", jest przypisywane:

Osuszył czas mokradła krwi
Czerwone słońce już w zenicie
Czy warto było w wojny dni
Za taki kraj oddawać życie

Słychać pokoleń drwiący śmiech
To komuniści mają święto
Lecz Mądry Bóg w Osobach Trzech
Pojmuje za co Was wyklęto

Zanim ostatni pójdzie z Was
W niebieskiej partyzantce służyć
Wszyscy staniemy jeszcze raz
Może historia się powtórzy...

W 2002 r. swoją polityczną poezję zebrał w tomie „Polska to nie Unia". Powiedzieć, że wobec idei zjednoczonej Europy zachowuje daleko idącą wstrzemięźliwość, to za mało. W swojej „Wolności" deklarował:

Do Wspólnoty nas przyjęli,
Integracji czas się ziścił,
A ja nie chcę praw Brukseli,
Bo mnie drażnią socjaliści.

Ich verstehe, świat szwabieje,
Permisywizm bodzie co dzień.
Na normalność mam nadzieję,
I mi dobrze w Ciemnogrodzie.

Po nazwisku mówił to, co sądził o Geremku i Mazowieckim, Kuroniu i Michniku, nie ograniczając się do piosenek i wierszy, bo i w publicystyce ma Leszek Czajkowski swoje dokonania. Ale ceniąc wysoko polityczną twórczość tego barda wolnej Polski, jego zmysł satyryczny ujawniający się np. w takich jakże niepoprawnych, konstatacjach: „Wre feministyczna krew, sercu i naturze wbrew" czy w „Śpiewce o antysemitach":

W obskurnych norach siedzą ukryci
Antysemici
Cali się trzęsą od nienawiści
Źli szowiniści
W ich brudnych mózgach rodzą się schizmy
Oraz faszyzmy
Nocą deszczową na świat wychodzą
I strasznie szkodzą...

Trochę mi żal, że nie trafiają do szerszych kręgów odbiorców liryczne piosenki Czajkowskiego, a ma ich wcale niemało w swoim repertuarze. Po części z osobistych powodów bardzo lubię „Rue Lauriston", bo i ja mam swoje dobre wspomnienia spod 74. numeru na tej uliczce (Stacja PAN), gdzie:

... Można schwytać i uwięzić w dłoni gwiazdę
Gdy się Paryż będzie pocił ranną mgłą
Ja rozbudzę słodko śpiącą wyobraźnię

Tyle mam do wymarzenia właśnie tu
Gdzie poetów Mekka dała mi schronienie
Na uliczce Lauriston, uliczce snów
Zawirują w niemym tańcu nasze cienie
A najzwyczajniej w świecie wzrusza smutny „Walc adieu":
Musi być w niebie zapisane
Że odkochamy się nad ranem
I dosypiając przy śniadaniu
Postanowimy o rozstaniu

Pozbieram rzeczy swe pomału
Niewiele mamy do podziału
Twoje jest dziecko i pianino
Tak przestaniemy być rodziną
[...]
Podamy sobie chłodno dłonie
Pewnie obiecam że zadzwonię
I nikt nie przyzna się do błędu
Bo być nie może happy endu. ©℗

eprasa.pl b2ee8dcb6b

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

prime video

Prorok z karabinem

★★★★☆☆

REŻ. JUSTIN KURZEL
„THE ORDER: CICHE BRATERSTWO" („THE ORDER")
USA 2024

wyst. Jude Law, Nicholas Hoult, Tye Sheridan

Oto opowieść o prawdziwych nazistach – nie tych wymyślonych przez „Gazetę Wyborczą", TVN i scenarzystów „Przesmyku". A właściwie o białych suprematystach, którzy owładnięci nienawiścią do Żydów snuli plany krwawej rozprawy z kolorowymi i odzyskania dla siebie amerykańskiej ziemi. Ugrupowanie znane jako The Order działało w latach 1983–1984 w północno-zachodnich stanach USA. Jego członkowie podkładali bomby w pornokinach, okradali banki, by sfinansować planowaną wojnę z rządem federalnym, a w czerwcu 1984 r. zamordowali Alana Berga, gospodarza programu Radia KOA (FM).

Film Justina Kurzela o wykryciu i rozbiciu tej grupy wspiera się na dwóch ciekawych aktorskich kreacjach. Nicholas Hoult gra przywódcę The Order, Boba Mathewsa, osobnika inteligentnego, charyzmatycznego, pełnego uroku i głęboko wierzącego we wszystko, co wyczytał w niesławnych „Dziennikach Turnera" (biblii białych suprematystów). Jude Law jest znakomity jako wypalony agent FBI Terry Husk, którego prywatne życie wali się w gruzy, a kariera stała się jedynie źródłem frustracji. Dlaczego? Bo choćby nie wiadomo, jak się starał, to łotry zawsze na końcu wygrywają.

Dostajemy więc pojedynek dwóch osobowości zdecydowanych na wszystko: suprematysty gotowego podpalić świat i zginąć za sprawę oraz ścigającego go łowcy, który jest w stanie poświęcić wszystko, byle jego życie znów miało jakiś sens, to znaczy prowadziło do czegoś dobrego. (Z mieszanym, jak się okaże, skutkiem). Historia opowiedziana jest pewną ręką, krajobrazy Idaho są odpowiednio posępne; na drugim planie zwraca uwagę Tye Sheridan jako młody lokalny gliniarz. Sheridan to jeden z ciekawszych młodych aktorów, debiutował w „Drzewie życia" u Terrence'a Malicka, parę lat temu widzieliśmy go w „Hazardziście" Paula Schradera.

Justina Kurzela intrygują przemoc i ludzie realizujący przy jej pomocy swoje ukochane idee; analizował to w poprzednich filmach (świetny „Nitram", ciekawa „Prawdziwa historia gangu Kelly'ego"). Tutaj ze zbyt wielką łatwością przychodzi mu sugerowanie, że zwolennicy Trumpa szturmujący Kapitol 6 grudnia 2021 r. byli duchowymi braćmi Mathewsa. Ale odkupił swe winy, przedstawiając jeden z lepszych filmów minionego roku. ©℗

GRA TYGODNIA: „CITIZEN SLEEPER 2: STARWARD VECTOR"

★★★★☆☆

Cyberpunkowe uniwersum podlane sosem o posmaku Disco Elysium. W świecie rządzonym przez pazerne korporacje jedną z posiadanych przez nie „rzeczy" są Śpiący, czyli istoty składające się z mechanicznego ciała i zdigitalizowanej ludzkiej świadomości. Niewolnicy, których życie nie ma dla ich właścicieli znaczenia. Gracz wciela się w jednego ze Śpiących, a historia zaczyna się od buntu i ucieczki przed takim życiem na peryferia kosmosu. Całkiem zgrabnie napisana historia w ciekawej i klimatycznej oprawie wizualnej. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *RPG*
- ***Platforma:*** *PS5, XSX, NS, PC*
- ***Producent; wydawca:*** *Jump Over The Age; Fellow Traveller*

eprasa.pl b2ee8dcb6b

Ksiądz, kowboj i barmanka

KINO

Zanim na horyzoncie pojawił się Donald Trump, za największego megalomana planety uchodził markiz de Púbol, bardziej znany jako Salvador Domingo Felipe Jacinto Dalí. Towarzysze z awangardy za nim nie przepadali, dorabiając koledze gębę pazernego atencjusza. Czas łagodzi rany, współcześni twórcy o ekscentrycznych skłonnościach ochoczo naśladują Katalończyka i grzeją się w promieniach jego nieśmiertelnej sławy. Quentin Dupieux, silący się na oryginalność artysta multimedialny, długo walczył o uznanie. W końcu zrozumiał, że publika łacniej doceni film będący wykwitem absurdalnego poczucia humoru, jeśli pojawi się w nim osobnik z wytrzeszczem i charakterystycznym wąsem. I to niejeden. Ekranowy Dalí zmienia się fizycznie, raz jest młody, a raz stary. Francuz darował sobie nudny biografizm, i słusznie. Po co zaglądać za kulisy mitu, w sytuacji gdy wizerunek bohatera, tworzony z żelazną konsekwencją przez pół wieku z hakiem, to jego opus magnum? Żaden obraz nie oddaje fenomenu samozwańczego geniusza tak dobrze jak on sam.

★★★☆☆☆

REŻ. QUENTIN DUPIEUX
„DAAAAAALI!"
FRANCJA 2023

wyst. Anaïs Demoustier, Gilles Lellouche, Romain Duris

Film Dupieux eksploatuje nadrealistyczne sztuczki: zaburzenia czasoprzestrzeni, ruch wsteczny i halucynacje. Jesteśmy we śnie, lecz szkatułowa struktura utrudnia ustalenie w czyim. Fabularne kotwice są dwie. Obiadokolacja, na którą autor „Trwałości pamięci" dał się zaprosić swojemu ogrodnikowi, tudzież wywiad, który próbuje wymusić na nim niedoświadczona dziennikarka. Judith sama przyznaje, że jest nudziarą, a Boski Dalí zapewniający, że „udzielił już 150 tys. wywiadów", stosunek do banału ma identyczny jak diabeł do święconej wody.

W najlepszych momentach Dupieux zbliża się do „Dyskretnego uroku burżuazji" Buñuela. W najgorszych – jedzie na autopilocie. O dziwo, słuchawka telefonu mistrza nie przypomina homara, nad pianinem zaś brakuje głów Lenina. Koncepcja, że Dalí malował z natury, jest umiarkowanie zabawna. Po godzinie seansu repertuar się wyczerpuje i francuski magik musi sięgnąć aż do dna kapelusza. Rodaków usatysfakcjonował, bo jego następny film otworzył festiwal w Cannes. Możliwy jest też wpis do Księgi rekordów Guinnessa: w życiu nie oglądałem komedii, która miałaby tyle zakończeń. ©℗

Wiesław Chełminiak

KAWA I CIASTECZKA

Jim Jarmusch opuścił swoje królestwo, pochłonęły go problemy wampirów i pogromców zombie. Dopóki się nie opamięta, dopóty warto rzucić okiem na jarmuschopodobny film o młodej Afgance, której pozwolono osiedlić się w Ameryce w podzięce za pomaganie US Army. Teraz Donya cierpi na bezsenność, tęskni za ojczyzną oraz ma poczucie winy wobec tych, którzy zostali (chociaż stara się trzymać fason). Dziewczyna jest cicha, pracowita i obojętna wobec nakazów islamu. Takich uchodźców lubimy. Ale czy oni lubią siebie? Reżyser, pochodzący z Iranu, mógł popełnić dołującą dramę o piekle emigracji. Na szczęście wybrał komedię ludzką i uniwersalny temat: samotność. Kibicując Donyi próbującej wyjść ze skorupy, niemal zapomniałem, że w Niemczech jeden z jej rodaków wjechał celowo samochodem w tłum, a drugi ganiał z nożem za przedszkolakami. ©℗

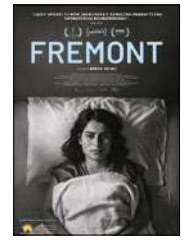

KINO

★★★★☆☆

REŻ. BABAK JALALI
„FREMONT"
USA 2023

wyst. Anaita Wali Zada, Gregg Turkington, Avis See-tho

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Biblia Gutenberga z Pelplina

Najciekawsze i najcenniejsze egzemplarze dwutomowej Biblii drukowanej przez Johannesa Gutenberga przechowywane są w Muzeum Diecezjalnym w Pelplinie. Wyjątkowość bierze się z pewnej usterki: na marginesie jednej z kart pierwszego tomu odbił się kształt czcionki, która najpewniej wypadła z mocowania. To, co przed wiekami było skazą, dziś jest atutem. Także dlatego, że ta pomyłka impresora pozwoliła współczesnym badaczom lepiej poznać jego warsztat pracy.

FOT. XMUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Peplińska Biblia swoje przeszła. W 1939 r. została ewakuowana z Polski do Kanady, przez Warszawę, Paryż i Wielką Brytanię. Do kraju wróciła w 1959 r., także przez Warszawę. Przed przewiezieniem do Pelplina przez kilka dni była eksponowana w Muzeum Narodowym. 7 lutego, w rocznicę tego wydarzenia, trafiła tu ponownie. Można ją podziwiać w Galerii Sztuki Średniowiecznej w ramach biletu wstępu na ekspozycję stałą. ©℗

GDZIE?
Muzeum Narodowe w Warszawie
KIEDY?
do 23 marca

eprasa.pl b2ee8dcb6b

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Dom Radziwiłłów

Pałac myśliwski książąt Radziwiłłów w Antoninie koło Ostrowa Wielkopolskiego kojarzy nam się zwłaszcza z Chopinem, który był tam raptem siedem dni. Ale Antonin ma też wstydliwą historię, której antybohaterem jest ostatni ordynat przygodzicki, książę Michał zwany Rudym.

Dla wielkopolskiego ziemiaństwa był budzącym zaciekawienie barwnym ptakiem, zdumiewały jego ekstrawagancje, ekscytowały romanse, do czasu wszakże. Zdarzyło mu się np. wypłoszyć gości pałacu, gdy „[…] ledwo trzymając się na nogach, wzniósł toast za dom Radziwiłłów i wygłosił mowę potępiającą postanowienia traktatu wersalskiego. Powiedział, że Niemcy zostały niesłusznie ukarane niby za wywołanie wojny, ale on jako sekretarz ambasady Rosji w Londynie przed wojną był w samym środku dyplomatycznych rozgrywek i wie, że Wielka Brytania oraz Francja są jej tak samo winne. Ale już najgorszą rzeczą w Wersalu było błędne wytyczenie zachodniej granicy Rzeczypospolitej. Według Księcia powinna ona biec od Gdyni przez Kalisz na Śląsk, tak że Wielkopolska stojąca najwyżej kulturalnie powinna przypaść Niemcom. Po tych wywodach […] goście zaczęli się żegnać".

Zawsze uważał się za Niemca, z wiekiem jednak jego germanofilstwo w połączeniu z ewidentną fiksacją ujawniło się w postaci ofiarowania pałacu w Antoninie… Hitlerowi. Zamierzał zostać volksdeutschem, liczył w zamian na jakąś rentę, ale plany te spełzły na niczym, bo zarówno o umysłowych aberracjach księcia Michała, jak i jego związku z Żydówką wiedziano powszechnie i przywódca III Rzeszy daru nie przyjął, „uznając – jak pisał Witold Banach w książce »Radziwiłłowie. Burzliwe losy słynnego rodu« – że przecież nie można przyjąć czegoś, co i tak zostało skonfiskowane".

Dla rodziny był wyrzutkiem. W powieści Jolanty Sroczyńskiej-Pietz ochmistrzyni, której życie upłynęło na służbie Radziwiłłom, opowiada prowadzącemu narrację kronikarzowi wynajętemu przez księcia Michała do spisania dziejów rodu: „Książę wszystkim bólu przysparzał. Widzi pan, to się powtarzało. Gdy rodzina przeżywała żałobę albo jakiś kryzys, wtedy Książę dodawał swoim bliskim cierpienia. Nie wiem, czy on jest tego świadom. Gdy jaśnie pani Pelagia [matka księcia – przyp. K.M.] była w żałobie po śmierci męża, on wygonił ją z Antonina. Gdy zginął Tonio [syn Michała – przyp. K.M.], Książę przyjechał na pogrzeb ze swoją drugą żoną. W ten sposób zakpił sobie z pani Marii [pierwszej swej żony i matki jego dzieci – przyp. K.M.], ich córki, no i ze swoich rodziców. Łamał zasadę po zasadzie i tym dręczył jaśniepaństwa".

Nie mógł przeboleć, że wydziedziczony został z ordynacji Ołyka, którą otrzymał jego młodszy brat, Janusz. Tyle że swoją ordynację – na Przygodzicach – zrujnował. A na rodzinie zemścił się tak, że zamknął kaplicę rodową w Antoninie, wcześniej wyrzucając z jej podziemi szczątki zmarłych krewnych.

Córka Leontyna, małżonka hrabiego Zygmunta Skórzewskiego, nie chciała go znać. Jego brat wytoczył mu proces o ubezwłasnowolnienie z powodu rzekomej choroby psychicznej. Naprawdę był skrajnym megalomanem, utracjuszem i sybarytą ze skłonnością do używek, co wykorzystywała jego angielska pielęgniarka i kochanka w jednej osobie, Mary Atkinson, wpędzając go w uzależnienie od morfiny. Nie osiągnęła jednak celu, którym było poślubienie księcia, który w końcu, gdy dwa lata przed wojną wygasła jej karta pobytu w Polsce, nie zrobił nic, by umożliwić jej pozostanie w Antoninie. Wróciła więc do Anglii i po kilku miesiącach popełniła samobójstwo. A książę? Lekarze odtruli mu organizm i szybko się pocieszył w ramionach innej kobiety, młodszej od siebie o ponad 30 lat.

Historia księcia Michała jest ciemną kartą dziejów tego magnackiego rodu, ale ani nie jedyną, ani największą. Pod tym względem bezkonkurencyjny pozostaje XVIII-wieczny Marcin Mikołaj, nieprzypadkowo wspominany przez autorkę „Księcia". Urządzał polowania na ludzi, syna doprowadził do kalectwa, a rodzinę więził, żeniąc się z 12-letnią dziewczynką. Pod pozorem badań naukowych preparował ciała, aż w końcu ogłosił przejście na judaizm. Tego już mu familia wybaczyć nie mogła i wtrącony przez nią do aresztu do końca życia, jeszcze przez 30 lat, pozostawał pod radziwiłłowską strażą.

Jeśli zaś chodzi o księcia Michała, to ten resztę okupacji przeżył w Niemczech i Szwajcarii. Zdesperowany myślał o powrocie pod rządy komunistów, ale otrzymał pomoc od swej drugiej hiszpańskiej żony Joaquin Martinez, która zapewniła mu dostatnie utrzymanie w swoim majątku na Teneryfie, gdzie zmarł w 1955 r. Miał 85 lat.

Jolanta Sroczyńska-Pietz nie stworzyła jego biografii. Napisała powieść mającą wyrazistych bohaterów, w tym także tego, który – jak powiada w posłowiu Witold Banach – „nikomu czułości ofiarować nie potrafił". Nie ma powodu, by tę czułość z kolei jemu okazywać, ale autorka dopuściła go do głosu, m.in. sięgając do jego wywiadów udzielanych prasie międzywojennej. No i dostaliśmy do wglądu polski „Zmierzch bogów". ©℗

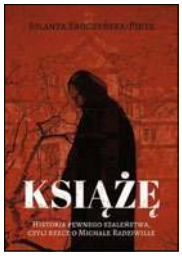

★★★★☆☆

JOLANTA SROCZYŃSKA-PIETZ „KSIĄŻĘ. HISTORIA PEWNEGO SZALEŃSTWA, CZYLI RZECZ O MICHALE RADZIWILLE"
MUZEUM MIASTA OSTROWA WIELKOPOLSKIEGO, OSTRÓW WIELKOPOLSKI 2024

eprasa.pl b2ee8dcb6b

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Problemat Grabińskiego

Najlepsze dopiero przed nami, ale przedsięwzięcie chciałbym pochwalić już teraz, znajdując drobny pretekst w kalendarzu: oto w tym tygodniu obchodzimy kolejną rocznicę urodzin Stefana Grabińskiego (przyszedł na świat 26 lutego 1887 r.). I oto od paru miesięcy nakładem Wydawnictwa IX ukazują się dzieła zebrane tego autora – klasyka polskiej literatury niesamowitej i jednego z najciekawszych spośród naszych zapomnianych i lekceważonych pisarzy.

Ukazało się już siedem tomów, całość edycji liczyła będzie 17; nie ma sensu recenzowanie ich po kolei, bo potrzebowałbym kilkunastu poczytanek. Odnotuję jednak staranność edycyjną, wznowienia poszczególnych oryginalnych tomów opatrzone zostały przypisami przez znawcę i popularyzatora twórczości Grabińskiego, czyli Krzysztofa Grudnika. Dostajemy też reprinty oryginalnych okładek – zatem jest coś dla współczesnego czytelnika i coś dla zapalonego fana. Czekam niecierpliwie, aż pojawią się w serii teksty rozproszone, bo wiem, że Grudnik wyszperał sporo unikatów podczas długiej kwerendy; myślę też, że nie tylko ja wypatruję opublikowania niedrukowanego dotąd szkicu „O twórczości fantastycznej. Jej geneza i źródła".

Będę też trochę marudził: skoro już tyle wysiłku włożono w przygotowanie dzieł zebranych, to szkoda, że poszczególne tomy nie są opatrzone wstępami objaśniającymi, z jaką recepcją spotkała się dana książka po premierze, które teksty szybko stały się klasyką, na które warto zwrócić uwagę, bo zwiastują takie czy inne charakterystyczne motywy twórczości Grabińskiego. Przypominam więc w tym kontekście, że nakładem tej samej oficyny ukazały się też tomy krytyczne „Czytanie Grabińskiego" oraz „Grabiński – wokół twórczości", jest więc baza, na której można było komentarze do dzieł zebranych budować.

Wracając do literatury – niewiele się ta proza zestarzała. Bywa zanadto melodramatyczna, a pewne rozwiązania fabularne zdawać się mogą dziś oczywiste – ale to nie wina Grabińskiego, on pisał, zanim jeszcze podobne koncepty wzięli na warsztat autorzy późniejsi. Jego polszczyzna pozostaje jednak przebogata, styl urzekający, a niejedną nowelę należałoby czytać w kontekście – być może podpowiadam trop nieoczywisty – polskich zmagań z nowoczesnością. Grabiński był twórcą dużo ciekawszym, niż się wydaje. ©℗

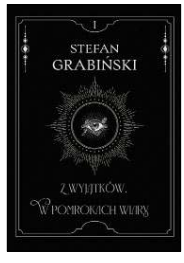

★★★★★☆
STEFAN GRABIŃSKI „DZIEŁA ZEBRANE" WYDAWNICTWO IX

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Miłośnik historii i uroków Morza Śródziemnego, który kawał życia spędził na greckich wyspach, o sekretach Wenecji. (Napisał też książkę o Florencji). Warto czytać nie tylko w czasie kończącego się właśnie karnawału.

PAUL STRATHERN „WENECJA. OD MARCO POLO DO CASANOVY" HI:STORY

Efektowna inauguracja nowej serii PIW, czyli Biblioteki Filozoficznej. Traktat „O duszy" otrzymujemy w przekładzie, ze wstępem i z komentarzem Małgorzaty Jesiotr. Wkrótce tom drugi, „150 rozdziałów" św. Grzegorza Palamasa.

TERTULIAN „O DUSZY" PIW

Trzy kobiety i cmentarz, a w tle Bruksela, którą autorka poznała na wylot jako korespondentka polskich mediów. Powieść przesycona lekko absurdalnym humorem: wśród bohaterek m.in. zawodowa płaczka i psia psychoterapeutka.

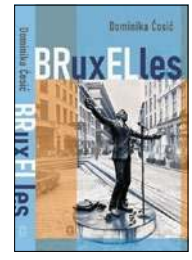

DOMINIKA ĆOSIĆ „BRUXELLES" OMP

Tym razem nie Śródziemie, lecz staroangielski poemat przełożony przez Tolkiena (rzecz o starciu Anglosasów z wikingami w 991 r.) plus esej dotąd nieznany: „Tradycja wersyfikacji w języku staroangielskim" oraz inne szkice.

Piotr Gociek

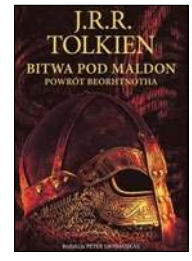

J.R.R. TOLKIEN „BITWA POD MALDON" ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA:
URBIKANDA RAZ JESZCZE

Klasyka na nowo, czyli powrót do uniwersum znakomitego cyklu „Mroczne miasta". Album „Gorączka urbikandyjska" ukazał się oryginalnie jako drugi tom cyklu, w roku 1985, w wersji czarno-białej. Nową wersję, która właśnie ukazuje się w Polsce, przygotował Jack Durieux – artyście praca nad wersją kolorową zajęła niemal dwa lata. Efekt zachwyca.

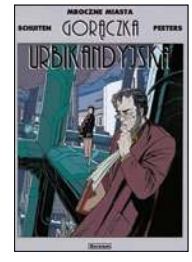

FRANCOIS SCHUITEN, BENOIT PEETERS „GORĄCZKA URBIKANDYJSKA" SCREAM COMICS 2024

Piotr Gociek

eprasa.pl b2ee8dcb6b

Operacja

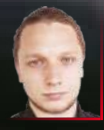

Jan Fiedorczuk

„Skręt w prawo" Rafała Trzaskowskiego, który obserwujemy w ostatnich tygodniach, może zadziwiać czy wręcz śmieszyć, jednak w tym szaleństwie jest metoda. Sztab kandydata KO od miesięcy pracuje nad operacją stworzenia „nowego Trzaskowskiego", tak aby przykryć wypowiedzi i działania prezydenta Warszawy z ostatnich lat

FOT. HORNET/REPORTER

Od 20 lat wyborów prezydenckich w Polsce nie wygrał polityk lewicowy. Rafał Trzaskowski najwyraźniej nie do końca zdawał sobie sprawę z tego faktu i mimo że od 2020 r. szykował się do walki o prezydenturę, nie unikał tematów z ewidentnie lewicowej agendy. Walka z krzyżami, patronat nad paradami LGBT, finansowanie lewicowych organizacji i aktywistów – to tylko pierwsze z brzegu przykłady działalności Trzaskowskiego w stolicy. Jednak to, co jest akceptowane w Warszawie, niekoniecznie musi być zrozumiane w przysłowiowych Końskich. Dla przykładu: to, że ratusz współfinansował Queer Muzeum, nie przeszkodzi w reelekcji na stanowisku prezydenta stolicy, ale z pewnością nie pomoże w walce o Belweder.

Większą świadomość powagi sytuacji zdaje się wykazywać jednak sztab kandydata KO, który rozpoczął operację odklejania Trzaskowskiego nie tylko od wizerunku rządu, lecz także od wizerunku samego Trzaskowskiego z nie tak dalekiej przeszłości. „Tak" dla CPK, „tak" dla przekopu Mierzei Wiślanej, mocne „tak" dla patriotyzmu gospodarczego, obrona pamięci ofiar rzezi wołyńskiej, ale zarazem ograniczenia w dostępie do „800+" dla Ukraińców oraz sprzeciw wobec wprowadzenia euro w Polsce. To nie są postulaty Karola Nawrockiego czy Sławomira Mentzena, tylko propozycje wysuwane w ostatnich tygodniach przez Rafała Trzaskowskiego. Ukoronowaniem tego procesu „odtrzaskowienia Trzaskowskiego" było niedawne wspólne nagranie prezydenta Warszawy z Zenkiem Martyniukiem, królem disco polo, a zarazem symbolem TVP z czasów Jacka Kurskiego. Prawicowi komentatorzy śmieją się, że jeszcze kilka tygodni i kandydat KO zapisze się do ONR, jednak dość przaśne efekty dotychczasowych działań sztabu nie powinny nikogo zmylić. Obrana strategia z boku może wyglądać zabawnie, jednak – jak się przekonamy – jest logiczna. Jeżeli kandydat KO poważnie myśli o zwycięstwie wyborczym, to właściwie nie ma innej drogi – Belweder wart jest mszy.

Wspomniana sprawa Zenka Martyniuka, jakkolwiek znamienna, jest oczywiście drugorzędna. Ciekawiej prezentują się kwestie o strategicznym znaczeniu dla państwa, a to właśnie w tego typu tematach obserwujemy w ostatnich tygodniach całkowitą woltę prezydenta Warszawy.

PROCES „ODTRZASKOWIENIA"

Ambicją sztabu Trzaskowskiego jest stworzenie „nowego Rafała", którego zaakceptują wyborcy zarówno z prawa, jak i z lewa oraz centrum. Jednym z pól, na których przebiega proces „odtrzaskowienia" kandydata KO, jest zatem próba odklejenia go od jego dawnych krytycznych wypowiedzi na temat wielkich inwestycji, z których słynął rząd Prawa i Sprawiedliwości. Fenomen oddolnego ruchu poparcia dla budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego dowodzi, że w polskim społeczeństwie wyrosła znaczna grupa wyborców, która wyłamuje się z prostej polaryzacji PO vs. PiS i – kto wie – być to może właśnie ta grupa „prorozwojowa" okaże się ostatecznie języczkiem u wagi w drugiej turze. Są to często ludzie niepopierający ekipy Jarosława Kaczyńskiego, jednocześnie jednak domagający się nowoczesnych reform i wielkich projektów rozwojowych. A tego rząd Tuska, który pozostaje zafiksowany na temacie rozliczania PiS, nie jest w stanie zapewnić.

Za Rafałem Trzaskowskim niczym cień ciągnie się jego głośna wypowiedź sprzed lat o „lotnisku w Berlinie", gdy twierdził, że Polacy nie potrzebują żadnego CPK. – Mamy gigantomanię Mateusza Morawieckiego, który proponuje lotnisko w szczerym polu – oceniał wówczas prezydent Warszawy, dodając do tego, że Okęcie oraz lotnisko w Modlinie „spokojnie wystarczą".

Obecnie obserwujemy próbę zmiany tej retoryki. Trzaskowski prezentuje się jako zwolennik wielkiej inwestycji, argumentując, że dopiero rząd Donalda Tuska potraktował poważnie temat CPK. – To nie ja zmieniłem swoje zdanie, tylko w tej chwili rozmawiamy o konkretnym projekcie, a nie o mrzonkach – stwierdził jakiś czas temu. Fakty są jednak inne – pierwsze miesiące swego funkcjonowania rząd centrolewu poświęcił niekończącej się telenoweli pt. „Czy anulować

eprasa.pl b2ee8dcb6b

„Neo-Trzaskowski”

CPK?”, a następnie, gdy oddolny ruch obywatelski zmusił polityków do kontynuacji inwestycji, zaczęły się opowieści o „urealnianiu” projektu. Rafał Trzaskowski jako wiceszef KO miał całe miesiące, aby się jasno opowiedzieć za budową projektu, jednak zamiast tego czekał, aż to rząd podejmie decyzję.

Podobnie ewoluowało stanowisko Trzaskowskiego w sprawie przekopu Mierzei. – Wycina się setki, tysiące drzew, to nie jest taka inwestycja, która napędza gospodarkę – mówił w 2020 r. Prezydent Warszawy twierdził, że projekt jest „kontrowersyjny”, a przeznaczone na niego środki (2 mld zł) powinny zostać przekazane na premie dla lekarzy i pielęgniarek. Obecnie kandydat KO twierdzi, że to rząd Donalda Tuska „nadaje sens” tej inwestycji. Pytany o nagłą woltę Trzaskowski odpowiada, że PiS proponował „fuszerkę”, gdyż nie planował doprowadzić toru wodnego do Elbląga. Podobnie jak w przypadku CPK, tak samo i tutaj Trzaskowski jest raczej mało wiarygodny dla wyborców spoza „betonu” KO, gdyż bez problemu znajdziemy wiele jego wypowiedzi przeciwko PiS-owskim planom, natomiast ani jednej, która popierałaby samą ideę przekopu.

Wydaje się jednak, że samemu Trzaskowskiemu nie chodzi o wiarygodność i pozyskanie „elektoratu CPK”, tylko o demobilizację tej centrowej grupy wyborców, aby – jeżeli nie są w stanie go poprzeć – przynajmniej w drugiej turze zostali w domach.

PATRIOTA GOSPODARCZY

Na początku grudnia podczas swojego wystąpienia na konwencji w Gliwicach Rafał Trzaskowski przedstawił coś, co można uznać za zręby programu. Tym, co wówczas wybijało się na pierwszy plan, było podkreślanie walorów patriotyzmu gospodarczego, co następnie stało się jednym z fundamentów jego kampanii. W jednym z wpisów w mediach społecznościowych kandydat KO stwierdził, że „rolą prezydenta jest także wspieranie polskich liderów gospodarczych i ich produktów na świecie”. W rozmowie z „Gazetą Wyborczą” oburzał się z kolei, że patriotyzm gospodarczy i temat bezpieczeństwa są powszechnie kojarzone z prawicą.

Uwaga, którą prezydent Warszawy zaczął nagle poświęcać patriotyzmowi gospodarczemu, średnio jednak przystaje do decyzji, które podejmował przez ostatnie lata. Z tego też powodu obrazki z odwiedzin Trzaskowskiego w sklepach i zakładach szybko stały się obiektem zainteresowania internautów publikujących memy i karykatury. „Chińskie autobusy, koreańskie tramwaje, niemieckie drzewka i gaz z ruskiej instalacji. Patriotą którego kraju pan jest?” – atakował prezydenta jeden z internautów. „Niemieckie drzewka”, o których mowa, to nawiązanie do sprawy drzew, które miasto sprowadziło z Brandenburgii. Na razie przekazano, że koszt 56 drzewek wyniósł 906 tys. zł (łącznie zakupiono 102 sztuki).

Ten zwrot Rafała Trzaskowskiego w stronę patriotyzmu gospodarczego komentowano również na portalu Klubu Jagiellońskiego, gdzie przypomniano ankietę z 2020 r., gdzie polityk KO dystansował się od tej tematyki.

eprasa.pl b2ee8dcb6b

„Dyskusja o »narodowości« kapitału jest akademicka. Liczą się miejsca pracy, lokalizacja, miejsce opodatkowania. Bardzo podoba mi się koncepcja »patriotyzmu gospodarczego«, sam preferuję kupowanie polskich produktów. Ale ona ma sens wtedy, gdy wynika z dobrowolnych, przemyślanych wyborów samych konsumentów. A nie z nakazowo-rozdzielczej polityki państwa" – twierdził polityk, który teraz wizytując choćby siedzibę firmy Mlekovita, opowiada o konieczności wspierania polskich firm przez prezydenta.

Właśnie z pobudek patriotycznych Trzaskowski obecnie odrzuca także pomysł wejścia przez Polskę do strefy euro. Polityk twierdzi, że Polska „potrzebuje dziś silnej złotówki" (cytat z wystąpienia na niedawnej konwencji PO), podczas gdy kilka lat temu miał całkowicie odmienne zdanie. – Musimy również mówić o tematach trudnych, takich jak wejście do strefy euro, bo my nie możemy sobie pozwolić na to, żeby być na marginesie Unii Europejskiej – przekonywał w 2016 r.

I bliźniaczo sprawa wygląda z Zielonym Ładem. Trzaskowski sporo uwagi poświęcał zmianom klimatycznym, popierał „Fit for 55", a nawet opowiedział się za przystąpieniem Warszawy do inicjatywy C40, zrzeszającej 100 miast zmierzających do redukcji emisji gazów cieplarnianych. Wśród rekomendowanych rozwiązań znajdziemy m.in. pozbycie się samochodów oraz radykalne ograniczenia spożycia mięsa. Dopytywany o szczegóły Trzaskowski dystansował się od tych skrajnych planów, jednak krytycy prezydenta dopytywali, w jakim celu w takim razie włączał w ogóle Warszawę do tej inicjatywy. Obecnie kandydat KO znalazł się w trudnym położeniu – w obliczu katastrofalnych skutków Zielonego Ładu został zmuszony do odejścia od swojej ekologicznej agendy, co wymaga od niego kolejnych programowych „fikołków". Dla przykładu: Donald Tusk, który umiejętnie balansował pomiędzy skrajnościami, nigdy tak otwarcie nie poszedł na lewo jak prezydent Warszawy, dlatego też obecnie jest mu znacznie łatwiej krytykować czy to Zielony Ład, czy też masową migrację.

KRZYŻE I UKRAIŃCY

Jednak najbardziej brawurowa przemiana zachodzi na styku polityki historycznej oraz kwestii kulturowych. To tutaj zapewne sztab kandydata KO najciężej pracuje, gdyż to właśnie tutaj operacja „nowy Trzaskowski" może napotkać największe trudności.

Jednym z przykładów tej wolty jest pomysł Trzaskowskiego, aby ograniczyć Ukraińcom dostęp do świadczenia „800+". Kandydat KO proponuje bowiem, by pieniądze przysługiwały jedynie pracującym migrantom. To sprytny ruch ze strony sztabu, gdyż z jednej strony Trzaskowski odwołuje się do prawicowego elektoratu, z drugiej trafia z przekazem do liberalnych wyborców, którzy już w momencie wprowadzania „500+" twierdzili, że jest to przejaw „rozdawnictwa" i wspierania „nierobów". Problem jest taki sam, jak przy wszystkich innych woltach prezydenta Warszawy – wiarygodność. PiS bowiem już w maju ubiegłego roku proponował ograniczyć Ukraińcom prawo do „800+", uzależniając przyznanie świadczenia od złożenia wniosku o wydanie karty pobytu. Platforma Obywatelska głosowała wówczas przeciw.

Jeszcze większe szpagaty obserwujemy w podejściu Trzaskowskiego do członkostwa Ukrainy w Unii Europejskiej. Z jednej strony polityk bardzo ostro atakuje Karola Nawrockiego za słowa, że dopóki Kijów nie upamiętni ofiar rzezi wołyńskiej, dopóty drzwi do UE pozostaną zamknięte, ale jednocześnie sam twierdzi, że jeżeli Ukraina nie spełni wymogów zadowalających polskich rolników, to akces do Unii będzie niemożliwy. – Musimy zdawać sobie sprawę z tego, że Ukraina nie może wejść do Unii Europejskiej, jeżeli polityka rolna nie zostanie zmieniona, i to jest oczywiście pytanie, w jaki sposób ta polityka miałaby się zmieniać, i o tym trzeba bardzo szczerze rozmawiać zarówno w UE, jak i z naszymi ukraińskimi partnerami – mówił Trzaskowski na początku stycznia.

Zielony Ład czy CPK dla milionów Polaków to w dużym stopniu nadal dość abstrakcyjne tematy. Czym innym jest natomiast Wołyń czy choćby głośna kwestia zdejmowania krzyży w warszawskich urzędach – w teorii sprawa zupełnie drugorzędna dla funkcjonowania państwa, w praktyce cała Polska mówiła tylko o tym, że „Trzaskowski kazał zdejmować krzyże". Dzisiaj sztab Trzaskowskiego musi się mierzyć z krzyżami czy paradami LGBT, w których uczestniczył ich kandydat, bo to właśnie te tematy będzie eksploatowało Prawo i Sprawiedliwość, czego przedsmak obserwowaliśmy przy okazji „pornoksiążeczki" z Muzeum Sztuki Nowoczesnej, którą natychmiast sztab Nawrockiego uczynił kwestią wagi państwowej.

TRZASKOWSKI MYŚLI JUŻ O DRUGIEJ TURZE

Powyższy opis operacji „nowy Trzaskowski" jest oczywiście niepełny – można wskazywać na mniejsze czy większe przejawy hipokryzji i nagłych wolt programowych. Skupiłem się jedynie na najważniejszych, dotyczących fundamentalnych projektów (CPK, Zielony Ład) oraz najgłośniejszych, najbardziej rezonujących w polskim społeczeństwie (Ukraina, zdejmowanie krzyży).

Mimo że cała operacja sztabu KO momentami wygląda komicznie, nie należy jej lekceważyć. Rafał Trzaskowski w rzeczywistości walczy już bowiem o drugą turę wyborów i dlatego właśnie teraz dokonuje tak drastycznych przeobrażeń. Do prezydentury potrzebuje bowiem 51 proc. głosów w drugiej turze, a takiego wyniku nie osiągnie bez pozyskania centrowego elektoratu, a przede wszystkim bez demobilizacji potencjalnych wyborców Nawrockiego z Konfederacji, Trzeciej Drogi, a także tych popierających Krzysztofa Stanowskiego czy innych pomniejszych kandydatów.

Próba stworzenia neo-Trzaskowskiego zakłada przejście jak największej liczby metamorfoz w jak najkrótszym czasie, by uniknąć losu Bronisława Komorowskiego. Przypomnijmy, że w 2015 r. kandydat Platformy Obywatelskiej też próbował zmieniać poglądy (słynne referendum dotyczące m.in. ordynacji wyborczej), ale zdecydował się na ten krok po prostu za późno. Dzień po przegranej pierwszej turze było już pozamiatane, a działania Komorowskiego były jedynie przejawem desperacji i braku pomysłu na odzyskanie inicjatywy. Trzaskowski przechodzi obecnie przez serię metamorfoz, aby ewentualne ubytki sondażowe pojawiły się już teraz, a nie tuż przed drugą turą wyborczą. Nawet jeżeli momentami sprawia wrażenie chaotycznego, to koniec końców jest to całkiem rozsądny plan. W tym szaleństwie jest metoda.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b2ee8dcb6b

FOT. ADOBE STOCK

Ci okropni myśliwi

Dariusz J. Gwiazdowicz

Kampania antyłowiecka przybrała w ostatnich miesiącach niespotykane dotąd rozmiary. Zaangażowały się w nią niektóre gazety, stacje telewizyjne, portale internetowe, aktywiści, celebryci czy politycy. Niechęć do myśliwych nie powinna zasłonić nam racjonalnego myślenia

W dzisiejszych czasach łowiectwo przestało być podstawowym źródłem dostarczania żywności, nie jest także formą rozrywki czy zabawy, choć często jest tak postrzegane. Aby lepiej zrozumieć zadania, przed którymi stoją współcześni myśliwi, trzeba pochylić się nad oczekiwaniami społecznymi. Wszyscy chcemy żyć bezpiecznie, wygodnie, dostatnio i dlatego zmieniamy środowisko przyrodnicze. Rozwijamy budownictwo mieszkaniowe, powstają nowe miejsca pracy, budujemy autostrady, zmienia się struktura upraw rolniczych. Ten zmieniający się na naszych oczach krajobraz jest efektem przekształceń dokonywanych przez człowieka, przez nas wszystkich. Skutkuje to zróżnicowaniem warunków środowiskowych – dla jednych zwierząt warunki bytowania są teraz lepsze i dlatego ich liczebność zdecydowanie wzrasta (np. sarny, jelenie czy łosie), a dla innych skrajnie negatywne i dlatego jest ich coraz mniej (np. zające czy kuropatwy). Podstawowym zadaniem współczesnych myśliwych jest wspieranie gatunków zagrożonych, a także redukowanie liczebności tych, które stanowią zagrożenie dla naszego życia i zdrowia lub wyrządzają nadmierne szkody, utrudniając tym samym prowadzenie gospodarki leśnej, rolnej czy rybackiej.

Aby zrealizować powyższe cele, wprowadzono w Polsce określony system prawny opierający się na ustawie Prawo łowieckie (Dz.U. 1995 nr 147, poz. 713, z późn. zm.), z którego jednoznacznie wynika, że celem łowiectwa nie jest zaspokajanie potrzeb myśliwych (np. sport, rekreacja, rozrywka, zabawa). Celami są przede wszystkim ochrona oraz racjonalne zarządzanie populacją zwierząt dziko żyjących. Myśliwi stoją jednak przed niezmiernie trudnym zadaniem, gdyż z jednej strony są notorycznie krytykowani przez leśników i rolników, którzy im zarzucają zbyt niską redukcję zwierząt, co skutkuje dużym rozmiarem szkód w lasach czy na polach. Z drugiej

eprasa.pl b2ee8dcb6b

strony są krytykowani przez aktywistów, którzy prowadzą agresywne kampanie zmierzające do całkowitego zakazu polowań w Polsce.

HEJT I EKOTERRORYZM

Kampania antyłowiecka przybrała w ostatnich miesiącach niespotykane dotąd rozmiary. Zaangażowały się w nią niektóre gazety, stacje telewizyjne, portale internetowe, aktywiści, celebryci czy politycy. Mechanizm jest dosyć prosty. Najpierw podaje się wybiórcze informacje dotyczące jakiegoś incydentu z udziałem myśliwych. Następnie nadaje się mu rangę problemu powszechnego, ogólnopolskiego, przygotowując dość tendencyjną narrację mającą na celu wzbudzenie emocji i manipulowanie opinią społeczną. W celu wzmocnienia przekazu czasami stosuje się metodę socjotechniczną nazywaną „schematem dziecięcości" (baby schema, Kindschenschema) polegającą na wklejaniu fotografii (lub filmu) młodych ptaków lub ssaków. Taki obrazek u wielu osób wywołuje instynktowną potrzebę, przymus wręcz, opiekowania się, troski nad zwierzętami. Efekty są szybko widoczne nie tylko w komentarzach pod informacją zawartą w przekazie dziennikarskim, lecz także w mediach społecznościowych. W konsekwencji mamy do czynienia z ogromną falą hejtu, brutalizacją wypowiedzi, cyberagresją, a w ostatnich latach także przejawami ekoterroryzmu, np. ładunki wybuchowe na ambonach myśliwskich. Fundamentalna rola niektórych mediów oraz celebrytów w kreowaniu takich niepokojących zjawisk w Polsce była przedmiotem wielu analiz naukowych, których wyniki opublikowano w ostatnich latach w takich czasopismach jak np. „Social Semiotics", „International Journal for the Semiotics of Law" czy „International Journal of Legal Discourse".

Brak rzetelności dziennikarskiej i manipulowanie opinią społeczną to jeden problem. Innym ciekawym zjawiskiem, z którym mamy do czynienia coraz częściej, jest humanizowanie zwierząt, nadawanie im ludzkich cech, co bywa nazywane „bambinizmem". Trudno zaprzeczyć, że jeszcze kilka lat temu mówiono, że świnia się prosi, klacz źrebi, krowa cieli, suka szczeni, natomiast dziś zwierzęta się rodzą. Gdy jeden z najwybitniejszych polskich językoznawców starał się ostatnio wytłumaczyć, dlaczego zwierzęta zdychają, a nie umierają, to wylała się na niego fala hejtu. Na próżno było szukać argumentów merytorycznych, ale widać było ogromną skalę emocji, histerii wręcz.

Niestety, w całej tej narracji zapominamy o tym, że przyroda rządzi się swoimi prawami, które całkowicie nie przystają do świata, który kreuje homo sapiens. W przyrodzie wszechobecne są: śmierć, choroby, cierpienie, ból czy strach. Przyroda to świat, w którym jeden zabija, rozrywa na strzępy i zjada drugiego. Warto, byśmy o tym nie zapominali i nauczyli się to akceptować.

CO ZE SZKODAMI NA POLU?

Zgodnie z ustawą Prawo łowieckie zwierzyna w stanie wolnym jest własnością Skarbu Państwa. Natomiast państwo zleciło zarządzanie populacjami dzikich zwierząt Polskiemu Związkowi Łowieckiemu (PZŁ). Czy myśliwi mogliby te obowiązki wykonywać lepiej? Z pewnością tak i temu ma służyć przyjęta kilka miesięcy temu i wdrażana „Strategia zrównoważonego łowiectwa w Polsce do roku 2030 z perspektywą do roku 2035".

Po wyborach parlamentarnych każda rządząca frakcja polityczna stara się „reformować" polskie łowiectwo. Niestety, proponowane zmiany są podyktowane najczęściej interesem klasy politycznej, a nie dobrem przyrody, gospodarki czy interesem społecznym. Takim przykładem z ostatnich lat może być zmiana ustawy Prawo łowieckie w 2016 r. (Dz.U.2016.1082), kiedy to uznano, że myśliwi nie powinni szacować szkód w uprawach rolnych. Zdaniem ustawodawcy lepiej to zrobi wojewoda, a właściwie powołani przez niego rzeczoznawcy. Niestety, gdy się okazało, jakie są koszty szacowania, jaki jest czas oczekiwania rolników na taksatora, to zanim te zmiany prawne weszły w życie, rozpoczęto prace nad nowymi rozwiązaniami.

Nowe zmiany przyjęte w marcu 2018 r. (Dz.U.2018.651) zakładały, że od 1 kwietnia 2018 r. podmiotem właściwym do przyjmowania zgłoszeń od poszkodowanych rolników będą urzędy gminy, a szacowaniem szkód zajmą się sołtysi. Od samego początku takie rozwiązanie budziło wątpliwości, gdyż samorządy lokalne nie dysponowały wykwalifikowaną kadrą znającą problematykę szkód w uprawach i płodach rolnych, a przede wszystkim procedur ich szacowania. Powstały ogromny chaos i wiele nieporozumień, co spowodowało niezadowolenie rolników. Minister środowiska, by ratować sytuację, 26 kwietnia 2018 r., czyli niespełna miesiąc po wprowadzeniu nowych przepisów, wysłał pismo do Polskiego Związku Łowieckiego, aby myśliwi podjęli się procedury szacowania, wyręczając w tym sołtysów lub przedstawicieli gmin. Jednocześnie w tym samym czasie w trybie pilnym przystąpiono do wypracowania kolejnych nowych rozwiązań w tym zakresie. Sejm niemal w sposób błyskawiczny uchwalił kolejną zmianę ustawy Prawo łowieckie, która zaczęła obowiązywać od 23 sierpnia 2018 r. Po kilku latach zamieszania, bałaganu prawnego i niefunkcjonowania nowych propozycji powrócono do sytuacji wyjściowej, do starych, sprawdzonych rozwiązań.

Dlaczego tak się stało? Dlaczego zmiany prawne się nie powiodły? Otóż rocznie trzeba rozpatrzyć ponad 20 tys. wniosków złożonych przez rolników, oszacować szkody oraz wypłacić odszkodowania. Myśliwi potrafią to zrobić, gdyż posiadają wiedzę z tego zakresu, którą zdobyli na kursach, za które zapłacili ze środków prywatnych. Myśliwi są praktycznie w każdej miejscowości, więc przyjazd do rolnika nie zajmuje dużo czasu, i są dostępni w każdym dniu tygodnia. Myśliwi wykonują tę pracę za darmo, wykorzystując swoje prywatne samochody, kupując paliwo ze środków prywatnych. Pamiętajmy, że koszty związane z zabezpieczaniem pól przed zwierzyną, nocnymi dyżurami, szacowaniem szkód oraz wypłatą odszkodowań wynoszą w skali roku 1–1,5 mld zł i podatnik nie musi za to płacić.

CZAS AKTYWISTÓW ANTYŁOWIECKICH

Po wyborach parlamentarnych w 2023 r., w wyniku umowy koalicyjnej, resort klimatu i środowiska objęła Polska 2050 Szymona Hołowni, który jest ambasadorem (użycza swojego wizerunku) jednej z organizacji antyłowieckich. Na wiceministra nadzorującego resort łowiectwa powołano politologa, trenera pilatesu, człowieka ze środowiska akty-

eprasa.pl b2ee8dcb6b

Osoby niemające wykształcenia przyrodniczego decydują o tym, jak chronić przyrodę. Osoby niemające wiedzy łowieckiej decydują o zadaniach wykonywanych przez myśliwych. Jakie mogą być tego konsekwencje?

wistów, który kilka miesięcy wcześniej mówił, że „myślistwo to gruby temat […], ja tego kompletnie nie czuję". Kiedy więc Mikołaj Dorożała objął stanowisko podsekretarza stanu w Ministerstwie Klimatu i Środowiska, sprawując nadzór nad zadaniami wykonywanymi przez myśliwych, ci ostatni przyjęli to jako próbę ich upokorzenia. Porównywali zaistniałą sytuację do tej, gdy Kaligula, chcąc poniżyć Senat, powołał konia na senatora.

Ministerstwo w przekazie prasowym, bez konsultacji z myśliwymi, zasygnalizowało konieczne zmiany w systemie polskiego łowiectwa, m.in. skrócenie listy gatunków, na które polują myśliwi, skrócenie sezonu łowieckiego, zakaz polowań w określone dni tygodnia, zakaz używania termowizji, zakaz polowań zbiorowych czy wyłączenie gospodarki łowieckiej na kolejnych obszarach. Myśliwi prosili resort o merytoryczną argumentację takich propozycji, o analizę skutków przyrodniczych, gospodarczych i społecznych. W związku z powyższym 7 czerwca 2024 r. ministerstwo powołało zespół do spraw reformy łowiectwa, w którym znalazło się kilkunastu aktywistów antyłowieckich.

Rozmowy przedstawicieli PZŁ, którymi byli profesorowie z kilku uniwersytetów, z aktywistami nie przyniosły efektów. Po spotkaniu przedstawiciele myśliwych w piśmie do Pauliny Henning-Kloski kierującej resortem klimatu i środowiska napisali m.in.: „Ze względu na brak merytorycznego przygotowania przedstawicieli koalicji Niech Żyją! spotkanie Zespołu przerodziło się z założonej konstruktywnej debaty naukowej ekspertów w manifest ideologiczny organizacji pozarządowych".

Naukowcy reprezentujący PZŁ przedstawili wyniki badań naukowych, argumentując, że wbrew kampaniom medialnym to nie myśliwi są problemem w prowadzeniu skutecznej ochrony przyrody w naszym kraju. Ich zdaniem jednym z głównych czynników, obok warunków środowiskowych, jest presja drapieżników, zwłaszcza gatunków inwazyjnych, jak np. szop pracz. Ponadto naukowcy sugerowali, aby ministerstwo rozpoczęło prace nad rozwiązaniami systemowymi, promowało badania naukowe nad gatunkami zagrożonymi, rozwijało system monitoringu, stymulowało opracowywanie programów czynnej ochrony (np. sztuczną bazę lęgową), bo tylko takie rozwiązania przyniosą zadowalające efekty.

Niestety, resort nie jest zainteresowany rozwiązaniami systemowymi, które wymagałyby czasu, ale raczej szybkimi decyzjami podyktowanymi względami politycznymi i zadowoleniem określonych grup wyborców. Uderzenie w myśliwych jest bardzo medialne, ale z pewnością nie rozwiąże żadnych problemów i nie podniesie skuteczności ochrony przyrody na wyższy poziom.

W POSZUKIWANIU MĄDRYCH DECYZJI

Każdy z nas chciałby żyć w przekonaniu, że wszelkie regulacje prawne, z którymi mamy do czynienia w naszym kraju, są efektem mądrych decyzji, które były wykuwane podczas merytorycznej, eksperckiej debaty czy nawet sporu. Chcielibyśmy wierzyć, że to profesjonaliści, fachowcy mający wiedzę specjalistyczną mają wpływ na decyzje podejmowane przez polityków. Wiemy jednak, że tak nie jest. Wiemy, że osoby niemające wykształcenia przyrodniczego decydują o tym, jak chronić przyrodę. Wiemy, że osoby niemające wiedzy łowieckiej decydują o zadaniach wykonywanych przez myśliwych. Jakie mogą być tego konsekwencje? Czy tylko niezadowolenie niektórych grup zawodowych (np. leśników) czy społecznych (myśliwych)? Problem jest o wiele głębszy.

Pamiętajmy, że myśliwi zrzeszeni w Polskim Związku Łowieckim wykonują swoje obowiązki społecznie, bez wynagrodzenia. Robią to, bo to lubią. Jednak nikt, nawet minister, nie zmusi myśliwego do wykonywania określonego zadania, jeśli nie będzie on do niego przekonany. Co zatem w sytuacji, gdy myśliwi na znak protestu przestaną redukować drapieżniki? Jak ministerstwo zadba np. o skuteczną ochronę wielu rzadkich gatunków ptaków? Czy Mikołaj Dorożała ma jakiś plan B? Istnieje obawa, że pracownicy ministerstwa nie są świadomi takich zagrożeń.

A co by było, gdyby myśliwi całkowicie przestali polować? Z pewnością spowodowałoby to ogromną radość i poczucie sukcesu w środowisku aktywistów antyłowieckich. Niestety, efekty takich zaniechań byłyby widoczne stosunkowo szybko. Można to wyjaśnić na prostym przykładzie z województwa lubuskiego, gdzie w dwóch obwodach (nr 206 i 207) wyłączono gospodarkę łowiecką. W latach 2015–2016, gdy zarządzano na tych terenach populacjami dzikich zwierząt, nie odnotowano szkód i nie wypłacano odszkodowań. W 2017 r. zakazano gospodarki łowieckiej i już w 2019 r., czyli po dwóch latach, odszkodowania wyniosły ponad 600 tys. zł. W Polsce jest prawie 5 tys. obwodów łowieckich, więc łatwo sobie wyobrazić skalę problemu finansowego, który będzie miał tendencję wzrostową. Do tego należy wziąć pod uwagę niezadowolenie społeczne niektórych grup zawodowych dotkniętych szkodami, jak np. leśnicy, rolnicy, rybacy, sadownicy, a także wzrost wypadków drogowych z udziałem dzikich zwierząt, choroby przez nie przenoszone itp. Wiemy, że osoby niedoświadczające problemu nie są jego świadome, ale jako homo sapiens mamy dar wyobraźni, więc czasami z niego korzystajmy.

Mądre decyzje to takie, które uwzględniają konsekwencje, w tym przypadku społeczne, przyrodnicze i gospodarcze, oraz są podjęte w poczuciu odpowiedzialności. Niechęć do myśliwych nie powinna zasłonić nam racjonalnego myślenia, ale bardziej stymulować do zrozumienia złożonej problematyki łowieckiej i jej zależności z różnymi sferami naszego codziennego życia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Prof. dr hab. Dariusz J. Gwiazdowicz jest wykładowcą Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu oraz przewodniczącym Komisji Naukowej Naczelnej Rady Łowieckiej.

eprasa.pl b2ee8dcb6b

Polszczyzna na

Teresa Stylińska

„Ten program należy dowieźć". Albo: „No i nie udało nam się tego dowieźć". W wielkim błędzie jest ten, kto sądzi, że o swej pracy opowiadają kierowcy czy inni przedstawiciele branży transportowej. O nie! „Dowożenie" zaczęło nowe życie, przynajmniej w języku

Nie dowiozłem – a zatem czegoś nie zrobiłem czy też nie zrealizowałem planów. Nonsens? Oczywiście. Wszystko staje się jasne, gdy weźmiemy pod uwagę dwa aspekty. Po pierwsze, na nasz język wpływ przemożny, być może już nie do opanowania, ma język angielski. Po drugie, angielskie słowo „deliver" znaczy zarówno dowieźć czy dostarczyć, jak i dokonać czy zrealizować. Wszystko zależy od kontekstu – a w angielskim, bardziej niż w jakimkolwiek innym języku, kontekst to podstawa.

Być może ten i ów sięga po „dowożenie" żartem. Takie żarty jednak, właściwie niewinne, językowo bywają ryzykowne. Żart przekształca się w zwyczaj, niekoniecznie poprawny czy dobrze brzmiący. I tak oto na naszych oczach polski staje się jak śmietnik, do którego wpadają językowe odpady.

W dodatku jeżeli pod tym względem cokolwiek się zmienia, to tylko na gorsze. Niewesoła to konstatacja. Chociaż może wydawać się przesadna bądź podyktowana nadmiarem językowej ortodoksji, to trudno negować fakty. To, co dziwaczne, niepoprawne, sprzeczne z tradycją i zasadami czy urągające logice przyjmuje się u nas nadspodziewanie łatwo. To trochę jak z dziećmi, które – jak doskonale wiadomo – w nadzwyczajnym tempie przyswajają sobie słowa i wyrażenia mało obyczajne, których raczej przyswajać sobie nie powinny. I język także niekoniecznie powinien.

Mikołaj Rej – o czym wie, a przynajmniej powinien wiedzieć każdy uczeń – dowodził, „iż Polacy nie gęsi, iż swój język mają". Czy dzisiaj by się przy tym upierał? Gęsi język, jak w jego czasach nazywano łacinę, też jest w odstawce. Może jednak lepiej by było mieć, najdosłowniej, porządny gęsi język niż niechlujną mieszaninę, w której kalki z angielskiego nakładają się na różnego rodzaju błędy, wynikające – przykro to powiedzieć – z niedouczenia, niewiedzy, braku oczytania i braku językowego wyczucia.

EPICKI SEKRETARZ, BUDŻETOWY ATLETA

„Dowożenie" – jak mało co pozbawione sensu, bo po polsku jego dosłowne rozumienie zupełnie nie koresponduje z „realizowaniem" – funkcjonuje w dużym towarzystwie innych dziwacznie adoptowanych (sic!) słów. Chociaż bardzo różne, to mają one wspólny mianownik: angielskie słowo przybiera polską, podobnie brzmiącą formę. I tyle – bo znaczenie, traktowane z dezynwolturą, de facto nie ma żadnego znaczenia.

Brzmi to może zawile, w praktyce jednak jest bardzo proste. „Epicki sekretarz", „atleta budżetowy", „resort" doskonale to ilustrują. Stare, dobrze znane słowa, którym pod wydatnym wpływem angielskiego przydano nowe znaczenie, moszczą się właśnie w języku mediów, reklamy i polityki. Trudno dziś przewidzieć, czy tak już zawsze będzie, bo niektóre formy mogą okazać się efemerydą. Tego właśnie serdecznie życzę „pełnoskalowej wojnie" – „full-scale war" – która z zupełnie niezrozumiałych powodów wyparła z użycia „wojnę na pełną skalę". To skądinąd pokazuje, że nowe formy lubią wciskać się nawet na miejsca od zawsze zajęte. Jak to możliwe? Na „papugę narodów", że odwołamy się raz jeszcze do poezji, działa zapewne przemożny urok cudzoziemszczyzny, bo co cudzoziemskie, to zawsze lepsze i światowe.

„Epicki smak, epicki wybór" – tak autorzy telewizyjnej reklamy zachwalają pepsi-colę bez cukru. To prawda, że angielskie słowo „epic" tak samo jak po polsku znaczy „epicki", czyli odnoszący się do epiki jako formy literackiej. Znaczy jednak także „świetny", „znakomity" czy „imponujący", w reklamie zatem jest jak najbardziej na miejscu. Czy autorzy reklamy to wiedzą? Nie wiemy, zapewne jednak sądzą, że „epicki" zrobi większe wrażenie.

Weźmy atletów. Trudno dociec, dlaczego niektórzy znawcy sportu – także dziennikarze, niestety – nabrali przekonania, że w zawodach uczestniczą atleci. I nie chodzi wcale o podnoszenie ciężarów, bo tu to nieco staromodne określenie byłoby oczywiście właściwe. Atleci są obecni wszędzie, również na olimpiadach i zawodach, które z podnoszeniem ciężarów czy zapasami nie mają nic wspólnego. W niektórych stacjach telewizyjnych i na portalach internetowych słowo „atleci" widnieje nawet, o zgrozo, w tytułach programów o sporcie! Tymczasem angielskie „athlete" to pierwotnie lekkoatleta, a w szerszym znaczeniu sportowiec.

Albo budżetowy. Nie, nie chodzi o budżet państwa ani nawet zwykły budżet domowy. Budżetowy to „tani". Taki efekt przyniosło angielskie „low-budget" – „o niskim budżecie". To, co oczywiste np. przy organizowaniu imprez czy produkcji filmów, rozeszło się jednak szeroko, dając nam budżetowe wakacje, budżetowe wyjazdy (najlepiej do „resortu", który dzięki angielskiemu z miejsca pracy stał się miejscem wypoczynku), hotele czy co tam kto jeszcze chce. Być może działa tu po trosze aspekt psychologiczny, bo „budżetowy" pozwala ominąć krępujące niekiedy słowo „tani". Gdzie tu jednak dopatrzyć się sensu?

Na koniec sekretarz. To przypadek szczególny. Zalew informacji z Ameryki sprawił, że codziennie obcujemy ostatnio

eprasa.pl b2ee8dcb6b

Czy mówisz po polsku? równi pochyłej

FOT. ADOBE STOCK

z sekretarzami – obrony, handlu, transportu i wieloma innymi. Tymczasem „secretary" to formalna nazwa stanowiska ministra, zresztą nie tylko w USA, bo również w Wielkiej Brytanii. O ile jednak brytyjscy ministrowie ciągle pozostają u nas ministrami (jak długo jeszcze?), o tyle amerykańscy masowo zwani są sekretarzami. Czy to dobrze? Oczywiście, że nie. Zawsze dobrze jest trzymać się własnych zasad, a posługiwanie się utrwaloną terminologią służy jasności i precyzji.

AGONIA PRZYIMKÓW

Sekretarz w nowym wydaniu ma jeszcze jedną wadę – jest językowo niezgrabny. Sekretarz obrony – to brzmi fatalnie. Czyżby człowiek piastujący tę wysoką funkcję sekretarzował obronie? Duch języka polskiego nakazywałby raczej przemianować go na „sekretarza do spraw obrony". Nie sprzyja temu jednak wszechobecna – płynąca, jak się wydaje, również z angielskiego – tendencja do upraszczania i skracania. Czyż nie dlatego w zastraszającym tempie z polskiego znikają przyimki? Co albo całkowicie niszczy jasność wypowiedzi, albo też sprawia, że ociera się ona o śmieszność.

Przykładów jest bez liku. Oto powszechnie spotykane „morderstwo Kowalskiego". Czy rzeczony Kowalski kogoś zamordował czy może to jego zamordowano? Nie wiadomo. Wystarczyłoby napisać o „morderstwie popełnionym przez Kowalskiego" albo „na osobie Kowalskiego", a sprawa byłaby jasna. Czy jednak w dobie szybkiego przekazu nie jest to aby karygodna rozwlekłość? „Zamordowanie Kowalskiego" jest jeszcze bardziej precyzyjne, problem jednak w tym, że rzeczowniki odsłowne znikają równie szybko jak przyimki.

Nie inaczej bywa z przeprosinami. „Sąd nakazał przeprosiny Kowalskiego" (cytat z mediów, nie z sądu). Czy to Kowalski ma przepraszać czy też jemu należą się przeprosiny? Tego również nie wiadomo. Dodanie „wobec" czy „ze strony" wyjaśniłoby tę kwestię, podobnie jak użycie formy „przeproszenie Kowalskiego". Komentarz jak wyżej.

Eksperci z kolei przestają być ekspertami „od czegoś" – od komunikacji miejskiej, od ochrony środowiska czy od hodowli zwierząt. Dziś są po prostu, jakkolwiek to dziwnie brzmi, „ekspertami ochrony środowiska" itd. Zresztą właśnie czasownik „brzmieć" też padł ofiarą angielskiego. Jeszcze nie tak dawno temu brzmieć mogły muzyka, głos czy słowa. Dziś, niestety, brzmi człowiek. Człowiek np. nie wypowiada się w poważnym stylu czy duchu, lecz „brzmi poważnie" – bo po angielsku „he sounds serious".

Co najmniej śmiesznie natomiast prezentuje się „wspomnienie zmarłego". Tak zatytułowaną zakładkę można znaleźć na stronach internetowych zawierających nekrologi. Przyimek „o" rozwiązałby problem i trudno dociec, czemu go tu nie ma. Zmarły przecież już raczej wspomnieniami się nie podzieli.

CIEMNE REJONY

Kwestii wpływu angielskiego tu nie wyczerpiemy, by jednak obraz był choć trochę bardziej pełen, nie możemy nie wspomnieć o liczbie mnogiej, w angielskim znacznie częściej stosowanej niż w polskim. Czy można się więc dziwić, że rozpowszechnia się ona w tempie zawrotnym? Już teraz mamy więc śmierci i ryzyka, ludzi, którzy popadają w paniki, a w sklepach pościele i ryże. Prawdziwą perełką na tym polu jest jednak informacja, którą zaprezentowała widzom na tzw. pasku jedna ze stacji telewizyjnych. Mowa w nim była o kontynuowaniu „współprac gospodarczych"! Trzeba nie lada umysłowego wysiłku, by coś takiego wymyślić.

Tych kilka drobnych obserwacji skłania do postawienia paru pytań. Po pierwsze: Dlaczego? Odpowiadamy na nie na początku tego tekstu. Po drugie: Czy jest szansa, że coś się zmieni na lepsze? Tutaj niełatwo o odpowiedź. A przecież przedstawiamy tylko drobny fragment naszej rzeczywistości językowej. Aż strach zagłębiać się w takie ciemne rejony, jak używanie imiesłowów czy związków frazeologicznych, akcentowanie czy niepotrzebne używanie wielkich liter. A wiele jeszcze przed nami, bo na wkroczenie do języka polskiego czeka – na pewno z niecierpliwością – sporo angielskich słów, których brzmienie sprawia, że łatwo się u nas zadomowią. Już wkrótce mogą pojawić się „antyki", które nie będą starociami („antics" – wybryki, błaznowanie), „lunatycy", którzy nie chodzą we śnie („lunatic" – wariat, szaleniec), i oficerowie, którzy nie mają nic wspólnego z wojskiem lub policją („officer" – urzędnik, funkcjonariusz). Ci ostatni, jako że słowo jest w częstym użyciu, mogą dokonać prawdziwej inwazji.

To wszystko razem wzięte nie nastraja optymistycznie. A przecież jak przyjemnie by było, gdyby Dzień Języka Ojczystego, obchodzony 21 lutego, ogłoszony przez UNESCO w 1999 r., był okazją do budujących refleksji na temat piękna polszczyzny, traktowanej jak prawdziwy skarb narodowy. Czy taki dzień kiedyś nadejdzie? Być może. Chociaż raczej nieprędko.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b2ee8dcb6b

Miasto niepokorne

Sowieccy żołnierze w płonącym Szczecinie, 27 kwietnia 1945 r.

FOT. WARALBUM.RU

Robert Kostro

„Najdalsza Polska" przedstawia całą rzeczywistość powojennego Szczecina – wielkie czyny odbudowy, rozmaite przejawy oporu, a także ubecki terror. Nikt przy zdrowych zmysłach nie ma wątpliwości, że komunistyczny ustrój był zbrodniczy. Ale przecież to PRL, państwo, które było opresyjne i dysfunkcjonalne, równocześnie realizował pewne pożyteczne funkcje: prowadził szkoły, szpitale, zapewniał bezpieczeństwo przed przestępczością

Szczecin jest bodaj najsłabiej obecny w naszej świadomości spośród dużych miast Polski. Różne są tego przyczyny. Gród nadodrzański praktycznie dopiero po drugiej wojnie światowej zaistniał w naszej kulturze i historii, ponieważ nawet w okresie wczesnego średniowiecza polska zwierzchność na tych terenach nie była ani długa, ani trwała.

Przez kilka stuleci Pomorze Zachodnie było wprawdzie rządzone przez słowiańską dynastię Gryfitów, ale politycznie i kulturowo było ono bliżej związane z Danią i z Rzeszą niż z Polską. Lepszemu zrozumieniu miasta nie sprzyja geografia. Jest ono oddalone prawie 600 km od Warszawy, przeszło 600 od Krakowa i nawet do najbliższego z dużych miast – Poznania – trzeba przebyć prawie 300 km. Szczecin nie miał również takiego szczęścia jak Wrocław, który został zasilony przez całe zespoły kadr instytucji naukowych Lwowa – w tym zwłaszcza Uniwersytetu Jana Kazimierza i Ossolineum. Dopiero w ostatnich dekadach miasto robi wiele, by nadrobić zaległości jako centrum akademickie i kulturalne. W latach 80. powstał nad Odrą uniwersytet, otwarty w roku 2014 nowy gmach Filharmonii Szczecińskiej zebrał wiele nagród, bo to perła nowoczesnej architektury. Z kolei Centrum Dialogu Przełomy, którego gmach zaprojektowano również w niebanalny sposób, jest jedną z najciekawszych placówek poświęconych najnowszej historii Polski. Potencjał miasta bez wątpienia jest wciąż w fazie wzrostu.

SZACUNEK DLA POLSKI

Naprzeciw potrzebie umieszczenia Szczecina bliżej centrum na mentalnej mapie Polski wychodzi dwutomowe wydawnictwo pt. „Najdalsza Polska", autorski projekt Piotra Semki zrealizowany dla

eprasa.pl b2ee8dcb6b

wrocławskiego Centrum Historii Zajezdnia (fragment publikacji ukazał się w „Do Rzeczy" nr 8/2025). To fotograficzny i ikonograficzny portret nadodrzańskiego miasta przedstawiający dramatyczny, skomplikowany, a także fascynujący proces formowania się polskiego Szczecina w latach 40. i 50. ubiegłego wieku. Książka zarazem pozwala dobrze zrozumieć wiele zagadnień i dylematów związanych z historią Ziem Zachodnich i Północnych.

Obraz Szczecina jest wielowymiarowy. Autor zaczyna od przedstawienia miasta przedwojennego. Szczecin był najważniejszym niemieckim portem na Bałtyku, korzystającym z bliskości Berlina, a także ważnym ośrodkiem działalności partii nazistowskiej, a jego gauleiter Franz Schwede-Coburg należał do ulubieńców Adolfa Hitlera. Przechodząc do tematyki polskiego Szczecina, dowiadujemy się z publikacji, kiedy zrodził się pomysł oparcia granic Polski na Odrze. Koncepcja ta pojawia się na początku XIX w. w publicystyce Hugona Kołłątaja. Temat wraca później m.in. w pismach jednego z założycieli Narodowej Demokracji, Jana Ludwika Popławskiego. Ale w Paryżu, w 1919 r., gdzie wytyczane były granice Europy po pierwszej wojnie światowej, żadne realistyczne uzasadnienie – etnograficzne czy historyczne – nie pozwalało domagać się przyznania Szczecina Rzeczypospolitej. Dopiero dramat drugiej wojny światowej sprawił, że koncepcja, o której mowa, przeniosła się ze sfery fantazji do przestrzeni realnych decyzji politycznych. Niemcy wywołały europejski kataklizm na niewyobrażalną skalę, same prowadziły politykę agresji, ludobójstwa i czystek etnicznych, która domagała się bezwzględnej reakcji politycznej i kary. W dodatku Józef Stalin hojną ręką gotów był płacić za zagarnięcie Ziem Wschodnich Rzeczypospolitej. Temat został podjęty przez „Wielką Trójkę" w Jałcie i Poczdamie, kiedy decydował się kształt powojennej Europy.

Koncepcję przesunięcia Polski na zachód w oczywisty sposób poparli komuniści. Zaakceptował ją również PSL Stanisława Mikołajczyka, licząc na to, że umożliwi to utrzymanie demokracji i wolności wewnętrznej w Polsce za cenę uznania sowieckich interesów w sferze polityki zagranicznej. Ugrupowania niepodległościowe, odrzucające kompromis, w większości również opowiedziały się za przesunięciem granicy zachodniej, ale bez oddawania Wschodu. Ale nie wszyscy tak uważali, bo np. ostatni uznawany przez zachodnich aliantów rząd emigracyjny, kierowany przez Tomasza Arciszewskiego, stał na stanowisku legalistycznym i konsekwentnie bronił powrotu Polski do przedwojennych granic.

W kolejnych rozdziałach album Piotra Semki przedstawia m.in. zdjęcia z okresu zdobywania przez Armię Czerwoną Szczecina i w ogóle Pomorza, a także fotografie z pionierskich dni działania w Szczecinie polskiej administracji. Jej głową był wówczas Piotr Zaremba, wyznaczony przez rząd Edwarda Osóbki-Morawskiego na pierwszego prezydenta miasta, który rozpoczął swoje urzędowanie już 30 kwietnia 1945 r., kiedy wciąż jeszcze trwały walki z III Rzeszą. Treść decyzji mocarstw, że Polska będzie miała granicę na Odrze, nie budziła większych wątpliwości, ale przyszłość Szczecina nie była wcale przesądzona. Miasto znajduje się na zachodnim brzegu rzeki i Anglosasi uważali to za naruszenie ustaleń. Pod presją Stalin nakazał polskim władzom wycofanie się z miasta. Zarząd przejęli niemieccy komuniści. Dopiero w lipcu Stalin ostatecznie przekazał Szczecin Polakom i przedstawiciele Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej powrócili na dobre do nadodrzańskiego grodu.

BARBARZYŃSTWO SOWIECKIE

Album zawiera fotografie i dokumenty pokazujące tworzenie się polskiego życia w Szczecinie: pierwsi mieszkańcy to głównie przymusowi robotnicy i ludzie powracający z Niemiec – więźniowie obozów koncentracyjnych, stalagów i oflagów. Kresowiacy oczywiście wkrótce przybędą i staną się istotną częścią szczecińskiego społeczeństwa, bo stanowili przeszło 22 proc. przybyszów, ale jeszcze więcej – bo niemal 70 proc. – pochodziło z Polski Centralnej. Wielu było zmuszonych do szukania swojego miejsca do życia, bo ich dobytek został zniszczony, np. w powstaniu warszawskim. Inni szukali bezpieczeństwa, niekiedy mieli na sumieniu jakieś okupacyjne przewinienia, np. kolaborację z okupantem. Byli ludzie źle widziani przez władze komunistyczne, a wreszcie tacy, którzy szukali lepszych warunków życia.

Prezydent Szczecina Piotr Zaremba przemawia do Polaków zasiedlających miasto, 6 maja 1945 r.

FOT. ARCHIWUM TOWARZYSTWA CHRYSTUSOWEGO W POZNANIU

Zdjęcia dokumentują pierwsze działania straży pożarnej, wizerunki przybyłych księży, pokazują prace przy organizacji parafii w poewangelickich kościołach. W mieście uruchamiane są zakłady przemysłowe, szkoły, sklepy… Ale równocześnie obecny jest strach – zwłaszcza pierwsze miesiące obfitują w rozmaitego rodzaju akty barbarzyńskie ze strony sołdatów sowieckich: rabunki, gwałty, morderstwa oraz akty terroru ze strony band niemieckich. Pierwszą polityczną manifestacją polskich szczecinian stał się pogrzeb strażaka Teofila Firlika, który w maju 1945 r. został potrącony przez pijanego sowieckiego kierowcę. Problemem były również akty przemocy wobec nielicznych pozostałych w mieście Niemców. Trudnych tematów autor nie ukrywa.

Mamy tu wiele zdjęć poświęconych politycznej historii pierwszych powojennych lat: instalowanie partii komunistycznej i zbrodnicza działalność organów bezpieczeństwa. Szczecin stanowił ważne miejsce przerzutowe przez „zieloną granicę". Publikacja przedstawia fotografie ludzi niepodległościowego podziemia, którzy – jedni skutecznie, inni nie – próbowali przedostać się tą drogą do zachodniego Berlina. Zdjęcia i plakaty dokumentują kampanię propagandową przed tzw. referendum ludowym w 1946 r. i przykręcanie śruby po sfałszowanych przez komunistów wyborach w 1947 r.

Jednym z najciekawszych epizodów tych pierwszych miesięcy i lat, pokazującym Szczecin jako miejsce politycznego wrzenia, są zdjęcia uczestników zlotu młodzieży „Trzymamy straż nad Odrą" w kwietniu 1946 r. Impreza miała być dowodem na skuteczność działań władz komunistycznych związanych z przejmowaniem Ziem Zachodnich i demonstracją

eprasa.pl b2ee8dcb6b

polskich praw do regionu, a także okazją do pokazania się Bolesława Bieruta jako tego, który – w porozumieniu z Sowietami – uzyskał Ziemie Zachodnie. Poszło jednak nie tak, jak zaplanowali organizatorzy. Wprawdzie przybyli oficjele na czele z Bierutem jako przewodniczącym Krajowej Rady Narodowej, jednak umiejętności reżyserowania spektakli propagandowych władzy były zbyt niskie, a poczucie wolności wśród Polaków było zbyt wysokie. Wśród zgromadzonej młodzieży obok komunistycznego Związku Walki Młodych byli m.in. harcerze i działacze związani ze Związkiem Młodzieży Wiejskiej „Wici". Po afrontach dokonanych wobec opozycji przez oficjeli, którzy prowadzili uroczystość, część młodzieży zaczęła skandować: „Precz z Bierutem!" i „Mikołajczyk na prezydenta!". Przekrzykiwano się z zetwuemowcami, którzy wołali: „Precz do Londynu!" albo „Na latarnię!". Wściekły Bierut opuścił uroczystość. Różne incydenty, z bójkami włącznie, trwały przez dwa dni, dając początek tradycji Szczecina jako miasta niepokornego.

Publikacja Piotra Semki to jednak nie historia polityczna ani nie monografia naukowa, ale przede wszystkim album przedstawiający całościowo i bezkompromisowo życie miasta – w jego wymiarze nie tylko politycznym, lecz także gospodarczym, religijnym, społecznym, kulturalnym… Każdy z tych tematów został zilustrowany oprócz wspaniałej ikonografii mięsistymi cytatami źródłowymi. Zaletą publikacji jest żywy język. Zdradza on ogromną erudycję, znajomość kontekstów i wreszcie zmysł anegdoty autora. Wielką wartością jest wykorzystanie licznych nieznanych bądź niepublikowanych materiałów fotograficznych. Wśród nich uwagę zwracają zdjęcia prywatnych osób – szczecińskich pionierów z lat 40., zebrane przez „Kurier Szczeciński", czołową lokalną gazetę, przez wiele lat redagowaną przez Janusza Ławrynowicza. Właśnie Ławrynowiczowi autor poświęca publikację. Wiele zdjęć jest też wyszperanych od prywatnych ludzi, od proboszczów, organizacji i instytucji przez samego autora.

PREZYDENT I WOJEWODA

Na stronach publikacji pojawiają się fotografie robotników i rzemieślników, księży i strażaków, żołnierzy i harcerzy, oprawców i ofiar, czołowych postaci ówczesnej polityki – takich jak Bierut, Mikołajczyk czy w drugiej połowie lat 40. minister Ziem Odzyskanych i szef PPR Władysław Gomułka. Chyba najczęściej natrafiamy na wizerunki dwóch osób: wspomnianego wyżej prezydenta Piotra Zaremby oraz Leonarda Borkowicza, pierwszego wojewody szczecińskiego.

> **„Precz z Bierutem!" i „Mikołajczyk na prezydenta!" – skandowała część młodzieży. Przekrzykiwano się z zetwuemowcami, którzy wołali: „Precz do Londynu!" albo „Na latarnię!". Wściekły Bierut opuścił uroczystość**

Zaremba pochodził z rodziny o tradycji endeckiej, a Borkowicz – z domu polskich Żydów. Obaj w albumie prezentują się znakomicie. W twarzy Zaremby widać typ technokraty – był z zawodu urbanistą i świetnie sprawdzał się jako zarządzający miastem. Z kolei Borkowicz, z sarmackim wąsem, często w mundurze, wygląda raczej na sanacyjnego wojewodę niż bolszewickiego komisarza. W jego zachowaniu i wyglądzie nie ma nic z antysemickiego stereotypu. Obaj mieli ogromne zasługi w odbudowie miasta i pozyskania go dla Polski. Wprawdzie – nie ma co ukrywać – służyli komunistycznemu rządowi, ale żaden nie był typem ideologa, partyjnego aparatczyka czy ubeckiego sadysty.

O pewnej odrębności Szczecina świadczą choćby wprowadzone na plan miasta liczne „niepoprawne" nazwy. Przez dobrych parę lat można było zamieszkać lub zrobić zakupy przy ulicach Hallera, Orlicz-Dreszera, ks. Ignacego Skorupki czy Bohaterów Monte Cassino. W mieście odbyła się defilada powracających z Zachodu żołnierzy Samodzielnej Brygady Spadochronowej Stanisława Sosabowskiego. Długo nie było tropienia „wrogów ludu". Raczej ściągano ludzi dobrych do konkretnej pracy – o różnej przeszłości, ale o wysokich kompetencjach. Choć Zaremba i Borkowicz utracili później swoje stanowiska w najgorszym okresie stalinowskiego komunizmu, kiedy śruba została dokręcona, a kompetencje stały się raczej obciążeniem niż zaletą.

Postaci Zaremby i Borkowicza naprowadzają nas na problem ważny nie tylko dla tej książki, lecz także w ogóle dla interpretacji historii PRL. „Najdalsza Polska" przedstawia całą rzeczywistość powojennego Szczecina – wielkie czyny odbudowy, rozmaite przejawy niepokorności, a także ubecki terror. Nikt przy zdrowych zmysłach nie ma wątpliwości, że komunistyczny ustrój był zbrodniczy, przyniósł Polakom i mieszkańcom naszej części Europy wiele złego. Ale przecież to państwo, które było opresyjne i dysfunkcjonalne, pozbawiło Polaków wolności, a nawet dokonywało zbrodni, równocześnie realizowało pewne pożyteczne funkcje: prowadziło szkoły, szpitale, zapewniało bezpieczeństwo przed przestępczością, organizowało lepiej czy gorzej transport, życie gospodarcze itp. Odbudowa Warszawy i Zamku Królewskiego, trwające przeszło dwie dekady zabiegi o międzynarodowe uznanie granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej, wiele wybitnych filmów i dzieł kultury z okresu po 1956 r. to przykłady, że pewnych wydarzeń i działań nie da się i nie ma sensu wymazywać z historii tylko dlatego, że wydarzyły się w PRL. Zorganizowanie życia na Ziemiach Zachodnich i Północnych jest jednym z tego przykładów.

Trzeba raczej przyznać, że pewne normalne funkcje państwa nie powinny być rozumiane jako osiągnięcia komunizmu. Były okruchami normalności zjadanych przez raka totalitarnego systemu, ale wciąż istniejących struktur państwa. Te pozytywne funkcje zwykle realizowane były właśnie przez różnych niepokornych duchów, dzięki naruszaniu zasad systemowych. Wydawnictwo „Najdalsza Polska" odsłania wiele tych mechanizmów i warte jest lektury oraz refleksji również z tego powodu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

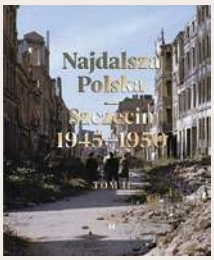

eprasa.pl b2ee8dcb6b

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Z odłamkiem...

Lechosław Roszkowski, oficer NSZ i NZW, pozostaje nieznany, mimo że był to jedyny żołnierz podziemia niepodległościowego, zamordowany przez komunistów, mający odłamek w głowie. Postać szlachetna i tragiczna zarazem. Był prawnikiem, aplikantem adwokackim. W normalnych warunkach kariera prawnicza, a może i naukowa stałaby przed nim otworem. Prawo ukończył na UW w 1934 r. Ze związku małżeńskiego urodził mu się jedyny syn Krzysztof, który po zmianach w 1989 r. był sędzią Trybunału Stanu.

Bardzo mało wiemy o konspiracyjnej drodze por. Lechosława Roszkowskiego „Tomasza", a działał kolejno w NOW, NSZ-AK i NZW. Brał udział w powstaniu warszawskim, dołączył do zgrupowania ppłk. Jana Szczurka-Cergowskiego „Sławbora" w Śródmieściu, który był wcześniej wyższym oficerem NOW. Walczył w Śródmieściu w kompanii kpt. Kazimierza Leskiego „Bradla". Gdy został ciężko ranny (odłamek pocisku utkwił mu w czaszce), lekarze nie dawali mu szans, nie podejmując się operacji. Ale przeżył i podjął dalszą działalność. Wywożony w transporcie z powstania już pod Pruszkowem zdołał zbiec z pociągu.

Był m.in. szefem kolportażu przy oddziale VI (propagandowym) KG NSZ-AK. Gdy po rozpadzie AK w styczniu 1945 r. zaczęły tworzyć się na jej bazie nowe organizacje niepodległościowe, por. „Tomasz" rozpoczął służbę w NZW (które powstało z połączenia NOW-AK i NSZ-AK).

W Komendzie Głównej objął funkcję bardzo wysoką i bardzo odpowiedzialną: został szefem I oddziału – organizacyjnego. Na tym stanowisku wizytował teren i powoływał Komendy Obszarów i Okręgów nowej organizacji. Wszedł również w skład Wydziału Wojskowego ZG SN. Równolegle, myśląc o przyszłości, rozpoczął aplikację adwokacką w Łodzi, u mecenasa Bolesława Grochowskiego.

Konspiracja narodowa, m.in. pod jego kierownictwem, przetrwała cztery kolejne Zarządy Główne WiN. Wkrótce i ją spotkały aresztowania, które od lutego–marca 1946 r. objęły ok. 100 osób. Porucznik „Tomasz" został ujęty 6 kwietnia 1946 r. Miał bardzo ciężkie śledztwo w UB, które nadzorował płk UB Josek Goldberg vel Józef Różański. Namawiany przez niego do współpracy odmówił, za co został straszliwie skatowany. Pośpieszny proces oficerów KG NZW miał miejsce w dniach 6–28 października 1947 r. w więzieniu na Mokotowie. Porucznik „Tomasz" zachowywał się z niezwykłą godnością, zarzuty o szpiegostwo całkowicie odrzucał, ale „do zamiaru obalenia ustroju przyznaję się". W zeznaniach chronił podkomendnych, szczególnie kobiety.

Został skazany na karę śmierci, wyrok wykonano 15 stycznia 1948 r. Pogrzebany gdzieś na Służewcu, już nie będzie odnaleziony. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Pieśniarz Warszawy

Pomysł na scenariusz filmu okazał się genialny w swej prostocie. W czasach, gdy w modzie było przedstawianie błyskotliwych karier ludzi z nizin społecznych, producent i odtwórca głównej roli, Eugeniusz Bodo, zdecydował się pójść w przeciwnym kierunku. Jego bohater pochodzący z dobrego, zamożnego domu miał zejść do poziomu zwykłych ludzi i odnaleźć się w ich świecie.

Starannie dobrano ekipę produkcyjną. Reżyserem tradycyjnie został Michał Waszyński, natomiast scenariusz napisali wspólnie: Bodo, Jerzy Nel i Ludwik Starski. Dla tego ostatniego był to debiut w świecie filmu.Ekipę uzupełniali operator Seweryn Steinwurzel oraz Henryk Wars, który skomponował kilka chwytliwych piosenek. Nie oznaczało to jednak, że praca nad obrazem przebiegała bez problemów. Ekipa przystąpiła do realizacji filmu z dużym opóźnieniem i na planie panowała nerwowa atmosfera.

„Dostawałem metraż sceny z uwagami, co ma być zaakcentowane, gdzie zrobić »bum« – skarżył się kompozytor. – Metraż przeliczany był na sekundy i grało się »pod ekran«, ale nigdy nie można było przewidzieć, kiedy to »bum« wyskoczy w czasie grania. Wiedziało się jedynie, że niezupełnie się trafiło. Wtedy Waszyński uspokajająco machał ręką i mówił: »Zrobię to później na stole montażowym«. Na premierze konstatowałem, że zazwyczaj »bum« było obok, albo za późno, albo za wcześnie".

Waszyński stanął jednak na wysokości zadania, dzięki czemu „Pieśniarz Warszawy" okazał się udanym obrazem. Był to jednocześnie wielki triumf Bodo jako aktora, który sprawdził się także jako piosenkarz, „Zimnego drania" wykonał „jak rasowy jazzman". Po raz pierwszy w dziejach polskiego filmu wykorzystano scat, czyli dźwiękonaśladowczy sposób śpiewu.

Ekranowy sukces piosenki został natychmiast zdyskontowany przez wydawnictwa fonograficzne i niebawem „Zimnego drania" śpiewała cała Polska. Doszło nawet do tego, że gdy Bodo miał wykonać utwór na żywo przed mikrofonami Polskiego Radia, to o tym doniosłym wydarzeniu z wyprzedzeniem informowała codzienna prasa.

Obraz bił rekordy kasowe (premiera 24 lutego 1934 r.), ale wydaje się, że nie wykorzystano wszystkich możliwości scenariusza. Doskonale wyeksponowano Bodo i jego filmowych partnerów, zapomniano natomiast o piękniejszej części obsady aktorskiej. „Pełną wdzięku Basię Gilewską pokrzywdzono – narzekał dziennikarz i krytyk filmowy, Leon Brun – dając jej tylko jedno zbliżenie w scenie końcowej. Pokrzywdzono również piękną panią Gorczyńską wadliwymi zdjęciami [...]. Polska jest krajem pięknych kobiet. Dlaczego nie widać tego w naszych filmach?". ©℗

eprasa.pl b2ee8dcb6b

Winston Churchill, Franklin Delano Roosevelt oraz Józef Stalin na konferencji w Jałcie, 1945 r. FOT. DPA/PAP

Owszem, Churchill nie był lojalny wobec Polski

Paweł Witaszek

Zapisy ustaleń z Jałty razem z ich późniejszą interpretacją dobitnie potwierdzają akceptację kłamliwej sowieckiej propagandy przez Winstona Churchilla. Konflikt sowieckich agentów z polskimi patriotami był przedstawiany jako konflikt demokracji z faszyzmem. Skąd my to znamy?

Okładkowym tematem lutowego numeru „Historii Do Rzeczy" jest „zmowa jałtańska", a głównym poświęconym mu materiałem – rozmowa z prof. Andrzejem Nowakiem. Zagadnienie jest niewątpliwie bardzo ważne – decyzje z lat 1943–1945 tzw. Wielkiej Trójki zdeterminowały los Polski po drugiej wojnie światowej. Jałta wyryła się w zbiorowej świadomości Polaków jako synonim zdrady sojuszników i przestroga na przyszłość. Zrozumienie tego, co naprawdę wtedy się zdarzyło, jest więc ważne nie tylko z perspektywy historycznej. Powinno być aktualne dla nas dzisiaj oraz dla kolejnych pokoleń, jeśli Polska ma uniknąć podobnych katastrof w przyszłości.

Profesor Nowak – badacz o niezaprzeczalnie ogromnym dorobku – formułuje kilka tez, które oddalają jednak od zrozumienia, czym w swojej istocie była Jałta. Kluczowe nieporozumienie zawiera się w zdaniu: „Churchill nie lekceważył swoich zobowiązań wobec Polski". O jakie zobowiązania chodzi? Przyjmuję, że prof. Nowak ma na myśli nie jakieś „prywatne" albo i nawet publiczne zobowiązania Churchilla, tylko te wynikające z umowy, którą zawarł rząd Polski z rzą-

eprasa.pl b2ee8dcb6b

dem Zjednoczonego Królestwa 25 sierpnia 1939 r., konkludującej podjęte kilka miesięcy wcześniej zobowiązanie do wzajemnej pomocy. Przyjrzyjmy się więc jej bliżej.

WOJNA I POKÓJ

Artykuł 1 rzeczonej umowy mówił: „W razie gdyby jedna ze stron umawiających się znalazła się w działaniach wojennych w stosunku do jednego z mocarstw europejskich na skutek agresji tego ostatniego przeciwko tejże stronie umawiającej się, druga strona umawiająca się udzieli bezzwłocznie stronie umawiającej się znajdującej się w działaniach wojennych wszelkiej pomocy i poparcia będących w jej mocy". Tajny protokół precyzował, że określenie „jednego z mocarstw europejskich" oznacza konkretnie Niemcy.

Natomiast artykuł 6 i 7 nakładały na strony ograniczenia związane z porozumieniami z innymi stronami, w tym dotyczące zawierania rozejmu czy pokoju:

„6.1. Umawiające się strony będą sobie wzajemnie komunikować teksty zobowiązań pomocy przeciw agresji, które zaciągnęły albo mogłyby zaciągnąć w przyszłości w stosunku do państw trzecich.

6.2. W razie gdyby jedna ze stron umawiających się zamierzała zaciągnąć nowe zobowiązania tego rodzaju po wejściu w życie niniejszego Układu, będzie obowiązana z uwagi na dobre działanie tego ostatniego powiadomić o tym drugą umawiającą się stronę.

6.3. Nowe zobowiązania, które by strony umawiające się mogły zaciągnąć w przyszłości, nie powinny ani ograniczać ich wzajemnych obowiązków określonych niniejszym Układem, ani stwarzać pośrednio nowych obowiązków między stroną umawiającą się, nieuczestniczącą w tych zobowiązaniach, a państwami trzecimi.

7. Jeżeliby strony umawiające się znalazły się w działaniach wojennych na skutek zastosowania niniejszego Układu, to nie zawrą one ani rozejmu, ani traktatu pokoju, jak tylko za wspólnym porozumieniem".

Tutaj też tajny protokół doprecyzowywał: „Zobowiązania, o których mowa w Artykule 6-ym Układu, jeżeliby miały być zawarte przez jedną z umawiających się stron z państwami trzecimi, musiałyby koniecznie być ujęte w ten sposób, ażeby ich wykonanie nie mogło nigdy naruszyć suwerenności ani nietykalności terytorialnej drugiej umawiającej się strony".

Dwa lata później, 30 lipca 1941 r., brytyjski minister spraw zagranicznych wręczył polskiemu premierowi notę mówiącą, że „Rząd Jego Królewskiej Mości nie uznaje żadnych zmian terytorialnych dokonanych w Polsce, począwszy od sierpnia 1939 r.". Warto zwrócić uwagę, że miało to miejsce już po agresji Hitlera na ZSRS 22 czerwca oraz po zawarciu brytyjsko-sowieckiego porozumienia przeciw Niemcom 12 lipca. To ostatnie nie dotykało kwestii powojennych granic. Na papierze Brytyjczycy powinni zatem konsekwentnie dążyć do odzyskania przez Polskę kształtu terytorialnego sprzed agresji III Rzeszy.

JAK ROZGRYWANO POLAKÓW

Lata 1939–1945 były jednak okresem notorycznego łamania zobowiązań i deklaracji wobec Polski przez stronę brytyjską. Jednocześnie towarzyszyło temu od początku do końca dążenie do zachowania pozorów oraz wywieranie na Polskę nacisków, by formalnie akceptowała kolejne niekorzystne dla nas rozwiązania. Pierwszy Lord Admiralicji Jego Królewskiej Mości Winston Churchill już 1 października 1939 r. wyrażał w przemówieniu radiowym zadowolenie z wkroczenia Armii Czerwonej na wschodnie tereny Polski. Uzasadniał to dokładnie tak, jak później robiła to sowiecka i komunistyczna propaganda – koniecznością „zabezpieczenia się" przez Sowiety przed Niemcami. Zupełnie nie dostrzegał imperialnych i ideologicznych elementów tego działania.

W niejawnej wówczas notatce rządowej Churchill pisał 25 września: „Warunek postawiony przez marszałka Woroszyłowa, że jeśli wojska rosyjskie mają być sprzymierzeńcami Polski, to muszą zająć Wilno i Lwów, uważam za całkowicie słuszny z militarnego punktu widzenia. Polacy odrzucili ów warunek ze względów, które – będąc naturalnymi – są zarazem niewystarczające. Koniec końców Rosjanie jako wróg Polski zajęli tę samą linię i te same pozycje, które mogli byli zająć jako przyjaciel, aczkolwiek podejrzany i niepewny. W rzeczywistości różnica nie jest aż tak wielka, jak mogłoby się wydawać. Rosjanie […] teraz graniczą z Niemcami, którzy w związku z tym nie mogą całkowicie ogołocić frontu wschodniego. Na jego straży musi odtąd stać duża armia niemiecka...".

Już wtedy było jasne, o co toczy się gra. Polacy byli jednak rozgrywani i manipulowani. Nasz ówczesny ambasador w Londynie Edward Raczyński relacjonował we wspomnieniach, że równolegle „po południu zadzwonił do mnie Winston Churchill, z wolna i głucho wystękał: Ufam, ufam, że Anglia dotrzyma, dotrzyma swego… – nie dopowiedział, że dotrzyma słowa, głos mu uwiązł w gardle i przez telefon usłyszałem szloch niespodziewany przeze mnie w tej chwili". Rok później, kiedy Churchill był już premierem, wysłannik rządu brytyjskiego Stafford Cripps zachęcał Stalina do wystąpienia przeciwko Niemcom, obiecując w zamian uznanie dokonanego we współpracy z Hitlerem zaboru ponad połowy polskiego terytorium.

Po napaści niemieckiej na Sowiety w czerwcu 1941 r. Brytyjczycy naciskali (skutecznie) na zawarcie polsko-sowieckiego porozumienia, którego treść nie zapewniała uznania przez Sowiety przedwojennego terytorialnego status quo. Wtedy właśnie, niejako na osłodę, została wystosowana przytoczona wyżej nota. Po jej wydaniu Sowieci wielokrotnie, w słowach i czynach, kwestionowali przynależność zajętych przez siebie terenów RP do państwa polskiego. Twierdzili, że w listopadzie 1939 r. tereny te zostały przyłączone do ZSRS na wniosek wybranych demokratycznie zgromadzeń Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi. W konsekwencji pobierali na tych terenach rekruta do Armii Czerwonej, twierdzili, że ich mieszkańcy są obywatelami sowieckimi, organizowali tam swoją partyzantkę i zwalczali partyzantkę polską. Wreszcie po wkroczeniu na te obszary w 1944 r. aresztowali oraz rozstrzeliwali przedstawicieli polskich władz oraz polskiego wojska.

Brytyjczycy nie wykonali żadnego ruchu, który kwestionowałby sowiecki punkt widzenia. Zadeklarowane przez nich „nieuznawanie zmian terytorialnych" istniało tylko teoretycznie. Ten brak reakcji uzasadniany był na dwa sposoby. Po pierwsze, układ z sierpnia 1939 r. skierowany był przeciwko agresji niemieckiej,

eprasa.pl b2ee8dcb6b

nie sowieckiej – tu powoływano się na tajny protokół. Po drugie twierdzono, że Wielka Brytania nie gwarantowała Polsce jej wschodniej granicy.

Pół wieku temu prof. Jerzy Łojek zauważył (i teza ta cieszy się powszechnym uznaniem w historiografii), że źródłem problemu był fakt nieogłoszenia przez polski rząd we wrześniu 1939 r. stanu wojny z Sowietami. Ale nikt chyba nie zwrócił uwagi na inne zagadnienie: sowiecka nota wręczona ambasadorowi Grzybowskiemu uzasadniała wkroczenie Armii Czerwonej na tereny państwa polskiego tym, że „rozpadło się ono w wyniku operacji wojennych" – czyli agresji Niemiec na Polskę. Jeżeli zatem Wielka Brytania miała udzielić wszelkiej możliwej pomocy w wypadku agresji Niemiec, to wydaje się dosyć oczywiste, że pomoc ta powinna dotyczyć usunięcia wszystkich skutków niemieckiej agresji, a nie jedynie odzyskania tego, co Niemcy zagarnęli dla siebie.

Inna interpretacja byłaby absurdalna. Pokazuje to prosty eksperyment myślowy. Wiadomo, że trzecim agresorem w 1939 r. była Słowacja. Czy gdyby Niemcy po wrześniowym zwycięstwie wycofały się za przedwojenną granicę i przekazały zdobyte tereny Słowacji, to zobowiązanie brytyjskie do udzielenia Polsce wszelkiej możliwej pomocy by wygasło?

OCZYWISTA ZDRADA

To wszystko rozgrywało się długo przed Jałtą. Na czym polega zatem jej złowieszczy wymiar? Otóż premier polskiego rządu Stanisław Mikołajczyk niestety akceptował brytyjskie „porady" i naciski, których głównym celem było wykręcenie się Londynu od traktatowych zobowiązań wobec Warszawy. Churchill starał się go przekonać, że oddając połowę terytorium, Polska obroni swoją niepodległość. Jest znamienne, że w tej koncepcji obrona suwerenności przed zakusami sowieckimi wiązała się z utratą suwerenności w stosunku do Brytyjczyków: we wrześniu 1944 r. otwarcie wymusili oni dymisję Naczelnego Wodza – gen. Kazimierza Sosnkowskiego. Z jednej strony była to realizacja sowieckiego postulatu usunięcia z rządu polskiego osób „nieprzyjaźnie nastawionych wobec Związku Radzieckiego". Ale naciski na dymisję dowódcy polskiego wojska wiązały się też z tym, że w piątą rocznicę wybuchu wojny gen. Sosnkowski ośmielił się zauważyć, że Wielka Brytania nie wywiązuje się z sojuszniczych zobowiązań wobec Polski.

W listopadzie premier Mikołajczyk, po tym, jak nie uzyskał w swoim rządzie akceptacji dla przywiezionego z Moskwy „kompromisu", podał się do dymisji. Prezydent Raczkiewicz zgodnie z obowiązującą konstytucją powołał nowy gabinet, na którego czele stanął Tomasz Arciszewski. Ten rząd, podobnie jak wcześniej Naczelny Wódz, domagał się od Brytyjczyków realizacji sojuszniczych zobowiązań. Odpowiedzią na to była właśnie Jałta – Wielka Brytania, USA i Sowiety uznały, że to one stworzą (formalnie: zaakceptują) nowy polski rząd, na bazie zainstalowanego przez Sowiety PKWN, który w ostatnim dniu 1944 r. został przemianowany na Rząd Tymczasowy.

Już wcześniej Anglosasi de facto nie uznawali polskiego konstytucyjnego rządu, pod którego rozkazami Polacy walczyli ramię w ramię z sojusznikami – USA nie wysłały do niego ambasadora, a Churchill nigdy nie spotkał się z jego premierem ani żadnym członkiem. Ale dopiero w Jałcie ogłoszono, że mocarstwa zachodnie uznają rozszerzony rząd lubelski. Postawiono kropkę nad i.

W kwietniu 1943 r. Sowiety stwierdziły, że polski rząd nie reprezentuje polskiego narodu oraz współpracuje z ich wrogiem – hitlerowskimi Niemcami. Dlatego przerwały z nim stosunki dyplomatyczne. Nieco ponad rok później Stalin sam stworzył własny „polski" rząd. Kiedy legalny polski rząd zaczął przypominać Brytyjczykom podjęte wobec Polski zobowiązania, Churchill stwierdził, że gabinet, który sprawia im kłopoty, nie jest wcale polskim rządem, a właściwym jest ten wymyślony i stworzony przez Sowiety.

Profesor Nowak komentuje jednak postawę brytyjskiego premiera: „Nie nazwałbym zachowania Churchilla zdradą". To jak inaczej można je nazwać? Ktoś mógłby powiedzieć, że używanie takich pojęć to typowe dla Polaków moralne potępianie i obrażanie się na niesprawiedliwy świat, ale przecież chodzi tu o chłodną analizę faktów, która jasno wykazuje prostą nielojalność sojusznika związanego jasnymi zapisami dwustronnej umowy, którą Polska realizowała kosztem gigantycznych ofiar.

W dalszej części rozmowy prof. Nowak stawia także tezę, że problemem Jałty nie było to, co formalnie ustalono i zapisano, ale to, czego nie zapisano: „Przecież w postanowieniach konferencji była mowa o wolnych i demokratycznych wyborach. Tyle tylko, że nie zapisano terminu tych wyborów".

W tym punkcie, niestety, profesor nie referuje dokładnie treści porozumień jałtańskich. Mówią one, że Rząd Tymczasowy Jedności Narodowej (czyli „rozszerzony" sowiecki Rząd Tymczasowy) będzie zobowiązany do przeprowadzenia wolnych i nieskrępowanych („unfettered") wyborów na podstawie powszechnego prawa wyborczego i tajnego głosowania („universal suffrage and secret ballot"). Słowo „demokratyczne" pojawia się chwilę dalej i bynajmniej nie w odniesieniu do wyborów, a do dopuszczonych do nich ugrupowań: w wyborach będą mogły wziąć udział wszystkie „demokratyczne i antynazistowskie partie".

Być może prawdziwe jest stwierdzenie, że Roosevelt był większym szkodnikiem, był bardziej naiwny wobec Stalina i komunistów, a także więcej kłamał w sprawach polskich. Ale to z Wielką Brytanią, a nie ze Stanami Zjednoczonymi Polska miała wówczas zawartą umowę sojuszniczą, która ewidentnie była łamana

Brzmi niewinnie? To nie jest kazuistyka! Zadziwia, że nie zwrócił na to uwagi prof. Nowak, który jest uważnym analitykiem i komentatorem bieżącego życia politycznego. Widzimy tutaj bowiem dokładnie ten sam mechanizm, który znamy z ostatnich lat: demokracja rozumiana jest nie funkcjonalnie – jako system, w którym rządy są wyłaniane przez większość – ale ideologicznie: władza należy się tym, którzy mają „demokratyczne" poglądy. W Jałcie, żeby nie

eprasa.pl b2ee8dcb6b

było żadnych wątpliwości, zaznaczono także, że chodzi jednocześnie o partie „antynazistowskie". To też przypomina chyba nam współczesność?

A może (jak zdaje się sugerować prof. Nowak) bezwzględny Stalin narzucił te sformułowania, a Churchill próbował je zablokować? Skądże znowu! W połowie grudnia 1944 r. – czyli prawie dwa miesiące przed Jałtą – przemawiając w Izbie Gmin, Churchill sam z siebie mówił: „Polska winna być odbudowana i odtworzona jako naród niepodległy i suwerenny, wolny w formowaniu swych instytucji społecznych czy jakichkolwiek innych instytucji, które wybierze naród – z zastrzeżeniem, że nie będą to faszystowskie..." („provided, I must say, that these are not on Fascist lines…"). Brytyjski premier świadomie używał sformułowań komunistycznej propagandy. Wiedział przecież, że w Polsce nie ma żadnych liczących się sił „faszystowskich". To PPR i jej prosowieccy satelici nazwali się „blokiem demokratycznym", a swoich przeciwników (czyli ugrupowania stojące na gruncie niepodległości) „sanacyjno-faszystowską kliką" i „współpracownikami Hitlera". Już przed wojną propaganda Kominternu przedstawiała główną opozycję ideową ówczesnego świata jako konflikt komunizmu z faszyzmem. Każdy, kto przeciwstawiał się komunie, był faszystą. Tego chwytu użyto także, jak już wspomniano, gdy ZSRS zerwał stosunki z legalnym polskim rządem.

Churchill, podobno zdecydowany antykomunista, wpisywał się doskonale w ten schemat – nie reagował w żaden sposób na tę komunistyczną narrację. Zapisy ustaleń z Jałty razem z ich późniejszą interpretacją dobitnie potwierdzają jego akceptację kłamliwej sowieckiej propagandy. Konflikt sowieckich agentów z polskimi patriotami był zatem przedstawiany jako konflikt demokracji z faszyzmem. Znów – skąd my to znamy?

W wyniku ustaleń jałtańskich z partii niezaangażowanych w PKWN do działania dopuszczono jedynie mikołajczykowskie Stronnictwo Ludowe (wkrótce, dla odróżnienia od „lubelskiego" SL, przybrało nazwę Polskie Stronnictwo Ludowe). W ocenie komunistów były w nim zarówno zdrowy nurt „demokratyczny", jak i niezdrowy – reakcyjno-faszystowski. Testem na odrzucenie faszyzmu miało być przyłączenie się do komunistycznego Bloku Demokratycznego. PSL do niego nie przystąpił i dlatego, w zasadzie w myśl ustaleń jałtańskich, nie powinien być dopuszczony do wyborów, więc mu ten udział utrudniano. Wcześniej odmówiono legalizacji największej przedwojennej partii politycznej – Stronnictwu Narodowemu. Brytyjczycy, a także Mikołajczyk, uznali, że komuniści postąpili słusznie, gdyż SN nie jest partią demokratyczną.

Jak pokazują wyniki referendum z 30 czerwca 1946 r., dwie trzecie Polaków głosowały zgodnie z wytycznymi partii „niedemokratycznych i pronazistowskich" – innych niż Blok Demokratyczny i akceptujące Jałtę PSL. Zgodnie z ustaleniami „Wielkiej Trójki" dwie trzecie Polaków nie miały zatem prawa do reprezentacji w Sejmie. Czy zatem rzeczywiście problem z Jałtą polegał jedynie na tym, że nie ustalono dokładnego terminu tak obłudnie zdefiniowanych „wolnych wyborów"?

Swoją drogą, praktycznie cały okres PRL to dosłowna realizacja jałtańskich wskazówek wyborczych: reglamentacja ustawiona była na poziomie dopuszczenia do list wyborczych – tworzonych najpierw przez Front Narodowy, później Front Jedności Narodu – nawet w nazwie bardzo zbliżony do wymyślonego w Jałcie Rządu Jedności Narodowej. Warto odnotować tutaj kolejne horrendum: system i instytucje, których zasadniczą cechą był antynarodowy – antypolski, antypatriotyczny – charakter; którym przeciwstawiała się znaczna część narodu (w przypadku lat 40. zdecydowana większość) nazywano tworzeniem „jedności narodowej".

ISTOTNE ROZRÓŻNIENIE

Na koniec warto dokonać jeszcze jednej drobnej korekty twierdzeń prof. Nowaka. Mówi on, że Karta atlantycka dopuszczała zmiany granic jedynie za zgodą „zainteresowanych stron". W rzeczywistości dokument ten używa innego sformułowania: „freely expressed wishes of the peoples concerned" – „swobodnie wyrażone życzenie narodów, których to dotyczy". Nie ma nic o żadnych „stronach". Różnica może wydawać się drobna, ale to na niej bazował argument rządu polskiego, twierdzącego, że nie może zaakceptować zmian granicy bez odwołania się do polskiego Sejmu. Na bazie Karty atlantyckiej można by także spokojnie twierdzić, że o ewentualnych zmianach granic powinien rozstrzygać plebiscyt. W polskich dyskusjach okresu końca wojny niejednokrotnie zwracano uwagę na to niewłaściwe tłumaczenie zapisu Karty atlantyckiej i jego niekorzystne dla nas konsekwencje. Wygląda na to, że pan profesor ich nie zna.

Zdaniem prof. Nowaka Franklin Delano Roosevelt był, z polskiej perspektywy, dużo gorszy od Churchilla. To prezydentowi USA, a nie premierowi Wielkiej Brytanii należałoby się zatem hańbiące miano zdrajcy. Być może prawdziwe jest stwierdzenie, że Roosevelt był większym szkodnikiem, był bardziej naiwny wobec Stalina i komunistów, a także więcej kłamał w sprawach polskich. Ale to z Wielką Brytanią, a nie ze Stanami Zjednoczonymi Polska miała wówczas zawartą umowę sojuszniczą, która ewidentnie była łamana. To Brytyjczycy zobowiązali się w 1939 r. do udzielenia wszelkiej pomocy w obronie suwerenności i nietykalności terytorialnej Polski, po czym wyszliśmy z wojny bez suwerenności i ze znacząco okrojonym terytorium. Zobowiązanie do zakończenia wojny w porozumieniu z sojusznikiem zostało pominięte przez zerwanie relacji z rządem tego sojusznika i wprowadzenie w jego miejsce innego, będącego ekspozyturą sowieckiej agentury. „Nie mamy pańskiego płaszcza i co nam pan zrobi?".

Warto może więc postawić na koniec pytanie: Co z tego powinno dzisiaj wynikać? Oprócz wniosków na przyszłość dla polskiej dyplomacji wypada wspomnieć także o odpowiedzialności państwa za skutki nieprzestrzegania zawartych umów. To zagadnienie w swojej istocie bardzo podobne do kwestii „reparacji", czyli odpowiedzialności Niemiec za straty spowodowane ich działaniami w czasie wojny. Z pewnością nie powinniśmy go bagatelizować. Tym zaś grozi przeniesienie dyskusji z płaszczyzny prawnej (realizacja zawartych umów międzynarodowych, których wypełnienie lub nie da się jasno stwierdzić) – casus Churchilla – na płaszczyznę moralną i intelektualną (niesprawiedliwość, kłamstwa i głupota) – jak w przypadku Roosevelta. Rozróżnienie tych dwóch porządków nie jest sprawą czysto akademicką – dotyka rozumienia naszego narodowego interesu i metod jego realizacji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b2ee8dcb6b

Bliski Wschód według Trumpa

Witold Repetowicz

Pomysł Trumpa na rozwiązanie problemów Bliskiego Wschodu jest tak prosty jak poradzenie sobie z węzłem gordyjskim przez Aleksandra Macedońskiego. Tyle że to nie oznacza, iż jest on realny. Jeśli amerykański prezydent jest geniuszem, to może się uda, ale więcej wskazuje na to, że skończy się to ogromną katastrofą

Donald Trump kieruje się w polityce realizmem, ale to wcale nie oznacza, że jego pomysły mają realne szanse na powodzenie. Realizm to kierowanie się interesami, a w przypadku Trumpa chodzi przede wszystkim o pieniądze. Problem w tym, że świat tak nie działa i historia ludzkości pokazała, iż ludzie często odrzucają korzyści materialne na rzecz kwestii, które dla realistów są ulotne i nieistotne: tożsamości, ideologii, religii czy honoru. Dotyczy to zwłaszcza Bliskiego Wschodu, którego raczej nie da się uporządkować samymi korzyściami materialnymi.

Gdy Aleksander przybył do frygijskiego miasta Gordium, usłyszał przepowiednię, że kto rozwiąże misternie spleciony węzeł łączący jarzmo i dyszel królewskiego wozu, ten zawładnie całą Azją. Niewiele się zastanawiając, wyjął zatem miecz i rozciął ów węzeł. Trump podobnie podszedł do gordyjskiego węzła konfliktu palestyńsko-izraelskiego. Według niego rozwiązanie problemu Palestyny jest proste: nie będzie Palestyńczyków, to nie będzie problemu. A Palestyńczyków wszak nie będzie, jak przeprowadzą się do Egiptu i Jordanii. Zostaną tam Egipcjanami czy Jordańczykami, bo przecież to wszystko i tak Arabowie i muzułmanie, jeden naród. I będą bardzo szczęśliwi i wdzięczni za to, bo dzięki tej przeprowadzce będą żyć w dobrych warunkach, a nie w ruinach. Będą też w końcu bezpieczni.

BŁOGI SEN

Teoretycznie nic nie można temu pomysłowi zarzucić. Przecież racjonalnie myślący człowiek będzie wolał przenieść się o tych kilkadziesiąt kilometrów i zamiast żyć w gruzach i pod ostrzałem, wprowadzić się do nowiutkiego domu z bieżącą wodą i elektrycznością, którego nikt nie będzie bombardował. W Strefie Gazy mieszka ok. 2 mln ludzi, a w 118-milionowym Egipcie rocznie przybywa podobna liczba mieszkańców w wyniku przyrostu naturalnego. Dodatkowe 2 mln to więc nic. Domy się szybko wybuduje na Synaju, bo przykładać się specjalnie nie

eprasa.pl b2ee8dcb6b

Trump na razie osiągnął zawieszenie broni w Strefie Gazy

FOT. DAWOUD ABU ALKAS/REUTERS/FORUM

trzeba, wszak w porównaniu z tym, co jest teraz w Gazie, każdy nowy dom będzie luksusem. Saudowie rzucą z miliard dolarów i odbiją sobie z nawiązką po normalizacji relacji z Izraelem. Da się im też zarobić na Riwierze, która powstanie w Strefie Gazy. A poza tym będą wdzięczni za likwidację problemu z Iranem.

Tu sprawa jest prawie tak samo prosta jak w przypadku Palestyny. Trump oferuje Iranowi świetny interes: rezygnacja z programu atomowego w zamian za zniesienie sankcji, co otworzy Iranowi drogę do bycia równie bogatym jak Arabia Saudyjska, a może nawet bardziej. Przecież Iran jest na drugim miejscu, jeśli chodzi o zasoby gazu, i trzecim pod względem ropy. Tyle że przez sankcje nie może czerpać z tego profitów. Nie ma środków na budowę infrastruktury wydobywczej, nie mówiąc już o rurociągach czy instalacjach LNG. W rezultacie Iran w ogóle nie liczy się na rynku gazu, a dzienna sprzedaż ropy nie przekracza 1 mln baryłek, i to tylko dzięki temu, że Chińczycy kupują za pół ceny. A przecież USA na dokładkę oferują, że przestaną być Wielkim Szatanem. Nie będzie już żadnego promowania demokracji, wspierania opozycji, finansowania jakichś programów przez USAID czy też wspominania o prawach człowieka. Dla Iranu wychodzą zatem z tego same plusy.

Wzbogacą się i reżim, i naród, nie będzie żadnej rewolucji i wzrośnie zadowolenie społeczne, więc i akceptacja reżimu. Zamożność wybije Irańczykom z głowy mrzonki o demokracji i wolności, USA nie będą się wtrącać, a Iran zajmie się robieniem pieniędzy, a nie grożeniem Izraelowi czy atakami na wojska USA. Tak jak to robią bogate monarchie arabskie, gdzie nikt się nie buntuje, a USA nie wspierają u nich demokracji. Nie będzie miał więc już powodu wspierać jakiegoś Hezbollahu, Hamasu czy jemeńskich Hutich.

Wszystkie problemy jeden po drugim się rozwiążą. Huti przestaną zagrażać bezpieczeństwu żeglugi po Morzu Czerwonym i w ogóle znikną, a Jemen wróci pod protektorskie skrzydła Arabii Saudyjskiej. Egipt będzie wdzięczny, bo przecież przez akcje Hutich na Morzu Czerwonym w 2024 r. dochody z Kanału Sueskiego spadły o 60 proc. i prezydent Abdulfattah as-Sisi musiał żebrać o kolejne miliardy dolarów wszędzie, gdzie się dało. Zaczął nawet wyprzedawać ziemię. Kawałek nad Morzem Śródziemnym Zjednoczonym Emiratom Arabskim, a kawałek na Synaju Saudom na budowę megacity. To czemu nie miałby z wdzięczności dać też kawałka Palestyńczykom? A Jordańczycy wezmą tych z Zachodniego Brzegu. Też dostaną za to parę miliardów.

Tu warto przerwać ten błogi sen realisty. Aleksander po przecięciu węzła gordyjskiego pokonał perskiego szacha Dariusza III pod Issos, co otworzyło mu drogę do opanowania Bliskiego Wschodu. Trump na razie osiągnął zawieszenie broni w Strefie Gazy. Formalnie wynegocjowane zostało ono jeszcze za Bidena, ale wiadomo, że Netanjahu sabotował wysiłki poprzedniej administracji USA, bo liczył na powrót Trumpa i większą przychylność z jego strony. Najwyraźniej się nie pomylił. I tu wydaje się, że Trump zaczął marnować swój pierwszy sukces. Amerykański prezydent, w przeciwieństwie do swojego poprzednika, ma wszystkie instrumenty, by wymusić na Netanjahu uległość. Dlatego od Trumpa zależy, czy dojdzie do całkowitego zakończenia wojny i stworzenia jakiejś państwowości palestyńskiej, od czego Arabia Saudyjska uzależnia normalizację z Izraelem.

Niestety, plan Gaza Riviera raczej nie będzie temu sprzyjał, mimo że na papierze wygląda całkiem dobrze. Tymczasem normalizacja arabsko-izraelska to byłby największy gwarant bezpieczeństwa Izraela i jest to idée fixe Trumpa, bo przecież to on zapoczątkował Porozumienia Abrahamowe w czasie swojej pierwszej kadencji.

CZYSTA IGNORANCJA

Jest jeszcze szansa, że Trump zmieni zdanie. Ale jeśli nie, to piękny sen może łatwo zmienić się w koszmar. Palestyńczycy bowiem nie wpisują się w racjonalną wizję świata według Trumpa i nie zamierzają dobrowolnie i z radością opuszczać Gazy. Tym bardziej dotyczy to Zachodniego Brzegu. Oczywiście gdyby Egipt otworzył granicę, to pewnie część by wyjechała, ale tylko po to, by próbować się następnie dostać do Europy. Mieszkanie na Synaju to żadna oferta dla nich i nie zamierzają zostawać Egipcjanami. Schemat, że Arab to Arab, muzułmanin to muzułmanin, a inne tożsamości są bez znaczenia, to czysta ignorancja. Poza tym większość zamierza pozostać. Po ogłoszeniu zawieszenia broni tłumy ruszyły na północ do swoich domów. Oczywiście jeśli działania zostaną wznowione i tym razem odcięta zostanie wszelka pomoc żywnościowa, dostęp do wody, elektryczności itp., to w końcu mogą zostać wypchnięci z Gazy, a później podobny schemat może zostać zastosowany wobec Zachodniego Brzegu. Ale z całą pewnością nie będzie to dobrowolna wyprowadzka, uciekinierzy nie będą przepełnieni wdzięcznością do Trumpa, a z normalizacji będą nici. Trump ma rację, że zakłada, iż dla saudyjskiego następcy tronu liczy się kasa, a nie los Palestyńczyków. Nie bierze jednak pod uwagę, że Mohammad bin Salman musi się liczyć z gniewem arabskiej ulicy.

Egipt, a tym bardziej Jordania, wiedzą, czym grozi uległość wobec nacisków Trumpa. Już obecnie zmiany w Syrii budzą obawy w tych państwach. Przybycie 2 mln wściekłych Palestyńczyków do Egiptu to groźba rewolucji. W Jordanii

eprasa.pl b2ee8dcb6b

sytuacja jest niestabilna, więc jeśli król Abdullah II zgodziłby się na aneksję Zachodniego Brzegu przez Izrael (i w konsekwencji wygnanie mieszkańców do Jordanii), to jego upadek byłby niemal pewny. Dlatego trudno się dziwić, że – jak to określił redaktor naczelny „The Times of Israel" David Horovitz – jordański król w czasie spotkania z dziennikarzami w Gabinecie Owalnym „modlił się do podłogi, by go pochłonęła", gdy Trump roztaczał swoją wizję Gaza Riviera.

Abdullah II był drugim po Beniaminie Netanjahu gościem amerykańskiego prezydenta w Białym Domu od czasu jego ponownego wprowadzenia się, ale wątpliwe, by cieszył się z tego wyróżnienia. Spotkanie poszło źle: Trump nie wymusił na królu zgody na swój projekt, a królowi nie udało się wybić tego pomysłu z głowy Trumpa. Kolejnym gościem miał być Sisi, ale wściekł się, gdy Trump zagroził, że jeśli Egipt i Jordania nie zaakceptują przyjęcia Palestyńczyków, to on obetnie im wszelkie wsparcie. Lider Egiptu odwołał więc przyjazd. Trump postawił oba państwa między młotem a kowadłem, a obalenie ich liderów oznaczać będzie wzrost zagrożenia ekstremizmem islamskim, raj dla rozwoju terroryzmu oraz nowe fale migracji. Słowem: głęboką destabilizację, a nie pokój. Trump powinien się zastanowić, czy o takie „uporządkowanie" mu chodzi. I Izrael bezpieczniejszy oraz silniejszy od tego też nie będzie, więc amerykański podatnik znów za to zapłaci. Trumpowi może się też wydawać, że jak Izrael „oczyści" Gazę, to nie trzeba będzie tam wysyłać wojsk USA, tyle że to kolejna mrzonka, bo jego Riwiera będzie celem ataków terrorystycznych. Zwłaszcza jeśli w Egipcie padnie reżim Sisiego, a w Jordanii upadnie król.

IMPROWIZACJA ZAMIAST PLANU

Nic też nie wskazuje na to, by Iran przyjął tok myślenia Trumpa. Na razie Teheran odrzucił możliwość bezpośrednich negocjacji z USA i nie uznał jego działań za „wyciągnięcie ręki". Faktem jest, że Islamska Republika jest w defensywie po upadku reżimu Asada. W kraju sytuacja ekonomiczna pogarsza się i rośnie niezadowolenie społeczne. Rosja udawała sojusznika, ale za plecami Iranu wystawiała jego ludzi w Syrii Izraelowi na odstrzał. Chiny doją Iran, który nic z tego nie ma, oprócz ułudy, że w ten sposób osłabia hegemonię Wielkiego Szatana. Ale cóż z tego, że to jest działanie irracjonalne. Islamska Republika nie odrzuci ideologii na rzecz interesów tylko dlatego, że zgodnie z teorią realistów jej działania nie mają sensu. Zatem Trumpowi pozostaje powrót do polityki maksymalnej presji, który już zresztą ogłosił. Tyle że w pierwszej kadencji nic to nie dało. Kolejnym krokiem będzie uderzenie na irańskie instalacje atomowe? Iran będzie wtedy miał już niewiele do stracenia i Bliski Wschód stanie w ogniu. Saudowie i inne monarchie arabskie nie będą miały powodu być Trumpowi wdzięczne, lecz wręcz przeciwnie – nie będą chciały podpaść Iranowi.

Wiele wskazuje na to, że Trump chce się dogadać z Rosją nie tylko w kwestii Ukrainy, lecz także Bliskiego Wschodu

Trump nie ma planu na Bliski Wschód. Jego działania są improwizacją. I w tym kontekście wiele wskazuje na to, że chce dogadać się z Rosją nie tylko w kwestii Ukrainy, lecz także Bliskiego Wschodu, a w szczególności wywarcia presji na Iran. Jest to znów niezbyt realistyczne podejście, gdyż Rosja jest, obok Chin, główną beneficjentką izolacji Iranu. Iran zaś zaczął się „przyjaźnić" z nią tylko po to, by dowalić Amerykanom. W Iranie zawsze były bowiem silne sentymenty antyrosyjskie. Jedynym efektem będzie odbudowa swoich wpływów w tym regionie przez Rosję, którą mocno skompromitował upadek Asada.

Trump dzieli państwa na Bliskim Wschodzie na te, które mają pieniądze, a więc kwalifikują się na sojuszników, i te, które ich nie mają. W tej drugiej grupie Trump widzi amerykańskich klientów (którzy powinni być posłuszni), przeciwników (którzy powinni się z nim dogadać lub drżeć ze strachu) i państwa bez znaczenia. Izrael w tej układance jest oczywiście na pierwszym miejscu, a na drugim Arabia Saudyjska. Nie bez powodu Mohammad bin Salman władował 2 mld dol. z Saudyjskiego Funduszu Inwestycyjnego w firemkę zięcia Trumpa, Jareda Kushnera, by ten mógł brylować na izraelskim rynku inwestycyjnym i finansować osadnictwo żydowskie na terenach palestyńskich. I nie bez powodu Saudowie mają włożyć 600 mld dol. w inwestycje w USA. Poza tym liczą się jeszcze Zjednoczone Emiraty Arabskie i Katar. Ten drugi jest mistrzem w korumpowaniu i – jak twierdzą niektóre amerykańskie i izraelskie media – niejeden wysoki urzędnik administracji Trumpa ma finansowe powiązania z Katarem. Egipt i Jordania to klienci, a Iran to przeciwnik. I tu w zasadzie lista się kończy.

A co z Turcją? To ciekawa kwestia, bo jeszcze przed zaprzysiężeniem Trump twierdził, że Syria to turecka strefa wpływów „od dwóch tysięcy lat". Tyle że Turcja pieniędzy nie ma, więc nie bardzo ma co zaoferować. Za to w Turcji buzują nastroje antyamerykańskie i antyizraelskie, ma swoje knowania z Iranem, boksuje się z Izraelem, na klienta „ruki po szwam" się nie nadaje i jeszcze usiłuje się rozpychać w Syrii, rywalizując z Saudami. Trump jest nieprzewidywalny, więc jego podejście szybko się może zmienić, ale na razie ani on, ani nikt z jego administracji nie wykazuje jakiegokolwiek zainteresowania Turcją, mimo że ruch dyplomatyczny na Bliskim Wschodzie jest bardzo duży. Poza tym w jego administracji są osoby, takie jak choćby sekretarz obrony Pete Hegseth czy szefowa wywiadu Tulsi Gabbard, które nie darzą Turcji sympatią, postrzegając ją jako islamistyczną. Warto jednak wspomnieć jeszcze o jednym kraju, którym na razie nowa administracja USA niezbyt się zajmuje, bo w racjonalnym świecie Trumpa ma on małe znaczenie. Chodzi o Liban. Tyle że jest to „family job", bo córka Trumpa, Tiffany, poślubiła w 2022 r. Libańczyka Michaela Boulosa, więc Trump uczynił jego ojca, Massada, swoim doradcą do spraw arabskich i bliskowschodnich. Czas pokaże, czy będzie miał podobną siłę przebicia co mąż Ivanki, Jared Kushner.

Pomysły Trumpa są logiczne i racjonalne, ale świat taki nie jest i dlatego wątpię, by jego wizja zakończyła się powodzeniem. Chciałbym się mylić.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b2ee8dcb6b

FOT. ADOBE STOCK

PROCES O ZAIMKI

W USA toczy się proces asystentki lekarza, która została zwolniona z pracy rzekomo dlatego, że okazywała negatywny stosunek wobec osób transpłciowych. Kobieta usłyszała, że odpowiada za samobójstwa związane z dysforią płciową. Nie zgodziła się bowiem na używanie w placówce medycznej zaimków niezgodnych z biologiczną płcią danego pacjenta i udział w procedurach tranzycji płciowej, motywując swoje stanowisko wiarą chrześcijańską. Teraz dochodzi swoich praw w sądzie.

ARESZT ZA BUŁKĘ

W japońskim mieście Fukuoka aresztowano bezrobotną 40-latkę, ponieważ... zgniotła bułkę w sklepie. Kobiecie postawiono zarzut „uszkodzenia mienia". Wyjaśniała ona, że lekkim naciśnięciem swojej ręki chciała sprawdzić twardość pieczywa, które skądinąd znajdowało się w opakowaniu. Rzecz w tym, że – jak twierdzi szefostwo sklepu – o ile opakowanie nie zostało uszkodzone, o tyle bułka została zmiażdżona i nie nadawała się do sprzedaży.

EMOTKA OD SZEFA

Szef angielskiej firmy doradztwa inwestycyjnego zwolnił jej pracownicę, która zaszła w ciążę. Zrobił to w wiadomości tekstowej, ozdabiając ją nieprzyzwoitym emotikonem mogącym sugerować chęć nawiązania relacji intymnej z adresatką. Pierwotnie kobieta z powodu ciąży otrzymała zgodę na pracę zdalną. Po kilku tygodniach jednak nastąpiła zmiana decyzji. Firma zapłaci pracownicy olbrzymie odszkodowanie.

NA SKRZYDLE

Na lotnisku Cheongju w Korei Południowej z powodu trudnych warunków atmosferycznych opóźniony start o ponad godzinę miał boeing 737. Trzy stewardesy z personelu maszyny, oczekując na jej wylot, opuściły ją i wdrapały się na lewe skrzydło samolotu. Tam pozowały do zdjęć. Przełożeni stewardes uznali takie zachowanie za niewłaściwe i zapowiedzieli zbadanie sprawy.

DZIEWIĘĆ „ŻON"

Cztery lata temu w Brazylii pewna influencerka związała się z żonatym mężczyzną. Postanowił on żyć z obiema paniami w trójkącie, a one się na to zgodziły. Związek się jednak rozszerzał o kolejne kobiety. W pewnym momencie mężczyzna miał – nieformalnie rzecz jasna – dziewięć „żon". Obecnie jest ich „tylko" pięć. O tym wszystkim na swoim koncie instagramowym informuje influencerka. ©℗

Filip Memches

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Polacy zagrożeni wyginięciem

Eksperci od lat ostrzegają przed fatalnym trendem w polskiej demografii. Problem niskiej dzietność nasila się od połowy lat 90. Polska wyludnia się zaś już mniej więcej od kilkunastu lat. I od kilkunastu lat wiadomo, że będzie źle.

Niestety, rzeczywistość okazuje się dużo bardziej ponura, niż zakładały najbardziej pesymistyczne prognozy. Według danych ogłoszonych na przełomie stycznia i lutego przez GUS liczba ludności Polski na koniec 2024 r. spadła do 37,49 mln osób. Liczba urodzeń była zaś najniższa od czasu zakończenia drugiej wojny światowej i wyniosła zaledwie 252 tys. Tymczasem w prognozach eksperci szacowali liczbę urodzeń na 301 tys.

To fatalna wiadomość z kilku powodów. Po pierwsze, bardzo rzadko udaje się państwom zwiększyć wskaźnik dzietności i wrócić do zastępowalności pokoleń. Przyczyna jest prosta: mniej kobiet w wieku rozrodczym przekłada się na mniejszą liczbę urodzeń w przyszłości.

Po drugie, wyludnianie się oznacza poważne kłopoty dla gospodarki, w tym także na rynku nieruchomości (domy za 1 zł będzie można zapewne kupić także w Polsce).

Po trzecie wreszcie, jesteśmy europejskim liderem problemów z dzietnością. „Polska w 2024 r. miała wskaźnik urodzeń (TFR) na poziomie 1,11, co daje nam najniższy poziom w Europie" – alarmował w zeszłym tygodniu na platformie X zastępca dyrektora Polskiego Instytutu Ekonomicznego Andrzej Kubisiak, powołując się na dane Birth Gauge. Wśród krajów OECD niższy wynik od Polski odnotowano jedynie w Chile i Korei Południowej. I niewiele tu pomogą „800+", „300+", babciowe, ulga w PIT na dzieci czy migranci... ©℗

eprasa.pl b2ee8dcb6b

Kolonizacja albo

Maciej Pieczyński

Ukraińcy mają wybór. Albo zgodzą się na gospodarczą kolonizację przez USA w zamian za pomoc wojskową w wojnie z Rosją, albo będą skazani na wojskową okupację przez Rosję. Na stole są nie tylko metale ziem rzadkich

Stany Zjednoczone zażądały od Kijowa dostępu do 50 proc. ukraińskich złóż metali ziem rzadkich o wartości ok. 500 mld dol. W zamian Amerykanie wysłaliby na Ukrainę swoje wojska, które miałyby ochraniać miejsca wydobycia, o ile osiągnięte zostałoby porozumienie pokojowe z Rosją. Donald Trump argumentuje, że w taki sposób Wołodymyr Zełenski powinien zapłacić za pomoc otrzymywaną po inwazji rosyjskiej ze strony Stanów Zjednoczonych. Jednocześnie daje do zrozumienia, że zgoda na dostęp do złóż jest również warunkiem dalszej pomocy wojskowej.

Wedle słów Trumpa dostęp ten byłby dla Waszyngtonu „gwarancją" w relacjach z Kijowem. Propozycja wywołała nad Dnieprem mieszane uczucia. Trump twierdzi, że Zełenski w zasadzie się zgodził na taki układ. W rzeczywistości ukraiński prezydent de facto propozycję odrzucił. Najpierw zapewnił: „Amerykanie pomogli najwięcej i dlatego Amerykanie powinni zarobić najwięcej. Powinni mieć pierwszeństwo i będą mieć". Jednocześnie zaczął kluczyć, próbując od Trumpa jak najwięcej uzyskać. W wywiadzie dla Reutersa powiedział, że mniej niż 20 proc. ukraińskich surowców znajduje się pod okupacją. Rosja może je udostępnić swoim sojusznikom – Iranowi czy Korei Północnej. Adresowany do Trumpa przekaz był czytelny – Ameryka powinna pomóc Kijowowi odzyskać utracone ziemie nie tylko po to, aby na nich w przyszłości zarobić, lecz także po to, żeby ich bogactwa naturalne nie wpadły w ręce wrogów Ameryki.

TRANSAKCJA WIĄZANA

Metale ziem rzadkich odgrywają ważną rolę w produkcji wysokiej jakości magnesów, silników elektrycznych czy elektroniki. Zełenski twierdzi, że Ukraina ma największe w Europie zapasy tytanu niezbędnego w przemyśle lotniczym i kosmicznym, a także uranu wykorzystywanego w energetyce jądrowej i do produkcji broni jądrowej. Jak się okazuje, spore złoża tytanu odkryto na północnym zachodzie kraju, daleko od działań zbrojnych. Jednocześnie Zełenski zapewnił, że nie chce tych surowców rozdać, tylko je sprzedać na zasadach korzystnych dla obu stron. Według szacunków „Forbesa" za 2023 r. łączna wartość wszystkich kopalin na Ukrainie sięga 15 bln dol. Jednak, co istotne, 70 proc. zasobów przypada na obwody doniecki, ługański i dniepropietrowski. Czyli na tereny albo przyfrontowe, albo znajdujące się pod rosyjską okupacją. To zaś oznacza, że jeśli Trump chce z tych zasobów w szerszym zakresie skorzystać, to musi pomóc Ukrainie odzyskać utracone ziemie. Transakcja wiązana – wsparcie wojskowe w zamian za możliwość skorzystania z surowców. Według informacji prywatnej ukraińskiej firmy inwestycyjnej Horizon Capital Ukraina ma złoża 20 najważniejszych minerałów, takich jak kobalt i grafit, a ich zapasy wyceniane są na 11,5 bln dol. Nad Dnieprem znajduje się jedna trzecia europejskich zapasów litu. „Jest to materiał niezbędny do produkcji baterii akumulatorowych. Może więc przydać się Elonowi Muskowi do produkcji samochodów elektrycznych" – pisze Tania Matiasz z ukraińskiego portalu LB.ua.

Przy czym prawdopodobnie metale ziem rzadkich to tylko wierzchołek góry lodowej. Oficjalnie nie są znane szczegóły umowy zaproponowanej przez Amerykanów Ukraińcom. Jednak według prasowych przecieków Trump domaga się nie tylko dostępu do tych konkretnych kopalin, lecz także do ukraińskich portów, infrastruktury i generalnie większości surowców, w tym ropy i gazu. Jak donosi „The Telegraph", na spełnieniu amerykańskich warunków Ukraina straciłaby więcej niż Niemcy wskutek reparacji, zarządzonych czy to po pierwszej, czy to po drugiej wojnie światowej. Brytyjska gazeta pisze wprost o „gospodarczej kolonizacji przez USA", prawnie zatwierdzonej na czas nieokreślony. USA otrzymałyby połowę dochodów Ukrainy z wydobycia jej własnych surowców oraz połowę wartości „od wszystkich nowych licencji wydanych osobom trzecim".

Zełenski zadeklarował gotowość do współpracy, ale podpisania umowy odmówił. W jej zapisach zabrakło bowiem gwarancji bezpieczeństwa dla Ukrainy. Zaznaczył przy tym, że gwarancje niekoniecznie muszą być równoznaczne z członkostwem w NATO. Mogą to być również inne, mniej instytucjonalne rozwiązania, takie jak finansowanie, przekazanie broni czy inwestycje.

Ekspert inwestycyjny, bloger Serhij Fursa, dziwi się, że Waszyngton nagle wyciąga rękę po ukraińskie złoża, którymi wcześniej amerykański biznes w ogóle się nie interesował. Fursa spekuluje, że Trump może chcieć nie tyle zarobić na metalach ziem rzadkich, ile uniemożliwić zarabianie na nich Europejczykom, którzy też mają nadzieję na swój kawałek powo-

eprasa.pl b2ee8dcb6b

Prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski (po lewej) podczas spotkania z wiceprezydentem USA J.D. Vance'em w trakcie Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa

FOT. UKRAINE PRESIDENCY/ZUMA PRESS/FORUM

okupacja

jennego ukraińskiego tortu. Jeśli natomiast jest inaczej i Amerykanie naprawdę chcą robić nad Dnieprem biznes, to zdaniem eksperta wrócą do rozmów z Kijowem. Rozmów, które mogą zakończyć się wzajemnie korzystnymi ustaleniami.

Tak bezpośrednia zmiana retoryki Waszyngtonu z aksjologicznej, pełnej frazesów o obronie wartości na transakcyjną, opartą na relacjach czysto biznesowych, spotkała się z mieszanymi reakcjami nad Dnieprem. „Niektórzy u nas zaczęli nadskakiwać niczym Indianie przed swoim »białym panem«, demonstrując swój kompleks niższości" – tak sprawę komentował politolog Taras Zahorodnij. Ironicznie odesłał swoich rodaków do książek Trumpa, w których „wszystko jest napisane". Na przykład porada, by nigdy nie przyjmować pierwszej propozycji w negocjacjach biznesowych. Jego zdaniem wbrew tej radzie ukraińskie elity nadskakują amerykańskiemu prezydentowi, proponując „jak idioci" oddanie złóż na 99 lat. Zahorodnij trzeźwo zauważył, że Trump nie potrzebuje zgody Kijowa, bo może porozumieć się z Moskwą i wydobywać surowce na okupowanych przez nią terenach, jeśli Putin wpuści tam amerykańskie firmy. Dalej jednak komentator proponuje mniej lub bardziej nierealistyczne warunki podzielenia się z Trumpem surowcami. Po pierwsze, „granica 1991 r., bo na Donbasie i Krymie też jest co wydobywać". Po drugie, podział zysków 50 na 50. Po trzecie, zobowiązanie do budowy fabryk, które wytwarzają produkt końcowy, tak aby Ukraina mogła zarobić nie tylko jako dostarczyciel surowca, lecz także jako producent konkretnych wyrobów. Po czwarte, amerykański kontyngent wojskowy nad Dnieprem w liczbie minimum 5 tys. żołnierzy. A żeby te propozycje brzmiały bardziej realistycznie – jak sugeruje politolog – Kijów powinien produkować własną broń i na własną rękę atakować Rosję. A być może w tym czasie propozycja Trumpa przestanie być aktualna, bo z korzystniejszymi propozycjami zgłoszą się do Zełenskiego Niemcy, Koreańczycy czy Japończycy – zastanawia się ekspert.

WSPARCIE POTRZEBNE TU I TERAZ

Znany publicysta Witalij Portnykow przypomina rzadko podkreślany fakt. Otóż to nie Trump wpadł na pomysł, by zażądać od Kijowa dostępu do bogactw naturalnych w zamian za broń i pieniądze. Takie rozwiązanie, jako jedną z propozycji, przedstawił sam Zełenski podczas wizyty w USA w przededniu tamtejszych wyborów prezydenckich, szukając dobrych relacji z kandydatami.

Pomysł ukraińskiego prezydenta spodobał się Trumpowi, bo wpisał się w jego transakcyjne myślenie o polityce. Jednak Portnykow, przed wojną niezwykle krytyczny wobec Zełenskiego, bynajmniej nie odsądza go od czci i wiary za takie postawienie sprawy. Publicysta uważa bowiem, że wymiana surowców na pomoc wojskową to korzystny układ. A to dlatego, że dostęp do złóż to kwestia stosunkowo odległej przyszłości. Jeśli Amerykanie chcą eksploatować ukraińskie bogactwa naturalne, to najpierw muszą doprowadzić do zakończenia wojny i zapewnienia bezpieczeństwa – sobie i Ukraińcom. Poza tym skoro spora część złóż znajduje się na terenach kontrolowanych przez Rosję, to Amerykanom będzie zależało, aby te tereny wyzwolić. Dlatego Kijów, zdaniem Portnykowa, nie powinien się zastanawiać nad słusznością układu z Trumpem. Bo zanim Waszyngton zacznie eksploatować Ukrainę, minie sporo czasu. Natomiast wsparcie militarne, które Kijów może w zamian za dostęp do złóż otrzymać, jest potrzebne tu i teraz. Szczególnie że takim ustaleniom mogą sprzyjać okoliczności. Wiadomo, że celem Trumpa było zakończenie wojny, ale na zasadach kompromisu z Rosją, a nie całkowitej kapitulacji przed Putinem. Dlatego jeśli Moskwa odrzuci propozycje pokojowe Waszyngtonu i będzie obstawać przy swoim, to Biały Dom poniesie porażkę i pokaże swoją słabość. Trump nie może sobie na to pozwolić. Ale nie może też sobie pozwolić na to, by nagle zacząć popierać Ukrainę równie bezinteresownie jak poprzednia administracja, bo wtedy złamałby swoje obietnice i utraciłby wiarygodność w oczach elektoratu. Transakcyjne wsparcie dla Kijowa jest dlań zatem idealnym wyjściem z sytuacji.

Zełenski liczy na to, że Trump będzie zabiegać o zgodę na ukraińskie złoża. Tymczasem Putin też nie próżnuje i najwyraźniej chce przelicytować swojego wroga. Jak donosi „Moscow Times", Rosja jest zainteresowana współpracą z Waszyngtonem w sferze eksploatacji Arktyki. Zainteresowanie to tuż przed rozpoczęciem rozmów w Arabii Saudyjskiej oficjalnie wyraził dyrektor generalny Rosyjskiego Funduszu Inwestycji Bezpośrednich Kirił Dmitrijew. Przypomniał, jak to jeszcze jakiś czas temu amerykańskie koncerny naftowe prowadziły w Rosji „bardzo korzystne interesy", po czym z powodu sankcji utraciły ok. 300 mld dol. „Wierzymy, że w pewnym momencie [te firmy] wrócą. Bo dlaczego miałyby rezygnować z możliwości dostępu do rosyjskich surowców, który dawała im Rosja?" – stwierdził Dmitrijew. Kijów nie ma więc zbyt dobrej pozycji negocjacyjnej. Jeśli Zełenski będzie kręcić nosem i stawiać Trumpowi warunki w sprawie metali ziem rzadkich, to Trump może stwierdzić, że bardziej mu się opłaci wspólny z Rosjanami biznes w Arktyce. Ukraina ma do wyboru: kupić amerykańską obronę przed Rosją w zamian za surowce albo ryzykować, że Waszyngton dobije targu z Moskwą. Kosztem Kijowa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b2ee8dcb6b

Krzyżowiec w Pentagonie

Piotr Włoczyk

Pete Hegseth nie ma doświadczenia ani w polityce, ani w przewodzeniu wielkimi instytucjami. Jest za to niezwykle zdeterminowany, by wyplenić wokeizm z Pentagonu – i właśnie dlatego Donald Trump wskazał go na to stanowisko

Chociaż Pete Hegseth nigdy nie zarządzał wielką organizacją, to świetnie zna problemy zwykłych żołnierzy

FOT. ANNABELLE GORDON/CNP/INSTARIMAGES/EAST NEWS

Gdyby tak wyglądał słynny Fort Trump zaproponowany w 2018 r. przez prezydenta Andrzeja Dudę, Polacy byliby zapewne w siódmym niebie. Na powierzchni 650 km kw. (Warszawa liczy sobie nieco ponad 500 km kw.) 50 tys. amerykańskich żołnierzy mieszka na stałe i ćwiczy swoje zabójcze umiejętności. Wśród nich m.in. legendarna 82. Dywizja Powietrzno-Desantowa. Dla wszystkich, którzy służą lub służyli w US Army, Fort Bragg w Karolinie Północnej, jedna z największych baz wojskowych w USA, to symboliczne miejsce. Dlatego wielkie niezadowolenie wzbudziła w kręgach wojskowych decyzja administracji Joe Bidena z 2023 r., by zmienić jej nazwę na Fort Liberty. Demokratom się nie podobało, że ta powstała w 1918 r. baza nazwana została na cześć gen. Braxtona Bragga, jednego z dowódców armii Konfederacji. Decyzja podyktowana była oczywiście poprawnością polityczną – nowa nazwa miała być bardziej „inkluzywna".

Kariera Fortu Liberty nie była jednak długa. Po niespełna dwóch latach Fort Bragg powrócił w fanfarach, symbolizując nowe otwarcie. Pete Hegseth, nowy sekretarz obrony USA (i, co istotne, były żołnierz), z ogromną satysfakcją ogłosił pierwszego dnia urzędowania, że miano „Fort Liberty" to już historia. „Zgadza się, Bragg wraca!" – podkreślił wtedy Hegseth. Przy czym ekipa nowego szefa Pentagonu postanowiła uciec się do wybiegu, by przywrócić bazie starą nazwę. Ustawa przegłosowana przez Kongres poprzedniej kadencji uniemożliwia nadawanie bazom wojskowym nazw na cześć generałów, którzy zbuntowali się przeciw Unii, więc nie chcąc czekać na nowelizację prawa (republikanie znów kontrolują Kongres), Hegseth sięgnął po innego Bragga. Oficjalnie baza upamiętnia Rolanda L. Bragga, bohaterskiego spadochroniarza z czasów drugiej wojny światowej, ale każdy żołnierz wie, o co chodzi…

SENACKA SZALA

– Zanim został sekretarzem obrony, Hegseth pisał dużo na tematy kulturowe, szczególnie o potrzebie skupienia uwagi wojska na budowaniu etosu wojownika, a także krytykował wokeistowskie trendy w kulturze – mówi „Do Rzeczy" Mark F. Cancian, ekspert do spraw wojskowych z waszyngtońskiego think tanku Center for Strategic and International Studies. – I ten kierunek potwierdzają pierwsze jego ruchy, jak choćby wdrażanie w życie dyrektyw Białego Domu, które mają eliminować programy znane jako DEI (różnorodność, równość, inkluzywność).

Ten 44-letni były żołnierz i gwiazda telewizji Fox News dał się poznać w ciągu ostatniej dekady jako niezwykle ostry krytyk rewolucji obyczajowej. Widzowie prawicowej stacji mogli przez lata po kawałku poznawać światopogląd krewkiego

eprasa.pl b2ee8dcb6b

prezentera, ale w całości Hegseth ogłosił swój „manifest" w wydanej w 2020 r. w książce „Amerykańska krucjata" („American Crusade").

Gdy niespodziewanie się okazało, że Donald Trump szykuje autora „Amerykańskiej krucjaty" na szefa Pentagonu, demokraci sięgnęli po jego książkę i szybko zaczęli dawać w mediach społecznościowych upust swojemu przerażeniu. Jak pisze w niej Hegseth: „Nieprzezwyciężalne różnice między Lewicą i Prawicą w Ameryce prowadzą do ciągłego konfliktu, którego nie da się rozwiązać w procesie politycznym". Jak ma więc wyglądać „amerykańska krucjata", do której wzywa Hegseth? „Jest już bardzo późno dla Ameryki – pisze Hegseth. – Poza sukcesem politycznym jej los zależy od »egzorcyzmowania« lewackiego widma unoszącego się nad edukacją, religią i kulturą. Totalna święta wojna mająca sprawiedliwy cel – wolności człowieka".

Hegseth wzywa w książce do aktywizmu społecznego. Każdy konserwatysta ma reagować na wszelkie przejawy wokeizmu w swoim otoczeniu. Wrogami Ameryki są według niego, oczywiście oprócz szeroko rozumianych krzewicieli wokeizmu, globalizm, ONZ, a także świat islamu. Hegseth, któremu w 2020 r. zapewne się nie śniło, że mógłby zostać sekretarzem obrony, pytał w książce: „Dlaczego w ogóle islamistyczna Turcja jest członkiem NATO?". Natomiast w kwestii samego sojuszu północnoatlantyckiego ówczesna gwiazda Fox News prezentowała tam podobne stanowisko jak Donald Trump: „NATO to nie sojusz, to przedsięwzięcie obronne na rzecz Europy, które jest opłacane i żyrowane przez Stany Zjednoczone". Na razie wygląda jednak na to, że nowy sekretarz obrony złagodził swoje stanowisko na temat NATO, co mogliśmy usłyszeć z jego ust podczas niedawnej wizyty w Polsce. Hegseth stwierdził wówczas z uśmiechem, że chciałby, aby amerykańskich żołnierzy było w Polsce jeszcze więcej.

Pete Hegseth miał spore problemy z zatwierdzeniem swojej kandydatury przez Senat USA. Po raz drugi w historii Ameryki to wiceprezydent J.D. Vance (z urzędu przewodniczy obradom Senatu) musiał swoim głosem przeważyć remisowe głosowanie nad zatwierdzeniem kandydata na sekretarza.

Do 47 senatorów Partii Demokratycznej w sprzeciwie wobec nominacji Hegsetha dołączyło trzech republikanów. Jednym z nich był Mitch McConnell, były wieloletni lider republikanów w Senacie. Hegseth zapowiedział w trakcie przesłuchania w Kongresie, że jego priorytetami będą: „Zdolność do walki, zabójczość, merytokracja, standardy i gotowość. I tylko tyle. To moja praca". Nie zrobiło to jednak wrażenia na McConnellu. Zdaniem 82-letniego senatora były prezenter Fox News nie nadaje się do przewodzenia organizacji zatrudniającej 3 mln ludzi i dysponującej rocznym budżetem w wysokości 850 mld dol. „Sekretarz obrony codziennie przechodzi test, który ma ogromne konsekwencje dla bezpieczeństwa Amerykanów. Panu Hegsethowi na razie nie udało się pokazać, że będzie w stanie zdać ten test" – powiedział McConnell.

Hegseth dał się poznać w ciągu ostatniej dekady jako niezwykle ostry krytyk rewolucji obyczajowej

Na pewno nie pomogła Hegsethowi ta cześć przesłuchania, gdy musiał odpowiedzieć na pytania o swoje zdrady małżeńskie, oskarżenia o napaść seksualną (nigdy nie usłyszał w tej sprawie zarzutów – doszło do ugody między nim a kobietą, która go o to oskarżyła) i nadużywanie alkoholu. Nominat Trumpa odpowiadał, że nigdy nie twierdził, iż był doskonałym człowiekiem, ale dzięki pomocy Boga żyje teraz (z trzecią żoną) w uporządkowany sposób. Nawiasem mówiąc, w tej ostatniej kwestii Donald Trump na pewno świetnie go rozumie. Hegseth często pozuje ze swoją obecną żoną w towarzystwie ich siedmiorga dzieci, z tym że troje pochodzi z jego dwóch poprzednich małżeństw, troje jego obecna żona urodziła innemu mężczyźnie, a tylko najmłodsze jest ich wspólnym potomkiem.

WYLECZYĆ CHOROBĘ

Nowy sekretarz obrony nigdy nie zarządzał wielką organizacją, nie ma też doświadczenia politycznego, co odróżnia go od jego poprzedników. Świetnie zna natomiast codzienne problemy zwykłych żołnierzy, ponieważ sam służył w Iraku i w Afganistanie. Bazując na swoich doświadczeniach bojowych, krytykował przydzielanie kobiet do bezpośredniej walki, przez co lewicowe media przedstawiają go jako „mizogina". Hegseth podkreśla jednak, że w wojsku nie ma miejsca na eksperymenty i jego rolą jest przede wszystkim przywrócenie w Pentagonie klasycznego spojrzenia na obronność: liczyć się ma wyłącznie skuteczność zabijania wrogów, a nie budowanie inkluzywnych sił zbrojnych.

Wygląda na to, że Hegseth dokładnie zna ten problem. W zeszłym roku wydał kolejną książkę, tym razem właśnie o wokeistowskiej chorobie, która od lat toczy amerykańskiej wojsko. „Wojna przeciw wojownikom" („The war on warriors") to opowieść o fatalnych efektach przeszczepiania rewolucji kulturowej na wojskowy grunt. Bodaj najbardziej symbolicznym przykładem tych zmian były opłacane przez Pentagon operacje tzw. korekty płci. Każdy żołnierz mógł wystąpić o sfinansowanie takich operacji, a potem mógł spokojnie dalej służyć w „nowej skórze".

Czytelnicy „Do Rzeczy" znają ten temat m.in. dzięki wywiadowi z ppłk. Matthew Lohmeierem, który opublikowaliśmy na naszych łamach w zeszłym roku. Lohmeier opowiadał w nim, jak w 2021 r., na samym początku prezydentury Bidena, został wyrzucony z wojska po tym, gdy w jednym z wywiadów alarmował, że na terenie jego bazy dochodzi do prób indoktrynacji w duchu wokeistowskim – żołnierze byli, przykładowo, przekonywani, że Ameryka to kraj systemowo rasistowski, każdy biały człowiek jest uprzywilejowany, natomiast wszyscy czarnoskórzy to ofiary. Lohmeiera nie tylko wyrzucono z wojska, lecz także odebrano mu uprawnienia emerytalne.

Dziś sytuacja wygląda diametralnie inaczej. Lohmeier będzie pomagał Hegsethowi w wyplenianiu wokeizmu z Pentagonu – Donald Trump wybrał go na stanowisko zastępcy sekretarza sił powietrznych USA. Człowiek, który za alarmowanie, że wokeizm przeżera wojsko, został przez system ukarany i „wypluty", teraz trafia w sam środek systemu z zadaniem wyeliminowania tego, co starało się go zniszczyć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b2ee8dcb6b

Radosław Wojtas

Pan niebezpieczny

Nigdy – nie licząc dorywczych zajęć na studiach – nie przepracował dla kogoś ani jednego dnia. Podbił rynek „druków bezadresowych", rzucił wyzwanie Poczcie Polskiej i zrewolucjonizował sposób odbioru paczek, wprowadzając do polszczyzny słowo „paczkomat". Donald Tusk mówił o nim, że jest niebezpieczny, a teraz powierzył mu misję deregulacji przepisów, co ma „ułatwić życie polskim przedsiębiorcom"

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK / FORUM

Słuchajcie, zgodził się! Znaczy pan Rafał Brzoska będzie odpowiadał, bo się zobowiązał, sam słyszałem: „Challenge accepted", do pracy nad deregulacją, nad ułatwieniem życia polskim przedsiębiorcom, od najmniejszych firm, od jednoosobowej działalności gospodarczej, po największe firmy. Wiem, że ja dobrze trafiłem, jestem bardzo wdzięczny – ekscytował się Donald Tusk na nagraniu opublikowanym w mediach społecznościowych. Wcześniej tego samego dnia premier zwracał się do Rafała Brzoski, siedzącego w pierwszym rzędzie na konferencji „Polska. Rok przełomu", słowami, które złośliwe języki porównywały z Gierkowskim zawołaniem „No więc jak – pomożecie?": „Czytałem w ostatnich kilku dniach nawet jakieś dwa wywiady i jedną z wypowiedzi, że deregulacja nie jest niczym trudnym, tylko trzeba chcieć, i że pan akurat wie, co trzeba zrobić. No to niech pan się za to weźmie. Bierze pan to?".

Rafał Brzoska się za to wziął i zapowiedział, że „nie zawsze to będą łatwe propozycje". – I nie my je będziemy wdrażać, tylko mam nadzieję, że rząd, politycy, staną na wysokości zadania, by ten ambitny plan, o którym dzisiaj usłyszeliśmy na GPW, żeby on się wydarzył – powiedział założyciel InPostu.

Tak rozpoczęła się współpraca przedsiębiorcy, który deklarował: „Oprócz zastraszania mnie przez organy państwa, gdy wygraliśmy przetarg na prowadzenie korespondencji sądowej, nikt mi nie groził", z organami tego samego państwa. Współpraca obywatela, który „przetransferowanie" środków zgromadzonych na Otwartych Funduszach Emerytalnych do ZUS nazwał wprost i bez owijania w bawełnę kradzieżą, oraz premiera, który tego „transferu" dokonał, mówiąc, że „te pieniądze nie są własnością Polaków". Współpraca człowieka, który z rozgoryczeniem stwierdzał: „Cóż to za demokracja, gdzie władzą wymieniają się dwie główne partie? To jakiś podstęp, nie postęp. Szkodliwy rozwój od systemu jednopartyjnego do dwupartyjnego", z szefem jednej z partii polskiego duopolu politycznego. I wreszcie współpraca biznesmena z politykiem, których jedno ze spotkań wyglądało tak: „Premier, gratulując mi po otrzymaniu nagrody, powiedział ze swoim zniewalającym uśmiechem: »Pan jest niebezpieczny« – czytamy w książce wydanej w 2015 r. »Jutro w Nowym Jorku«, w której Rafał Brzoska opowiada o sobie i swoim biznesie. – Zaskoczył mnie tymi słowami. Do dziś nie wiem, jak mam je interpretować. Może jawię się jako niebezpieczny dlatego, że jestem świadomy

eprasa.pl b2ee8dcb6b

tego, co robię, i swego potencjału. Może też dlatego, że ten potencjał mogę wykorzystać nie tylko w biznesie. Albo jestem niebezpieczny, bo uderzam biznesowo w nieudolne, nieefektywne państwo, konkurując z nim na wolnym rynku, któremu daleko do wolności […]. Można nawet powiedzieć, że wziąłem je [słowa Donalda Tuska] głęboko do serca".

Dziś Rafał Brzoska ma zmieniać „nieudolne, nieefektywne państwo" już nie poprzez walkę z nim na wolnym rynku, lecz przy współudziale polityków. Staje na czele zespołu, który ma tworzyć „realne propozycje deregulacyjne, które ułatwią prowadzenie działalności, uproszczą codzienne procedury administracyjne i poprawią jakość życia wszystkich – pracowników, przedsiębiorców, ale też urzędników". Choć wydaje się, że przed „polskim Elonem Muskiem", jak ze względu na powierzoną mu przez polityków misję zaczęto nazywać Brzoskę, postawiono zadanie niewykonalne, choć nie brakuje głosów, że jedynymi owocami tej współpracy będzie tylko PR dla Donalda Tuska, to twórca InPostu w przeszłości udowadniał, że w odniesieniu do niego słowa „niemożliwe" warto używać z rozwagą.

BIZNES W AKADEMIKU

Rafał Brzoska urodził się 13 listopada 1977 r. jako jeden z trojga rodzeństwa w rodzinie Reginy i Benedykta Brzosków mieszkających w Zawadzie Książęcej, niewielkiej wsi we wdzięcznie się nazywającej dla piszących sylwetki miliardera gminie Nędza. Najbliższym nieco większym punktem na mapie jest oddalony o niecałe 10 km powiatowy Racibórz. W tym mieście Rafał Brzoska skończył liceum, a później wyjechał na studia do Krakowa – kierunek ekonomia i zarządzanie na Akademii Ekonomicznej (dziś Uniwersytet Ekonomiczny).

Jak wspomina w swej książce, na początku z pieniędzmi było krucho. Budżet ratowały wyjazdy do brata, który urządził się w Niemczech i wyszukiwał młodemu Brzosce prac sezonowych. Przyszły miliarder próbował też drobnego biznesu komputerowego i gry na giełdzie niewielkim kapitałem. Wszystko zmieniło się pewnego dnia, gdy jeden z dwóch współlokatorów jego pokoju w akademiku wrócił sfrustrowany z domu z wiadomością, że jego młodszy brat, który ani myślał o studiach, pracował trzy dni w tygodniu i zarabiał więcej od swoich rodziców. Okazało się, że jego intratnym zajęciem w końcówce lat 90. było roznoszenie ulotek na zlecenie firmy Jurand z Wadowic. Studenci Akademii Ekonomicznej postanowili wejść w ten biznes. „Dla mnie to było coś nowego. Pozbawionego rozmachu i powagi związanych chociażby z biznesem w nowych technologiach. Komputery, CD-romy z oprogramowaniem i grami – to było coś, ale… ulotki? […] Coś jednak podpowiadało mi, abym nie odpuszczał" – wspominał Rafał Brzoska.

I tak w 1999 r. narodziła się spółka Integer (z łac. rzetelny), której współwłaścicielem i prezesem został Rafał Brzoska. Mimo początkowych trudności z pozyskiwaniem zleceń ten biznes w tamtym czasie i w tamtym miejscu w zasadzie nie mógł się nie udać. „Wchodziliśmy na rynek, który jeszcze nie był do końca podzielony, bo wciąż się rozrastał. Przybywało sklepów, one sięgały po najprostszy i najskuteczniejszy sposób marketingu – ulotki roznoszone po domach, zwane przez nas już w pełni profesjonalnie drukiem bezadresowym" – opowiadał Rafał Brzoska w swojej książce.

InPost zaczął doklejać do kopert blaszki, które formalnie, pod względem prawnym, były zabezpieczeniem listu, a w praktyce podnosiły jego wagę powyżej 50 g

Szybko zdobywali rynek, bo – bez solidnych kalkulacji – Integer zaproponował dumpingową stawkę: połowę tego, co konkurencja. Ulotki nosili sami współwłaściciele, angażowali też innych studentów, którzy zatrudniani na umowach o dzieło stanowili tanią siłę roboczą. Biznes zaczął się kręcić, ale jego los zawisł na włosku, gdy młody prezes Integera zgodził się podpisać weksel in blanco na zabezpieczenie wykonania zlecenia roznoszenia ulotek i tenże weksel został wypełniony na kwotę 260 tys. zł, a następnie odsprzedany wrocławskiej firmie Polska Giełda Wekslowa. Spór przed sądem trwał kilka lat, Integer musiał zawiesić działalność (wtedy powołano spółkę Integer.pl), ale ostatecznie Brzoska wyszedł z tej batalii zwycięsko, a nieuczciwymi „przedsiębiorcami" od weksli zainteresowały się organy ścigania.

BLASZKA, STRZAŁKA I PACZKOMAT

Marka InPost, z której Rafał Brzoska jest dziś znany, rodziła się w latach 2005–2006. W tamtym czasie Integer przejął spółkę Fibra Hallo, a Brzoska zyskał kolejnych wspólników. Wejście na rynek nowego operatora, który miał rzucić rękawicę Poczcie Polskiej, zbiegło się z ogólnopolskim strajkiem listonoszy. Prezes InPostu był nawet podejrzewany o wywołanie tego strajku. Aby się liczyć, spółka musiała nadgryźć największy kawałek pocztowego tortu: listy ważące poniżej 50 g które stanowiły wówczas 95 proc. wszystkich listów wysyłanych w Polsce. Akurat ten największy i najsmaczniejszy kąsek był odłożony dla Poczty Polskiej, która miała na niego prawnie zagwarantowany monopol.

To właśnie wtedy InPost zaczął doklejać do kopert blaszki, które formalnie, pod względem prawnym, były zabezpieczeniem listu, a w praktyce podnosiły jego wagę powyżej 50 g. Urząd Komunikacji Elektronicznej (regulator również rynku pocztowego) uznał, że metalowa plomba jako zabezpieczenie korespondencji jest integralną częścią przesyłki, ale to oczywiście nie zamknęło sprawy, bo spory prawne i przepychanki medialne ciągnęły się latami.

InPost niejednokrotnie uciekał się do kruczków prawnych, co jednym imponowało – oto sprawny przedsiębiorca sprytnie funkcjonuje w skrajnie niesprzyjającym środowisku – a innym niekoniecznie, bo widzieli w tym raczej cwaniactwo w omijaniu prawa. Kiedy w 2013 r. InPost w sojuszu z PGP i Ruchem wygrał przetarg na doręczenia korespondencji sądowej, prawnicy spółki obronili tezę, że placówką pocztową może być każdy kiosk ruchu. Kiedy w przetargach zaczęto wpisywać wymóg tego, by firma obsługująca korespondencję posiadała placówki z osobnym stanowiskiem pocztowym, InPost wymyślił, że ten warunek

eprasa.pl b2ee8dcb6b

spełnia stworzenie priorytetowej kolejki do odbioru korespondencji. Na kioskach pojawiły się strzałki wskazujące kierunek kolejki, w której mieli ustawiać się ludzie odbierający listy, przeciwny do kierunku kolejki klientów stojących po gazety czy papierosy.

Kreatywność Rafała Brzoski i jego ludzi nie kończyła się na rozwiązywaniu zagwozdek prawnych. Paczkomaty są odpowiedzią na jedno z podstawowych wyzwań w branży kurierskiej – tzw. problem ostatniej mili. W skrócie – najtrudniejszy do zorganizowania i najdroższy w całym procesie dostarczenia przesyłki jest etap od odebrania paczki przez kuriera, który dociera z nią do adresata, do jej doręczenia. To 70 proc. wszystkich kosztów dotarcia towaru do klienta. Rafał Brzoska w swojej książce pisze, że w ciągu ośmiu godzin pracy kurier jest w stanie skutecznie dostarczyć 60 paczek, a w przypadku dostarczania ich do paczkomatów w osiem godzin jest w stanie dostarczyć ich nawet 800. To także wygoda dla klientów, którzy pracują i dużą część dnia spędzają poza domem. A 60 proc. klientów InPostu odbiera przesyłki w godz. 18–7 i w weekendy.

Rafał Brzoska chętnie podkreśla, że InPost odprowadza w Polsce większe podatki niż jego cała zagraniczna konkurencja działająca na naszym rynku (za rok 2023 InPost odprowadził 250 mln zł podatku CIT, niemiecki DHL – poniżej miliona)

Choć InPost nie był pierwszy (na przełomie lat 2004 i 2005 urządzenia do odbioru przesyłek wprowadziła Deutche Post, pierwszy paczkomat InPostu postawiono w roku 2009), to rozwinął tę koncepcję najskuteczniej. Sukces nie przyszedł jednak od razu. Mimo że kilku liderów e-commerce zdecydowało się na współpracę, to Polacy nie byli przekonani do tej formy dostarczania paczek, a firma zbudowana za 30 mln zł obsługiwała kilkanaście przesyłek dziennie i uzyskiwała przychód na poziomie 50 zł na dobę. Fiaskiem zakończyła się kampania telewizyjna za 1,5 mln zł z udziałem Martyny Wojciechowskiej. Jednak konsekwencja w rozwoju sieci i promocji w Internecie wreszcie przyniosła efekty – w 2011 r. paczkomaty zaczęły na siebie zarabiać.

ŚMIECIÓWKI, PODATKI, SĄDY I POSTY

Motorem napędowym sukcesu InPostu były nie tylko innowacyjne rozwiązania, lecz także – a może zwłaszcza – polityka cenowa. Kiedy spółka Rafała Brzoski podgryzała Pocztę Polską, przypominano, że ta druga jest na straconej pozycji nie tylko przez kiepskie zarządzanie i archaiczne podejście do obsługi klienta. Również ze względu na ponoszone koszty – listonosze są zatrudniani na podstawie umów o pracę, gwarantujących im prawa pracownicze i emeryturę. InPost od początku wyznawał inną filozofię. „Już mieliśmy system, gdzie sto procent osób było zatrudnionych na umowy o pracę, nazywał się socjalizm" – mówił Brzoska w jednym z wywiadów. A na pytanie dziennikarza „A pana kurier jaki ma wybór? Jak przyjdzie do pana i powie, że chce etat, to nie będzie pracować" – odpowiadał: „Nie będzie. Bo w naszym procesie logistycznym nie ma stanowiska kurier".

Do dziś media przypominają sprawę sprzedaży przez Brzoskę jednej ze spółek wraz z pracownikami, którym nowy właściciel biznesu nie wypłacał wynagrodzeń. Był to chyba najgorszy moment w karierze Brzoski nie tylko ze względu na koszty wizerunkowe. Sprzedaż spółki miała być ratunkiem przed bankructwem, którego widmo zawisło wówczas nad InPostem. Brzoska po latach zdecydował się spłacić zobowiązania odsprzedanej spółki w wysokości ok. 14,5 mln zł. Jego nazwisko pojawiło się też w mediach w kontekście afery Pandora Papers. „Gazeta Wyborcza" za zarzuty dotyczące „optymalizacji podatkowych" sformułowane w artykule „Cypryjskie kombinacje twórcy InPostu" musiała jednak przeprosić. Dziś Brzoska chętnie podkreśla, że InPost odprowadza w Polsce większe podatki niż jego cała zagraniczna konkurencja działająca na naszym rynku (za rok 2023 InPost odprowadził 250 mln zł podatku CIT, niemiecki DHL – poniżej miliona). Reaguje, gdy w mediach społecznościowych ktoś stawia zarzuty InPostowi. „Proszę zadać sobie ten sam trud, czytając sprawozdania finansowe spółki w których publiczna jest informacja o liczbie osób zatrudnionych na umowę o pracę, 75 proc. podatków, jakie spółka płaci, to właśnie podatki związane z umowami o pracę, a reszta dochodowe" – odpowiedział użytkownikowi X, który wspomniał o formie współpracy z kurierami. Rafał Brzoska wytoczył też działa przeciwko firmie Meta za to, że na Facebooku ukazywały się reklamy wykorzystujące wizerunek jego oraz jego obecnej, drugiej, żony – Omeny Mensah. Wywalczył przed sądem zakaz używania ich wizerunku pod groźbą wysokiej kary.

Dziś Rafał Brzoska jest właścicielem niecałych 13 proc. akcji InPostu, który niedawno, na 25-lecie marki, uruchomił 25 000. paczkomat w Polsce. Firma na koniec trzeciego kwartału 2024 r. „dysponowała blisko 79 000 punktami out-of-home, w tym prawie 44 000 nowoczesnych urządzeń Paczkomat i blisko 35 000 punktów PUDO w 9 krajach (Wielka Brytania, Francja, Polska, Włochy, Hiszpania, Portugalia, Belgia, Luksemburg, Holandia). W ciągu ostatnich 12 miesięcy Grupa zainstalowała rekordową liczbę maszyn – aż 10 000, zwiększając liczbę urządzeń aż o 1/3 r/r". Majątek jednego z najbogatszych Polaków szacuje się na ok. 5,7 mld zł. Nie wszystko, czego się tknął, zamieniało się w złoto. Ma na koncie także biznesowe porażki – choćby fiasko projektu wirtualnej telefonii (zainwestował w nią 5 mln zł) czy sklepy na Facebooku InFlavo.

Czy Rafał Brzoska uwierzył, że uda mu się dokonać rzeczywistej zmiany oraz że Donald Tusk chce tej zmiany i na nią pozwoli? Wiele na to wskazuje, bo szef InPostu nie traci czasu. „W ciągu zaledwie siedmiu dni stworzyliśmy zespół kilkuset wolontariuszy, ekspertów i urzędników, których połączyła wspólna wizja zmiany machiny biurokratycznej państwa" – ogłosił na X Rafał Brzoska. „Zaraz trzeba będzie deregulować zespół ds. deregulacji" – zafrapował się na wieść o kilkusetosobowym zespole Bartłomiej Radziejewski, prezes Nowej Konfederacji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b2ee8dcb6b

Taktyka, odwaga, niezłomność

– poznaj geniusz admirała Nimitza.

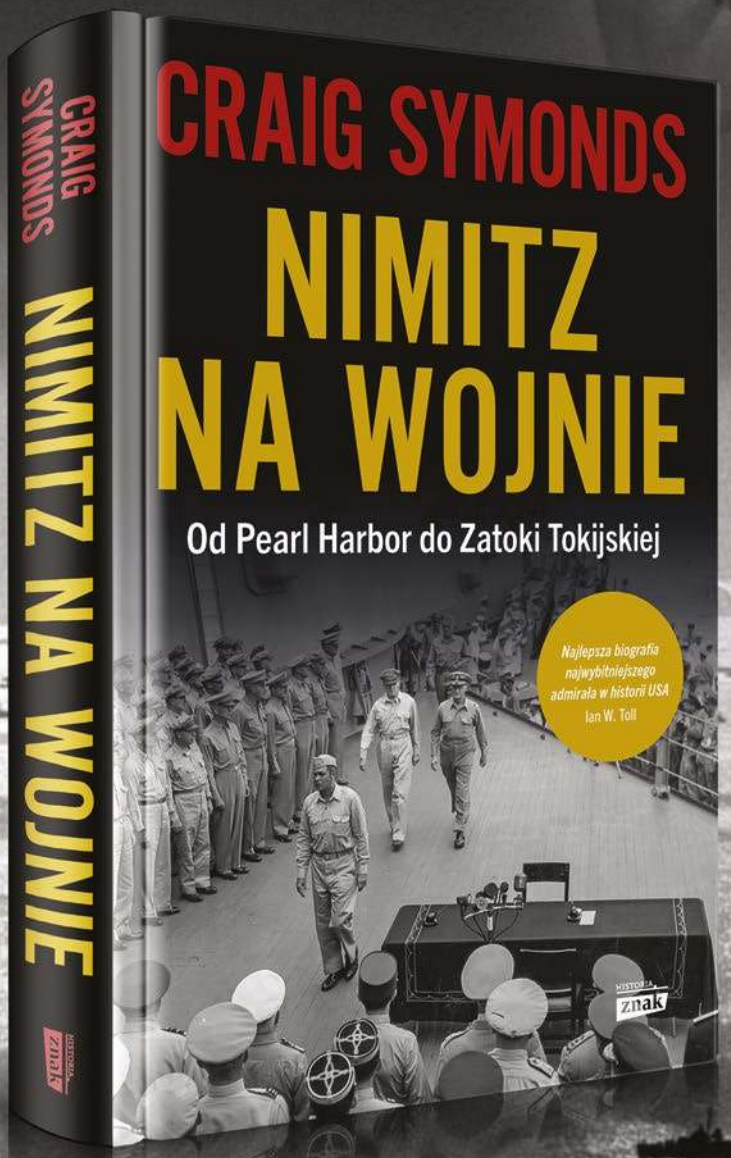

Wojna mózgów

Jacek Przybylski

Rywalizacja w świecie sztucznej inteligencji coraz bardziej się zaostrza. Start-up Elona Muska zaprezentował najnowszy model sztucznej inteligencji, Grok 3, który zdaniem najbogatszego człowieka na świecie przewyższa możliwościami najnowocześniejsze modele konkurencji, jak ChatGPT czy DeepSeek. Walka toczy się o setki miliardów dolarów

Analitycy Goldman Sachs już w roku 2023 przewidywali, że sztuczna inteligencja może zautomatyzować mniej więcej jedną czwartą zadań wykonywanych dotąd przez ludzi w gospodarkach rozwiniętych i od 10 do 20 proc. w gospodarkach rozwijających się. I zakładali, że AI może w ciągu dekady doprowadzić do wzrostu produktywności w USA o 1,5 punktu procentowego, zwiększenia amerykańskiego PKB o 0,4 p.p., a także przyspieszenia

eprasa.pl b2ee8dcb6b

FOT. ADOBE STOCK

globalnego wzrostu gospodarczego aż o 7 p.p. (niemal 7 bln dol.). Wyzwolenia „nowej fali produktywności" za pomocą generatywnej sztucznej inteligencji spodziewali się także eksperci firmy doradczej McKinsey, zauważając, że „sztuczna inteligencja stopniowo przenika nasze życie" i jest obecna w naszych smartfonach, samochodach oraz licznych narzędziach używanych w marketingu do tego, aby zaskakiwać i zachwycać klientów. Prognozowali więc, że generatywna AI ma potencjał do tego, aby zwiększać wartość globalnego PKB rocznie o od 2,6 do 4,4 bln dol. (większa część tej kwoty miałaby przypaść na obsługę klienta, marketing i sprzedaż, tworzenie oprogramowania oraz badania i rozwój). Aby łatwiej było wyobrazić sobie te liczby, zauważmy, że wartość PKB Wielkiej Brytanii w 2023 r. wyniosła 3,34 bln dol., a Polski 811,2 mld dol.

W raporcie z listopada 2024 r. Światowa Organizacja Handlowa szacowała zaś, że do roku 2040 rozpowszechnienie się różnych modeli AI na całym świecie może przyczynić się do wzrostu międzynarodowej wymiany handlowej aż o niemal 14 proc. i zwiększenia globalnego PKB o 11 p.p.

KOŚCI WYROCZNI

Dzisiaj nie trzeba już śledzić specjalistycznych raportów, aby zauważyć, że rewolucja AI zmienia świat na skalę, którą można przyrównać jedynie do rozpowszechnienia się Internetu w latach 90. Sztuczne sieci neuronowe są z powodzeniem wykorzystywane przez naukowców do odczytywania starożytnych tekstów, od klasycznych tekstów greckich i łacińskich do chińskich „kości wyroczni". AI pomaga nawet w odczytaniu fragmentów odnalezionych we włoskim Herkulanum zwojów zwęglonych w wyniku wybuchu Wezuwiusza 2 tys. lat temu.

Zupełnie współczesna izraelska armia używa z kolei modeli sztucznej inteligencji do wynajdowania potencjalnych celów, znacząco przyspieszając planowanie operacji wojskowych. Europejskie i amerykańskie kancelarie prawne coraz częściej zlecają algorytmom pisanie pozwów w sprawach cywilnych i handlowych nawet w sprawach wartych miliony dolarów, oszczędzając na tym zarówno czas, jak i pieniądze. Sztuczna inteligencja pozwala również pisać pozwy osobom, które prawnikami nie są i których na zatrudnienie prawników po prostu nie byłoby stać (np. w sprawie Steve Sokolowski kontra Digital Currency Group, w której pozywający domagają się… 26,07 mln dol.). Jak napisał na X Steve Sokolowski, sztuczna inteligencja pozwoliła w tym wypadku nie tylko napisać pozew, lecz także sprawdzić, czy podane argumenty mają szanse utrzymać się w sądzie. Różne algorytmy oceniały bowiem pisma procesowe z punktu widzenia prawnika strony przeciwnej oraz sędziego. A następnie doskonaliły pozew tak długo, aż w końcu żaden czat nie był w stanie obalić użytych w nich argumentów.

Wielkie banki i instytucje finansowe wykorzystują sztuczną inteligencję do wykrywania anomalii w transakcjach i zapobieganiu oszustwom. Logistycy do automatyzacji procesów obsługi klienta i lepszego zarządzania łańcuchem dostaw, a inżynierowie produkcji – do przewidywania awarii maszyn. Sztuczna inteligencja coraz szerzej wykorzystywana jest także w medycynie. Pomaga w doborze najlepszej terapii dla konkretnego pacjenta. Wspiera diagnozowanie chorób poprzez analizę zdjęć rentgenowskich, obrazów MRI etc. W niedalekiej przyszłości będzie zaś mogła zapobiegać poważnym chorobom lub wykrywać je na bardzo wczesnym etapie. Polska firma Vivid Mind wykorzystuje zaawansowane algorytmy do wczesnego wykrywania chorób otępiennych, a także do monitorowania zaburzeń funkcji poznawczych. Wystarczy powiedzieć: „aaa"…

Wydawcy wykorzystują AI do tłumaczenia, a coraz częściej nawet do pisania tekstów. Sztuczna inteligencja znacząco ułatwia też podróże. Polska firma Vasco korzysta z zaawansowanych silników opartych na AI do tworzenia translatorów, które pozwalają na swobodne komunikowanie się w nieznanych użytkownikowi językach obcych (i to aż w 112 językach w niemal 200 krajach). Po nagraniu próbki swojego głosu system potrafi nie tylko przetłumaczyć frazę, lecz także wypowiedzieć ją naszym głosem z właściwym akcentem. I to nie tylko po angielsku, francusku czy hiszpańsku, lecz także np. po japońsku (translatory polskiej firmy wykorzystują więc np. niemieccy bankierzy do komunikacji z obcojęzycznymi klientami).

„PRZERAŻAJĄCO MĄDRA" AI

Coraz więcej algorytmów walczy o miano tego najbardziej inteligentnego, pomocnego i najbezpieczniejszego. W zeszły wtorek należący do Elona Muska start0up xAI pochwalił się światu najnowszą wersją chatbota Grok. Zdaniem najbogatszego człowieka

eprasa.pl b2ee8dcb6b

świata Grok 3 jest wręcz „przerażająco mądry". „Grok 3 to pod każdym względem najwyższa technologia. Nie tylko przewyższa poprzedni model, Grok 2, lecz także większość swoich konkurentów, i to zarówno pod względem osiągów, jak i możliwości" – chwalił się Elon Musk na X. To właśnie dla osób, które na platformie X wykupiły pakiet Premium+, dostępna jest najnowsza wersja tego modelu językowego. Jest ona szybsza od poprzedniej wersji, ponieważ wykorzystuje aż 10-krotnie większą moc obliczeniową.

Z tego powodu wydaje się bardziej „rozumna", a jej odpowiedzi są bardziej precyzyjne i brzmią dużo bardziej naturalnie. Funkcja „dogłębnego wyszukiwania" pozwala modelowi AI nie tylko generować wyniki, lecz także uzasadniać odpowiedzi, z powołaniem się na konkretne źródła. Groka 3 można więc wykorzystywać do wyszukiwania informacji, analizy danych, pisania tekstów, szybkich tłumaczeń na najróżniejsze języki etc.

Tyle teoria. Podczas prywatnego testu Grok 3 zaliczył kilka poważnych wpadek. Dla przykładu: zapytany w zeszłym tygodniu o nadchodzące ważne wydarzenia podał informację o „przygotowaniach do imprezy", która odbyła się… jesienią 2024 r. I chociaż po zwróceniu mu uwagi, grzecznie przeprosił i uświadomił sobie, że jest już luty 2025 r., to warto zachować czujność, aby z frazy „przerażająco mądry" odbiorca pisma stworzonego przy pomocy tego modelu nie zapamiętał głównie przymiotnika „przerażający". Kto zaś nie chce płacić za model, który często bywa przydatny, ale jednak wciąż popełnia wiele błędów, może zupełnie za darmo spróbować pobawić się ze sztuczną inteligencją z portfolio Elona Muska modelem Grok 2.

Nie ma jednak wątpliwości, że Grok powinien szybko zmądrzeć. Start-up xAI konsekwentnie zwiększa bowiem możliwości swojego centrum danych. Według Bloomberg News spółka jest bliska przypieczętowania wartego 5 mld dol. kontraktu z firmą Dell na dostarczenie serwerów do obsługi AI. Menedżerowie xAI prowadzą zaawansowane rozmowy o pozyskaniu od inwestorów dodatkowych 10 mld (sic!) dol. finansowania, co zwiększyłoby wycenę tej spółki do poziomu ok. 75 mld dol.

Elon Musk, który swoją spółkę specjalizującą się w sztucznej inteligencji stworzył w roku 2023, najpierw pozwał OpenAI (twórcę popularnego modelu ChatGPT, który w zaledwie dwa miesiące przekroczył próg 100 mln użytkowników). Miliarder domagał się, aby OAI porzuciła marzenia o staniu się rentowną firmą i powróciła do misji organizacji pożytku publicznego, a następnie kierowane przez niego konsorcjum złożyło ofertę na zakup organizacji kontrolującej OpenAI za 97,4 mld dol. Oferta ta została jednak jednomyślnie odrzucona przez członków zarządu OpenAI.

Korzystania z aplikacji DeepSeek zakazały już rządy Australii, Tajwanu czy Korei Południowej

Przed debiutem Groka 3 w ostatnich tygodniach na globalnych rynkach zadebiutował także model językowy chińskiego startupu – DeepSeek wytrenowano ponoć przy użyciu procesorów graficznych Nvidia w zaledwie dwa miesiące. Niestety, chińska aplikacja ma tendencję do unikania trudnych tematów. Udaje więc, że nic nie wie o masakrze na placu Tiananmen w 1989 r. Może mieć też pewne problemy z ochroną danych osobowych. Korzystania z aplikacji DeepSeek zakazały już więc oficjalnie rządy Australii, Tajwanu czy Korei Południowej. Chińskiemu modelowi przyglądają się także bliżej władze Włoch, Francji i Irlandii.

Jeszcze wcześniej popularność wśród użytkowników zdobyły Bert oraz Gemini (oba ze stajni Google), DALL-E (opracowany przez OpenAI system służący do tworzenia obrazów na podstawie opisów tekstowych), Copilot (ze stajni Microsoftu), francuski start-up Mistral AI (ma z niego korzystać m.in. koncern motoryzacyjny Stellantis) czy chińska „ścieżka do oświecenia" Wu Dao 2.0.

W POSZUKIWANIU STRACONEGO CZASU

Według raportu Grand View Research globalny rynek sztucznej inteligencji był wyceniany w 2023 r. na 196,63 mld dol. z prognozą wzrostu na poziomie średnio 37 proc. rocznie do roku 2030. W roku 2032 wartość rynku AI ma dojść do poziomu 621 mld dol. Nie brakuje też jeszcze bardziej optymistycznych prognoz. Specjaliści z Bain & Company prognozują, że wartość rynku produktów AI w nadchodzących trzech latach może zwiększać się w tempie 40–55 proc. rocznie, osiągając w roku 2027 wartość od 780 do 990 mld dol.

Nic więc dziwnego, że amerykański prezydent Donald Trump chciałby, aby to Stany Zjednoczone dominowały w obszarze sztucznej inteligencji. Gdy tylko ponownie zaczął urzędowanie w Białym Domu, podpisał więc rozporządzenia wykonawcze, na mocy których powstał projekt Gwiezdne Wrota (Stargate) – czyli wspólne przedsięwzięcie firm OpenAi, Oracle i SoftBank zakładające budowę w USA wielkich centrów danych służących rozwojowi AI. Szacowany koszt inwestycji: 500 mld dol. w ciągu najbliższych czterech lat.

Odpowiednik projektu Stargate marzy się też włodarzom Unii Europejskiej, którzy przespali rewolucję i próbują teraz na gwałt znaleźć miejsce dla Starego Kontynentu w sferze zdominowanej mocno przez firmy amerykańskie oraz chińskie. Francuzi w lutym zaprosili więc do Paryża przywódców ok. 80 krajów, przedstawicieli gigantów branży technologicznej, biznesu oraz naukowców (w tym „matkę chrzestną" sztucznej inteligencji Fei Fei Li). Czy to się uda? Na razie szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen przyznała, że unijne prawo dotyczące sztucznej inteligencji i nowych technologii powinno zostać uproszczone. UE ma też dołożyć 50 mld euro do inicjatywy European AI Champions, w ramach której europejskie firmy zadeklarowały zainwestowanie w rozwój sztucznej inteligencji 150 mld dol. AI ma być też rozwijana w Polsce. Microsoft ogłosił hucznie, że do końca czerwca 2026 r. planuje wydać 2,8 mld zł na rozbudowę hiperskalowej infrastruktury chmurowej i sztucznej inteligencji. Nad Wisłą w AI zainwestuje też Google, ale chodzi o marne 5 mln (!) dol. Dla porównania: Sundar Pichai, który u boku Donalda Tuska ogłaszał tę „wielką inwestycję", ma prywatny majątek szacowany na 1,3 mld dol.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b2ee8dcb6b

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Kiedy Brzoska się zorientuje?

Brzoska Muskiem Tuska! – taki komunikat poszedł „w Polskę", a potem „w świat". Brzoska dla Tuska w Polsce – tak jak Musk dla Trumpa w USA – będzie „deregulował" gospodarkę!

I tylko o ten komunikat chodziło Tuskowi, bo przecież nie o „zderegulowanie" polskiej gospodarki ani o jej „odbiurokratyzowanie". Zresztą gdyby chodziło mu o „zderegulowanie" i „odbiurokratyzowanie" gospodarki, toby ją po prostu „zderegulował" i „odbiurokratyzował", bo to on najlepiej wie, jak to zrobić – w końcu sam ją od lat „przeregulowuje" i „biurokratyzuje".

Dlatego jest niezmiernie ciekawe, jak to się stało, że tak wytrawny przedsiębiorca jak Rafał Brzoska tak szybko przystał na ofertę Tuska i zgodził się zostać jego zderzakiem w relacjach z przedsiebiorcami. A jeśli akceptując propozycję, Brzoska jednak tego nie wiedział, to ciekawe, kiedy się zorientuje, że został – jak wielu przed nim – przez Tuska po prostu brutalnie wykorzystany, i jak wówczas zareaguje.

Tym bardziej że obserwując karierę „króla Europy", trudno nie zauważyć, w jak głębokim poważaniu zawsze miał on i nadal ma przedsiębiorców, którzy – jak pewnie zakłada – i tak właśnie na jego partię po prostu „muszą głosować". A pełne lekceważenia potraktowanie ich przezeń po ostatnich wyborach jest tego tylko kolejnym dowodem. Dlatego zamiast odwrócić wymierzony w przedsiębiorców tzw. Polski Ład Morawieckiego, który przynajmniej nigdy nie krył swego negatywnego do nich stosunku, Tusk najzwyczajniej w świecie, swoim zwyczajem, zaczął przedsiębiorców wodzić za nos. I dalej to robi.

No i w sprawie tuskowego cyrku z „deregulacją" gospodarki jest dokładnie tak samo. I żeby się w tym zorientować, wcale nie trzeba było czekać na podpowiedź Ryszarda Petru, posła Polski 2050, który tylko przypomniał to, co wiadomo „od zawsze" – że klucz do odblokowania blokady w walce z wymierzoną w przedsiębiorców biurokracją ma w kieszeni nie kto inny jak Tusk. Wyłącznie on. I to przecież nie kto inny, jak właśnie on blokuje prace nad już istniejącymi projektami ustaw w tej sprawie. „Mamy dwie ustawy deregulacyjne, złożone przez posłów", „mamy też ustawę deregulacyjną, którą przygotowało Ministerstwo Rozwoju" – przypomniał Petru, przezornie próbując zwalić winę za ich torpedowanie na Ministerstwo Finansów, które przecież nie byłoby w stanie zablokować niczego, co zdecydowałby się odblokować Tusk.

No, chyba że Rafał Brzoska od początku wiedział, że to wszystko jest klasyczną, tuskową ustawką i z pełną tego świadomością się w to przedstawienie zaangażował. Ale jeśli tak, to pojawia się inne pytanie: Dlaczego? Co sprawiło, że postanowił aż tak bardzo narazić swoją reputację? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Gruzińscy bandyci, welcome!

W 2023 r. (w drugiej jego połowie podwyższono granicę przestępstwa kradzieży z 500 do 800 zł) obywatele Gruzji popełnili 1111 przestępstw zaboru rzeczy. W 2024 r. 77 razy stwierdzono ich udział w bójce. Mieli na koncie 20 rozbojów, w tym z użyciem broni. Popełnili pięć zabójstw.

Patologicznie kryminogenni Gruzini wjeżdżają do Unii na trzy miesiące bez wiz

W ubiegłym roku obywateli Ukrainy 2943 razy zatrzymywano za jazdę w stanie nietrzeźwości. W 2023 r. stwierdzono 1214 przypadków zaboru rzeczy i 138 udziału w bójce. 1310 razy odnotowano wówczas posiadanie przez nich narkotyków i 18 zabójstw. W przypadku rozbojów dla Ukraińców rekordowy był rok 2024: 70 przypadków.

To wycinki ze statystyki przestępczości obcokrajowców. Jeśli odnieść liczbę popełnianych przestępstw do szacunkowej liczby obecnych w Polsce cudzoziemców z danego kraju, to Gruzini biją rekordy, choć w liczbach bezwzględnych przodują Ukraińcy. Gruzinów jest ich w Polsce ok. 27 tys., podczas gdy Ukraińców – ok. 1,5 mln (pracujących i zarejestrowanych w ZUS ok. 700 tys.). O ile relacja przestępstwa zaboru rzeczy do liczby pracujących Ukraińców wynosiła w 2023 r. 0,006 proc., o tyle w przypadku Gruzinów aż 4,11 proc.

Fakt, że w Polsce robi się niebezpiecznie z powodu przestępczej aktywności obcokrajowców, zaczął się wreszcie przebijać do mediów i powszechnej świadomości. Zaczął się z tego robić również temat wyborczy, w związku z czym głos zabrali premier i minister Siemoniak. Pogrozili, zapewnili, że się zajmują – oczywiście bez konkretów.

Problem w tym, że patologicznie kryminogenni Gruzini wjeżdżają do Unii Europejskiej na trzy miesiące bez wiz, jedynie z paszportami biometrycznymi, na podstawie decyzji na poziomie unijnym z 2017 r.

I teraz proszę się trzymać: w styczniu Rada UE zawiesiła przywilej bezwizowego ruchu dla Gruzinów! Ale nie dla wszystkich – tylko dla dyplomatów. To kara za wygraną w wyborach Gruzińskiego Marzenia, czyli nie tych, których wspiera Unia. Bandyci nadal mogą się cieszyć ruchem bezwizowym.

Zawsze, gdy myślę sobie, że głupiej się nie da, wchodzi Unia cała na biało i rzecze: „Nie da się? Potrzymaj mi piwo!". ©℗

eprasa.pl b2ee8dcb6b

Kup! I to zaraz!

Joanna Bojańczyk

Najnowsza sztuczka marketingu: zakupy na żywo. Obejrzyj na transmisji w realu, kliknij w link, wrzuć do koszyka. I kup, byle szybko, inni czyhają. System skutecznie działa na emocje, a to największy sprzymierzeniec zakupów

FOT. ADOBE STOCK

Sięgając do głębokich pokładów pamięci: mam przed oczami leżący na stole w kuchni pożyczony od sąsiadki niemiecki katalog Quelle. Gruby, z kolorowymi obrazkami – było w nim wszystko, czego wtedy, w latach 60., nie można było kupić w sklepach. Komplety kolorowych plastikowych naczyń, telewizory, suszarki do włosów, sukienki, buty, radia tranzystorowe. Przeglądałam to cudo z zachwytem dziecka, które przykleja nos do szyby w cukierni, ale na ciastko nie ma pieniędzy.

Nie tylko Quelle i Otto, oferty z (wtedy jeszcze) Niemieckiej Republiki Federalnej. Sprzedaż katalogową mieliśmy także w Polsce, i to już w czasach gomułkowskiego PRL. Szło całkiem sprawnie, i to przez pocztę, w co dziś trudno uwierzyć, ale wtedy działała lepiej niż dzisiaj. Na specjalnym formularzu składało się zamówienie i wysyłało. Po jakimś czasie towar przychodził. Przez Pocztę Polską – serio.

Katalogi swoich produktów wydawały fabryki odzieżowe, obuwnicze, meblowe. W katalogach Baltony, Pewexu można było zamawiać artykuły zagraniczne, płacąc oczywiście w dolarach. Swój katalog z produktami codziennego użytku miało nawet Społem. Ten towar do sklepów oczywiście nie trafiał.

Kiedy Gierek otworzył nas na Zachód i w domach Centrum w Warszawie pojawiły się nawet angielskie szetlandy (swetry z wełny), katalogi wysyłkowe jakoś zanikły. Może klienci stracili do nich zaufanie, może przestały być potrzebne.

Za to pojawiła się forma bardziej zaawansowana i zgodna z duchem czasu: teleshopping, telezakupy. W czasach sprzed telewizji śniadaniowej nadawano je w godzinach porannych, kiedy gospodynie domowe, jeszcze w szlafrokach, dopijając resztkę kawy, gotowe są kupić garnek, który gotuje najzdrowsze dania albo rewelacyjną maszynę do szycia. Każda z tych rzeczy była okazją! Kup teraz, niska cena tylko u nas (tu na ekranie pojawiał się adres przedmiotu z dwiema cenami: pierwszą przekreśloną grubo na

eprasa.pl b2ee8dcb6b

czerwono i drugą, tą okazyjną, dwa razy niższą), jutro będzie za późno!

We Francji oglądałam teleshopping pasjami – prezenterzy byli tak przekonujący, że o włos nie zostałam właścicielką sporej walizki, którą można złożyć w kostkę.

Kto wtedy mógł przewidzieć, że za 30, 40 lat będziemy, nie mając żadnego katalogu, tylko siedząc przed komputerem, kupować zegarek Omega, sukienkę Lanvin?

Nie stało się to od razu, do zakupów internetowych klient przekonywał się długo. Zwłaszcza polski klient, nieufny i niezbyt zamożny. Co na zdjęciu, to na zdjęciu. Ale jak to wygląda naprawdę? Kupić kota w worku? Ludzie nie wierzyli. Czy nie oszukają? Tylko młodzi ryzykowali nowe technologie, zasięg zakupów internetowych z roku na rok się powiększał. O ile na początku bezpieczniej było kupić w sieci coś taniego, śrubokręt czy skarpetki, żeby w razie czego dużo nie stracić, to w miarę upływu czasu zaufanie do tych transakcji wzrastało. Wartość rynku e-commerce w Polsce w roku 2024 oszacowano na 100 mld zł. Kto dzisiaj nie kupuje w Internecie?

OBEJRZYJ I KUP

Jednak technologie się nie zatrzymują. Psychologowie z marketingu wymyślają coraz nowsze techniki, które mają skłonić ludzi do wydania pieniędzy. Wymaga to metod coraz bardziej zaawansowanych, niektóre ocierają się o manipulację. Ale któż bogatemu zabroni wziąć w tym udział?

Oto coś, co można by określić jako hybrydę Internetu z telewizją. Bardzo spodobało się Chińczykom, którzy tak kupują, a oni są najważniejsi, bo najliczniejsi. Z pewnością polski live shopping nie każe na siebie długo czekać.

Zakupy na żywo, nowoczesna forma sprzedaży on-line łączy transmisję na żywo (na platformach takich jak Facebook, Instagram, TikTok czy YouTube) z możliwością natychmiastowego kupowania prezentowanych produktów. Influencer, ekspert marki lub sprzedawca prezentuje produkty, zachwala je, odpowiadając na pytania widzów na żywo i zachęcając do zakupu. Widzowie mogą zadawać pytania, komentować i prosić o szczegóły.

Wszystko odbywa się w czasie rzeczywistym: wystarczy kliknąć w linki prowadzące do sklepu, wrzucić produkt do koszyka albo kupić go bez opuszczania transmisji. Jakie to proste!

Są też ekstrazachęty: zniżki, produkty w limitowanej liczbie egzemplarzy oraz okazje dostępne tylko dla uczestników transmisji. Przynajmniej tak twierdzą sprzedawcy. Stary trik: kup teraz, bo za chwilę będzie za późno. Konsumenci podobno spędzają godziny, oglądając, jak przebiegają operacje. Podobnie jak ja oglądałam macherów zachwalających cud-maszynki na telezakupach.

Telezakupy były wciągające, ale w porównaniu z live shopping ich moc rażenia była mizerna. Tam trzeba było złożyć zamówienie, czekać. Program na żywo uruchamia emocje. A to one decydują o tym, że podejmujemy decyzję o zakupach. Mechanizm nie działa metodycznie, tylko spontanicznie. „Impulse buyer" – marketing już dawno opracował, jak to działa. Nie ma możliwości porównania produktów ani przymierzenia? To nie szkodzi. System działa, bo potencjalni klienci sami nawzajem nakręcają się do kupna. Widzisz, że ktoś coś kupił, chcesz mieć to samo. Nie jesteś przecież gorszy ani biedniejszy.

Sprzedawać może każdy. Wystarczy stworzyć na Facebooku wydarzenie i przyciągnąć jak najwięcej osób. Udostępniać na grupach publicznych. A jeszcze lepiej, gdy w roli sprzedawcy jest znana osoba, influencer, gwiazda. Klient czuje wtedy swoją ważność i staje się częścią całego przedsięwzięcia. Tak jakby sam zagrał w filmie. Kto nie kupiłby ekspresu od George'a Clooneya? Zegarka od Kate Winslet? Raczej trudno byłoby wielkie gwiazdy namówić na udział w takiej akcji, ale to nic – Internet ma w zanadrzu tysiące internetowych celebrytów, którzy wietrząc okazję do zarobku, zgodzą się na wszystko.

CHIŃSKIE SZALEŃSTWO

Największymi neofitami i entuzjastami nowego systemu są na razie Chińczycy, zwłaszcza ich młodsze pokolenie. I na nich liczy marketing. Kraj jest ogromny, nie wszędzie można dotrzeć do centrów handlowych, apetyt na konsumpcję nie maleje.

Na sprzedaż na żywo najbardziej stawiają firmy z branż takich jak kosmetyki czy elektronika.

Nawet jeśli przyjąć, że nabywcami będą tu tylko ludzie młodzi, tzw. early adopters (wychwytywacze nowości), to i tak w roku 2025 oczekuje się, że sprzedaż w systemie live shopping osiągnie wartość 647 mld dol. Istotny udział będzie w tym miała platforma Taobao Live, utworzona przez sklep internetowy Alibaba w roku 2016.

Stany będą gonić chińskiego rywala. Live shopping rozwija się tam obiecująco, chociaż na razie liczby w porównaniu z Azją nie są porywające. W tym roku oczekuje się tam sprzedaży o wartości 32 mld dol. To nic w porównaniu z Chińczykami, ale kto pamięta, z jakim opóźnieniem, nawet w porównaniu z Polską, Amerykanie przyjęli komórki, uwierzy, że i ta nowość przyjmie się w wielkim kraju.

Telezakupy były wciągające, ale w porównaniu z live shopping ich moc rażenia była mizerna

To doświadczony i bogaty kraj wolności handlu, gdzie zakupy przez Internet są powszechne. Moi kuzyni w stanie Nowy Jork kupują przez Amazon artykuły spożywcze – dostawa tego samego dnia, a system zwrotów działa bezbłędnie. Terytorium jest duże, pieniądz ma dużą siłę nabywczą, szwindle internetowe są skutecznie ścigane. Amerykańskie firmy inwestują w nowe medium, które wydaje się być pewnikiem przyszłości. Jedną z wielu firm ścigających się o wejście na rodzący się rynek zakupów na żywo w Stanach Zjednoczonych jest popularny w USA sklep internetowy odzieży nowej i używanej Poshmark.

A w Polsce? Trend rozwija się na razie śladowo, głównie na Facebooku, Instagramie, TikToku. Jak dotąd nie słyszałam o kimś, kto by coś kupił w ten sposób.

Pozostaje kwestia: Czy nasze życie już w całości przeniesie się przed ekran? Komputer w dzień, wieczorem film w streamingu. Nawet mała przechadzka do sklepu w realu czy do centrum handlowego stanie się anachronizmem? Takie czasy nadchodzą – jak widać – nieuchronnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b2ee8dcb6b

AUDI A5 AVANT 2.0

FOT. JAP

Najnowsza generacja A5 ma szansę przekonać część kierowców do porzucenia planu zakupu kolejnego SUV-a i zdecydowania się na o wiele atrakcyniej wyglądające kombi, które jest niemal tak samo praktyczne, a prowadzi się zdecydowanie lepiej niż jakikolwiek SUV ze stajni Audi.

Nowa A-piątka (czyli dawna A-czwórka w nowej skórze) przyciąga wzrok dynamicznie zarysowaną, muskularną sylwetką, łączącą w sobie cechy luksusowego coupe typu shooting brake, eleganckiego liftbacka oraz zaawansowane, niemieckie technologie (w tym naprawdę dopracowane reflektory z technologią Matrix LED oraz trójwymiarowy pas świetlny z tyłu auta).

Nowa A5 nie tylko nieźle wygląda, lecz także pozwala na komfortowe podróże, zachowując jednocześnie nieco sportowej werwy i dając kierowcy frajdę z prowadzenia. Wydaje się, że konstruktorzy z Ingolstadt starali się stworzyć auto, które stanowiłoby kompromis pomiędzy komfortowym Mercedesem klasy C a dynamicznym BMW serii 3. I nawet nieźle im się to udało. 204 KM generowane przez dwulitrowy, turbodoładowany silnik benzynowy pozwalają mierzącej 4,8 m A-piątce na sprint od zera do setki w ciągu 7,8 s. Naprawdę można się już pobawić. Maksymalny moment obrotowy to 340 Nm, a maksymalna prędkość wynosi 214 km/h. Auto współpracuje z siedmiobiegową, dwusprzęgłową automatyczną skrzynią biegów, która w większości przypadków pracuje bez niepotrzebnych szarpnięć. Również apetyt na paliwo jest umiarkowany. Poza miastem na trasach krajowych i ekspresowych średnie spalanie wynosi 6,9 l/100 km. W mieście trudno jest jednak zejść poniżej 10 l/100 km.

W kabinie rządzi minimalizm połączony z najnowszymi technologiami. Wyraźnie dominuje panoramiczny ekran Audi MMI, składający się z 14,5-calowego ekranu dotykowego oraz wirtualnego kokpitu (o przekątnej 11,9 cala). Fotele są wygodne i zapewniają dobre podparcie boczne podczas dynamicznego pokonywania serpentyn. Rozczarowuje nieco jakość niektórych elementów wykończenia, nie wszystkie części zostały właściwie spasowane, co w aucie klasy premium zdarzać się nie powinno. Lepiej mógłby również działać system rozpoznawania znaków oraz system utrzymania na pasie ruchu (zaśnieżone pobocza uznaje za ciągłą linię).

Miejsca jest sporo zarówno z przodu, jak i na tylnej kanapie, choć trzeba pamiętać zarówno o opadającym dachu (bardzo wysokich pasażerów lepiej wozić z przodu), jak i o masywnym tunelu środkowym, który ogranicza miejsce na nogi osobie siedzącej pośrodku. Bagażnik ma 448 l pojemności, a po złożeniu tylnej kanapy można go powiększyć do 1369 l.

Najtańsze Audi A5 Avant kosztuje 188,6 tys. zł (ma wówczas moc 150 KM, a od zera do 100 km/h przyspiesza w 9,8 s). Wersja z silnikiem o mocy 204 KM została wyceniona na co najmniej 219 tys. zł, a na kupno benzynowej odmiany A5 Avant z napędem na wszystkie łapy trzeba przeznaczyć 224,3 tys. zł. Nowa A-piątka jest też dostępna w wersji z oszczędnym silnikiem TDI (wówczas ceny zaczynają się od 227,4 tys. zł). ©℗

KAMERA NETATMO ADVANCED

Fantastyczny design, wysoka jakość obrazu, kąt widzenia 130 stopni, dbałość o prywatność użytkowników oraz brak opłat abonamentowych – to największe zalety najnowszej kamery wewnętrznej francuskiej firmy Netatmo.

Kamera Netatmo Advanced wygląda świetnie, a jednocześnie dyskretnie wtapia się w wystrój wnętrza, nie krzycząc wszem wobec: jestem kamerą. Można ją postawić na biurku lub blacie w kuchni, powiesić na suficie w korytarzu lub na ścianie przy schodach. Kąt widzenia kamery wynosi 130 stopni, więc jest ona w stanie zobaczyć już sporo. Nagrania w rozdzielczości 2K są rejestrowane z prędkością 30 kl./s.

Bardzo ważną zaletą testowanego urządzenia jest również dbałość francuskiej firmy o prywatność użytkowników. Nowa kamera wykorzystuje technologię rozpoznawania twarzy: potrafi rozpoznać, że wróciliśmy już do domu, i automatycznie zatrzymać monitorowanie. Aby zaś dać użytkownikom pewność, że nikt ich nie podgląda, gdy kamera przestaje obserwować wnętrze, obiektyw automatycznie zostaje przysłonięty. Wystarczy więc rzut oka na przesłonę na obiektywie, aby mieć pewność, że to, co się dzieje w domu, zostaje w domu. Super!

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Co więcej, zapisane na karcie pamięci (jest dołączona w zestawie) materiały nie tylko są szyfrowane, lecz także ich przetwarzanie odbywa się wyłącznie lokalnie. Innymi słowy: żadne nagrania nie trafiają do chmury, z której mógłby je pobrać jakiś wścibski haker.

Urządzenie zasługuje również na pochwałę za dopracowane algorytmy, dzięki którym rozpoznawanie twarzy działa naprawdę dobrze, a liczba fałszywych alertów jest zredukowana do minimum.

Konstruktorzy z Netatmo wyeliminowali też kilka ważnych minusów kamery wewnętrznej pierwszej generacji. Po pierwsze, urządzenie obsługuje już oba pasma wi-fi (czyli 2,4 GHz oraz i 5 GHz), zostało także uzbrojone w obsługę technologii MIMO, co ma istotny wpływ zarówno na zasięg i stabilność połączenia, jak i na jakość transmisji. Po drugie, najnowsza kamerka od Francuzów nie tylko potrafi słuchać (ma dwa mikrofony), lecz także można przez nią mówić. Jest bowiem wyposażona w głośnik (80 dB).

Przy okazji premiery kamery Netatmo Advanced w ofercie tej firmy pojawiły się też adaptery pozwalające na zasilanie PoE (Power over Ethernet).

Minusy? Wysoka cena, która wynosi aż 1139,99 zł. ©℗

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl b2ee8dcb6b

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Baszta koło dworu

Pisałem już, że prawie każdy dwór w XVII i na początku XVIII w., w województwach wschodnich Rzeczypospolitej, był małą twierdzą, zwaną zresztą fortalicjum; otoczoną wałami, ostrokołami lub parkanami, czyli murami z drewna. Każdy też, choćby na zaścianku, miał basztę, czyli wieżę, której nie należy mylić z opisywanym przez nas wcześniej lamusem. Lamus często stanowił pozostałość po mieszkaniu przodków – dworze wieżowym lub nawet wieży rycerskiej. Baszta zaś zbudowana była dla obrony i splendoru. Zwykle było ich kilka, były oczywiście elementem całego obwodu obronnego.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Marcin Madaliński, starosta przemyski, zmarły w 1668 r. – jak przekazuje Władysław Łoziński – miał przy dworze w swojej wsi Drozdowicach aż pięć takich wież na wysokim wale. Jedna była na rogu od pola, z drzewa jodłowego, okrągłego, to znaczy wybudowana z dyli, to jest – mówiąc dzisiejszym językiem – okrąglaków. Druga na przeciwległym rogu fortalicjum – również z drzewa, ale heblowanego, czyli z czworokątnej w przekroju tarcicy. W środku mieściło się mieszkanie. Trzecia baszta wjazdowa była najbardziej okazała. Miała „dwoje wrót wielkich, ćwiekami nabijanych na sporych czopach żelaznych, z wrzeciądzami potężnymi do zamykania". Na obu wrotach tej wieży połączonych tragarzami, to jest wielkimi i ciężkimi belkami konstrukcyjnymi, znajdowało się piętro, czyli izba o pięciu dużych oknach, wysokich na pięć łokci, czyli ponad 2,5 metra! Szerokich zaś na ponad 1,5 metra. Zupełnie jak dzisiejsze panoramiczne szyby w domach. W oknach tych znajdowały się oprawione w ołów weneckie szyby, co znaczyło, że można było przez nie w miarę normalnie wyglądać, jak przez dzisiejsze szkła, a nie tylko że przepuszczały mętne światło. Dach był podwójny, łamany, jak na dworze, pokryty gontem i mający na szczycie powietrznik, czyli obracającą się żelazną chorągiewkę. Piąta baszta zbudowana była na sposób pruski „w glinę", czyli była to konstrukcja szkieletowa z belek wypełnionych chruścianą plecionką wylepioną gliną. Podobne sposoby budowania domów znane są dziś z Pomorza i Kaszub, gdzie jednak wypełnienie między balami to zwykle była cegła. Co ciekawe, ta jedna baszta miała jeszcze na sobie mniejszą „baszteczkę", do której wiodły dębowe schody.

Jak pisze Łoziński: „Każdy tylko zapalniejszy szlachcic, choćby jednowioskowy, starał się mieć na domostwie swoim basztę". Gdzie jej nie było, tam chłopi odprawiali warty na dachu dworu, śpiewając, trąbiąc lub dmąc w piszczałki na znak czujności. Łatwo można sobie wyobrazić taką scenę: chłopów siedzących w środku nocy na dachu dworu. Czasem zdarzało się, jak w Pisarzowicach w ziemi sanockiej, gdzie inwentarz z 1645 r. podaje, że chociaż dwór był bardzo biedny, bo częściowo zbudowany z chrustu wylepionego gliną, to jednak miał basztę, zapewne tej samej konstrukcji. Wysoką na prawie 7 metrów, ze strzelnicą na górze, mającą sześć okien.

Jak podaje Gloger, samo słowo „baszta" przyszło do nas z niemieckiego lub z włoskiego, gdyż w tych językach zwie się odpowiednio: bastie lub bastia. Po rusku i litewsku zaś – bakszta i boksze, co świadczy, że prawdopodobnie określenie to przyszło do Wielkiego Księstwa z języka polskiego. Być może zresztą słowo zapożyczone zostało od Czechów, u których brzmi tak samo – baszta.

Baszty dworskie bywały często ozdobnymi bramami do dworów. Gloger podaje, że w Dudziczach na Litwie na dziedziniec pomieszkania wojewody witebskiego, Prozora, wjeżdżało się przez ogromną bramę przypominającą drewniany spichlerz. W Paplinie nad Liwcem baszta bramna była tak duża, że miała mieszkania po obu stronach, facjatę nad bramą i wieżyczkę z zegarem na dachu. Z wyglądu sama w sobie przypominała dwór, tak była szeroka i wysoka.

Niestety, pod koniec XIX w. zniszczył ją kompletnie pożar. W Paplinie przetrwał jednak na szczęście drewniany dwór rodziny Glinków, od 1760 r. własność Jana Garczyńskiego, skarbnika drohickiego; kilkakrotnie bywał tutaj nieszczęsny król Staś Poniatowski. Obiekt przypominający o czasach dawnej Rzeczypospolitej charakterystyczny jest dzięki dobudowanemu w XIX w. murowanemu gankowi, w otoczeniu znajduje się doskonale zachowany kompleks zabudowań dworskich: spichlerz, oficyna, kuchnia dworska, która często z powodu zagrożenia pożarem znajdowała się poza dworem, stajnia i kaplica. ©℗

eprasa.pl b2ee8dcb6b

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Zmienia życie

Tofu to nic innego jak sojowy twaróg, który powstaje z mleka sojowego w procesie koagulacji. Jest to podobny proces do tego, w którym powstaje ser krowi. Tofu jest jednym z podstawowych składników kuchni azjatyckiej – bogatej w ostre przyprawy i różnego rodzaju sosy. Dzięki temu, że nie ma ono konkretnego smaku, a właściwie nie ma smaku w ogóle, doskonale absorbuje smaki i zapachy przypraw oraz innych produktów.

Właściwie każdy azjatycki kraj ma swój oryginalny przepis na tofu. Historia zaczyna się w VII w. w japońskich buddyjskich klasztorach, gdzie jadano tofu jako dodatek do zup. Dopiero później zyskuje ono większą popularność i trafia na stoły mieszczan i klasy niższej, czyli chłopów. Tofu możemy przyrządzać na wiele sposobów – przede wszystkim smażyć, dusić i gotować, a nawet przygotowywać z niego słodkości! Przed zakupem warto zwrócić uwagę na to, jaki rodzaj tofu kupujemy. Zazwyczaj dostępne są dwa rodzaje tofu: wędzone i naturalne. Naturalne jest bardziej wszechstronne i możemy je wykorzystać do wielu dań, wędzone – raczej do wytrawnych. Co najważniejsze, przed przygotowaniem dań wytrawnych możemy tofu jeszcze zamarynować, aby nabrało konkretnego smaku. Organizm ludzki potrzebuje białka, aby dobrze funkcjonować, a tofu ma go aż 10 g na 100 g. Dzięki temu doskonale zastępuje mięso – jest zatem idealne dla osób, które nie jedzą mięsa. Soja jednak to roślina modyfikowana genetycznie, więc korzystajmy z niej z umiarem. Życząc państwu smacznego, podajemy przepis na tofu zmieniające życie – takie, po którym już nic nie będzie takie samo.

FOT. ADOBE STOCK

Tofu

Składniki na 2 porcje:

• 2 kostki tofu naturalnego • 2–3 łyżki mąki ziemniaczanej • olej do smażenia • 3–4 łyżki sosu sojowego • 1/3 szklanki wody • 3 łyżki miodu lub syropu klonowego • 2 łyżeczki czosnku mielonego • 2 łyżeczki imbiru mielonego (możemy go zastąpić kawałkiem tartego świeżego imbiru) • odrobina soli i pieprzu do smaku

Tofu kroimy w kostkę, wkładamy je do woreczka, dosypujemy do środka mąki ziemniaczanej i potrząsamy workiem, tak aby tofu obtoczyło się z każdej ze stron.

Rozgrzewamy olej na głębokiej patelni i smażymy tofu z każdej ze stron ok. 3–4 min. Panierka musi mieć złoty kolor. Zalecamy, aby smażyć tofu partiami i cierpliwie czekać, aż każda strona się dokładnie przyrumieni. Odkładamy tofu na papier, tak aby odsączyć olej.

Przygotowanie sosu:

Wodę musimy wymieszać z syropem. Dodajemy sos sojowy, imbir, czosnek. Sos podgrzewamy, aby go trochę odparować. Dodajemy tofu. Musimy podsmażyć jeszcze wszystko razem. Podajemy z makaronem ryżowym lub ryżem. Posypujemy zieloną cebulką. ©℗

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Garnek jako przedmiot kultu

Dowiedziałam się od znajomych, że Thermomix, robot gotujący firmy Vorverk, jest symbolem statusu w grupie wiekowej 30+. Dziwne – pokolenie uchodzące za kapryśne, egocentryczne i roszczeniowe, zarazem zmagające się z problemami mieszkaniowymi i brakiem pracy, stanowi większość klientów modnych restauracji.

Po co jeszcze gotować w domu? A jednak ci 30-latkowie ekscytują się maszynką, która niby sama gotuje, jak jej się wrzuci odpowiednie składniki i wyda odpowiednie polecenia oraz wybierze przepis z Internetu.

Przedmiotu pożądania nie można kupić w normalnym sklepie, można go zdobyć w sprzedaży sieciowej, tak jak kiedyś płyn do zmywania Amway czy odkurzacz Rainbow. Zabawka kosztuje kilka tysięcy. Widocznie marketing wymyślił, że im coś jest trudniejsze do zdobycia, tym bardziej się tego pragnie. To akurat prawda.

Ale nie to mnie zdziwiło. Zdumiało mnie, kiedy zobaczyłam, jak wygląda premiera nowego modelu Thermomixa TM7, która właśnie się odbyła. Pokazały to nasze media ekscytujące się gotującym gadżetem jak jakimś cudem z innej galaktyki... Sala, w której zebrali się goście imprezy, ma przyciemnione światło, na ekranie wyświetla się nowy przyrząd. Tłum liczący na oko ok. tysiąca osób kołysze się, wiwatuje i śpiewa piosenkę „Can you feel the love tonight" z filmu „Król Lew". Ekstaza po prostu.

Czy ta ekscytacja gadżetem to sekta? A może tylko choroba wieku dziecięcego, która minie, bo za dwa, trzy lata ten gadżet będzie musiał ustąpić miejsca nowemu? Marketing jest od tego, żeby zadbać o aplauz. Najpierw wokół nowości stworzyć narrację. Przygotować klienta na pojawienie się nowości, podkręcać nastrój oczekiwania, a jak już gadżecik się pojawi, zbudować wokół niego fanklub oklaskujący i lajkujący.

„My nie sprzedajemy przedmiotów, sprzedajemy marzenia" – powiedział kiedyś Robert Polet, kiedy był szefem Gucci Group. Marketing mamy świetnie wyszkolony, wyrósł na takich bajeczkach.

„Thermomix stał się wyznacznikiem przynależności do klasy średniej, ale do wyższej klasy średniej. Kiedy wychodzi nowy model, posiadacze poprzednich wersji czują, że już im one nie wystarczają, choć prawdopodobnie by starczyły. Justyna Ratajczak z marketingu Małkowski Martech w rozmowie z Wirtualnymi Mediami przyznała, że urządzenie to tworzy pewnego rodzaju kult".

Ten cytat to za Onetem, więc błąd logiczny w pierwszym zdaniu nie dziwi.

Pan Polet zaś byłby dumny ze swoich uczniów. A choć oni nie mają pewnie pojęcia o jego istnieniu, to jest to ta sama szkoła. ©℗

eprasa.pl b2ee8dcb6b

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Ani Jałta, ani Monachium

Jedni gadają, że to, co się dzieje, to nowa Jałta, drudzy – że Monachium. Kolejne dogadywanie się mocarstw bez nas to nowa architektura geopolityczna na stałe i wtedy mowa jest o nowej Jałcie. Natomiast Monachium 2.0 odnosi się do przypadku Neville'a Chamberlaina. Polityk ten przywiózł Europie pokój na kartce, który i tak jej nie uratował przed wojną. Może dał tylko Zachodowi trochę czasu na przygotowanie się do starcia, podczas kiedy to my wykrwawialiśmy się na frontach. Z tym że to teraz chyba tak nie będzie. Nie widać, żeby zachodnia Europa dostała jakiegoś przyspieszenia w przygotowaniu się na dogrywkę – prędzej wysyła płaczliwe supliki do odsądzanych do niedawna od czci i wiary Amerykanów.

Ale biorąc nawet wersję optymistyczną – że się Europa jednak ogarnie i sama będzie sobie chciała zapewnić podstawowe bezpieczeństwo – to i tak wychodzi słabo. Amerykanie zadeklarowali, że podstawowe bezpieczeństwo to robótka europejska. Może nam tylko pozostawią w Europie parasol atomowy dla osłody. To zaś oznacza, że do czasu użycia przez Rosję broni nuklearnej USA nie będą się wtrącały, czyli do formuły kinetycznej wojny konwencjonalnej Europejczycy muszą się ogarniać sami. A to będzie nas kierowało do powrotu do odgrzewanej od okazji do okazji idei armii europejskiej.

Widać tu kilka szans i zagrożeń. Szanse są takie, że to głównie kraje Europy Środkowo-Wschodniej, wraz z nowo przybyłymi Skandynawami, same się ogarnęły, nie patrząc na „europejskie" NATO. Niemcy – wiadomo – będą ryły pod tym projektem, bo im się marzy powrót do ideału współpracy z Kremlem, którego warunkiem była, pilnowana przez Niemcy, demilitaryzacja Europy. Przyciągnąć trzeba zasoby Unii Europejskiej, bo – popatrzmy – na zielone łady, zrównoważone rozwoje, tęczowość to się Unia ochoczo zapożyczyła, a na bezpieczeństwo nie ma chęci. Trzeba by tylko przekonwertować tę kasę na realne potrzeby wynikające z zagrożeń. Europa mogłaby się stać wreszcie jakimś poważnym graczem w produkcji infrastruktury bezpieczeństwa. Na własny użytek.

Ale do tego trzeba, również w Polsce, innych władz. Te stare siedzą jeszcze w wygodnym paradygmacie pasażera na gapę, gdzie Stany dawały bezpieczeństwo, a za zaoszczędzone pieniądze Europa się mogła bawić w socjal, pukając się w głowę, że Amerykanie tak zasuwają na dwóch etatach. To se ne vrati. Drugi warunek to budowanie własnej siły, a nie liczenie, że nam się omsknie, że wystarczy się zapisać do sojuszy, to te nas obronią. Bo siła sojuszy zależy od siły jej członków, nie zaś od tego, że ktoś się podczepi pod silniejszego i przebimba tak ze 30 lat. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Dotacje zamiast misji

Pakt migracyjny i jego wdrożenie stają się jednym z głównych tematów kampanii wyborczej nie tylko w Polsce. Choć premier Tusk zarzeka się, że nie będzie zgody rządu na przyjmowanie azylantów, to Olaf Scholz w debacie wyborczej przyznał, że wymusił na sąsiednich krajach odsyłanie im uciążliwych „gości". Jednocześnie mamy coraz więcej sygnałów, że przygotowania u nas do przyjęcia egzotycznych przybyszów trwają pełną parą. Aktywnym podmiotem jest w tym procesie Kościół katolicki. Według komunikatu na stronach Samorządu Województwa Mazowieckiego Caritas prowadzi już 28 centrów integracji cudzoziemców. Jak zapewniają przedstawicie Caritasu, centra nie są hostelami, świadczą jedynie pomoc prawną, językową, m.in. organizując najróżniejsze kursy. W połowie lutego Caritas Polska była współorganizatorem wizyty Komitetu do spraw Migracji Organizacji Pozarządowych Rady Europy, której celem było „przede wszystkim dogłębne zbadanie kwestii zakwaterowania i dostępu do podstawowych praw dla osób przesiedlonych". Czy zatem kolejnym zadaniem Caritasu nie będzie właśnie zapewnienie zakwaterowania? Przecież dach nad głową jest „podstawowym prawem osób przesiedlonych".

Tak czy inaczej organizacje kościelne włączyły się w operację, którą trudno pogodzić z misją Kościoła. Mamy wystarczająco dowodów na to, że napływ do Europy młodych mężczyzn z krajów obcych nam kulturowo tylko w niewielkim stopniu jest wynikiem wojen. Większość przybywa zwabiona obietnicą łatwego życia na koszt państw bogatej Europy. Ale nie tylko. Proces ten jest aranżowany i stymulowany przez organizacje działające na pograniczu prawa, współpracujące z przemytnikami ludzi. Sytuacja na białoruskiej granicy jest tylko potwierdzeniem sterowania masową migracją. Kościół nie może uchylać się od rzetelnej, moralnej oceny tego zjawiska. Po pierwsze, odpływ młodych, silnych ludzi z krajów rozwijających jest zubożeniem tych społeczeństw. Po drugie, wraz z migrantami do naszych miast importujemy chaos, rozpad więzi społecznych, choroby i biedę. Żyjemy w lęku przed zamachami, obserwujemy wzrost przestępczości. W wielu europejskich miastach mamy już pełzającą wojnę domową. Raport Centrum Myśli Gospodarczej według danych z Holandii pokazuje, że zważywszy na wszystkie koszty, bilans ekonomiczny masowej migracji jest niekorzystny.

Czy zatem autoryzowanie tej operacji przez Kościół jest moralnie usprawiedliwione i zgodne z jego misją? Sprawdziłem cele i zadania, które w centrach integracji realizować ma Caritas. Rozmawiałem też z jednym z diecezjalnych dyrektorów. W programie działań nie ma nic o ewangelizacji. Ani słowa o głoszeniu im Jezusa Chrystusa. ©℗

eprasa.pl b2ee8dcb6b

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Państwo z trocin

A może on jest mistrzem zen? Przetoczyły się ogólnopolskie chichy z Tuska, bo gdy na świecie działy się wydarzenia o ciężarze gatunkowym, to premier ziemniaki obierał. Stop. Mniejsza z tym, że skrobał je w salonie, na dywanie i w bluzie wartej pół emerytury niejednej emerytki. Problem w tym, że on powinien raczej jakieś relacje nawiązywać, np. z nową administracją Trumpa. Tymczasem siedział i ziemniaki skrobał. Stop. Inna sprawa, że może ta administracja nie za bardzo chce z Tuskiem, gdyż miał on wypowiedzi o prezydencie USA dalece pozbawione mądrości. Stop. Tymczasem premier siedział i ziemniaki skrobał. Stop. Jest takie zalecenie w filozofii zen: „Rąb drewno, noś wodę". Stop. To zalecenie wskazujące na konieczność podejmowania nawet prostych działań fizycznych dotyczy zarówno oświeconych, jak i czekających na oświecenie. Drewna nie bardzo jest gdzie i na co rąbać, wodę niby po co i komu nosić, ale ziemniaki można przecież poskrobać. Siedzi więc Tusk i skrobie, czekając na oświecenie. Stop. I my także czekamy...

Minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz przyznał, że nie za bardzo wiedział, iż na teren Polski spadną szczątki rakiety Elona Muska, ponieważ Polska Agencja Kosmiczna wysłała ponoć ostrzeżenie o tym fakcie na stary e-mail ministerstwa. Stop. Brzmi jak głupawy żart? Stop. Owszem, ale niestety to nie żart, to po prostu państwo z trocin. Stop. Pytanie: Czy gdyby doszło do wojny, to nasze Ministerstwo Obrony dowiedziałoby się o tym następnego dnia z gazet?

Kolejny hit z gatunku „salto moralne oraz umysłowe" opublikowała „Gazeta Wyborcza". Stop. Amerykańska lewaczka i demokratka Kim Lane Scheppele, zajmująca się m.in. Węgrami i Polską, napisała tekst pod leciutko bolszewickim tytułem „Zaślepiona legalizmem Komisja Wenecka zbłądziła w ostatnich opiniach w sprawie Polski". Stop. Komisja Wenecka, która była dla Tusków, Bidenów, Scholzów, von der Leyenów krynicą mądrości, punktem odniesienia i wielkim oraz ostatecznym interpretatorem prawa, już się lewym demokratom nie podoba, gdyż skrytykowała działania rządu Tuska dotyczące polskich sędziów. Stop. Według tej komisji żadnych neosędziów nie ma i basta, i nie można z nimi niczego kombinować. Stop. Tytuł artykułu z owym „zaślepieniem legalizmem" oznacza po prostu szanowanie przez komisję prawa. Stop. Scheppele, która jako lewacki profesor socjologii krytykowała zajadle Orbána i Trumpa za nieprzestrzeganie procedur, teraz nie ma już skrupułów i słów krytyki – przeciwnie. Stop. Kibicuje łamaniu prawa, bo…? Stop. Bo w Polsce przy władzy znaleźli się ci, których lewa demokratka i „Wyborcza" lubią. Stop. A prawo i zasady? Stop. Uśmiechamy się, uśmiechamy. ©℗

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Świat złapał katar

Kolejne polskie instytucje skarżyć się zaczynają na zablokowanie przez Donalda Trumpa amerykańskich programów rozdzielających granty z USAID. Swój proces cyfryzacji wstrzymać musiał „Tygodnik Powszechny", kilku projektów nie zrealizuje też „Krytyka Polityczna". „Decyzja Donalda Trumpa o wstrzymaniu amerykańskiej pomocy dla organizacji zagranicznych rozlewa się szeroko i dotyczy także nas" – poskarżyła się współzałożycielka Kultury Liberalnej, dziennikarka Karolina Wigura. Wraz z mężem, również znanym dziennikarzem, Jarosławem Kuiszem, zwalczają oni zgodnymi piórami „narodowe trendy populistyczne". Teraz wobec wstrzymania amerykańskich grantów Karolina Wigura prosi na Facebooku o solidarność i wsparcie. „Pokażmy, że jesteśmy razem, wobec tego zamachu na niezależne i wolne media" – kończy się jej apel o pomoc.

O wiele bardziej dramatyczne konsekwencje wywołała decyzja Donalda Trumpa w wielu krajach Afryki. BBC poinformowało o nich w obszernym reportażu zatytułowanym „Moja żona boi się seksu. Ja boję się śmierci. Skutki zamrożenia programów USAID". Jednym z bohaterów tekstu jest Mike Tusubira, zakażony wirusem HIV kierowca motocyklowej taksówki z Ugandy. Po zamrożeniu grantów USAID stracił on dostęp do darmowych leków i prezerwatyw. Jego małżeństwo niebawem legnie w gruzach. „Bez prezerwatyw i nawilżaczy, bez środków profilaktycznych nasze małżeństwo nie ma szans. Żona ode mnie odejdzie, bojąc się zakażenia. Unikając kontaktów, nie utrzymamy małżeństwa. Przyjdzie mi wrócić na wieś i żyć samemu" – skarży się zrozpaczony Mike Tusubira dziennikarzowi BBC.

Nagłe przerwanie terapii przez tysiące afrykańskich nosicieli wirusa HIV skończyć się może dla Czarnego Lądu tragicznie. Szacuje się, że odcięcie amerykańskiej pomocy w tej dziedzinie skazać może na śmierć w ciągu pięciu najbliższych lat 6 mln Afrykanów.

Dla wielu innych środowisk dotowanych dotychczas z funduszy USAID nagłe zakończenie pomocy oznaczać może kres dotychczasowego dostatku. Rozmaite organizacje zrzeszające aktywistów LGBT i promujące wśród Afrykanów idee płynności płciowej stają właśnie w obliczu bankructwa i zakończenia działalności. Rozpaczliwie brakuje też prezerwatyw, lubrykantów i rozmaitych akcesoriów erotycznych rozdawanych dotychczas na prawo i lewo na koszt amerykańskiego podatnika. Wielu Afrykanów i Afrykanek zdążyło się już do nich przyzwyczaić.

W porównaniu z bolączkami Afryki problemy polskich beneficjentów USAID wydawać się mogą oderwane od życia. ©℗

eprasa.pl b2ee8dcb6b

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Faustyna i falsyfikat ateistów

KRYSTIAN KRATIUK

W tym roku przypada 100. rocznica wstąpienia do Zgromadzenia Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia Heleny Kowalskiej znanej światu jako Święta Siostra Faustyna. Jej „Dzienniczek" pozostaje najczęściej tłumaczoną polską książką w historii.

Włodarze Krakowa oraz przedstawiciele środowiska artystycznego spod Wawelu postanowili przypomnieć o świętej w swoim stylu – spektaklem teatralnym wystawionym w jednej z miejskich placówek kultury. Wszak to właśnie do Krakowa każdego roku pielgrzymują setki tysięcy ludzi z całego świata, by odwiedzić miejsce śmierci polskiej mistyczki i jeden z namalowanych według jej instrukcji wizerunków Chrystusa. Spektakl „Faustyna. Falsyfikat" wystawiony w Łaźni Nowej, chociaż korzysta z wizerunku oraz twórczości zakonnicy, to nie oddaje jej szacunku. Jest kolejnym wykwitem popularnej wśród dzisiejszych artystów potrzeby dekonstrukcji.

Ale nie jest to też proste bluźnierstwo – choć, owszem, można znaleźć tam również sceny po prostu oburzające. No ale ile można bluźnić? Ile lat można liczyć na poklask widowni wyłącznie poprzez antykatolicką prowokację? To byłoby już zbyt proste. Autorzy tego przedstawienia postanowili pójść w innym kierunku.

Czym zatem jest ów spektakl? To ateistyczne odczytanie „Dzienniczka", a raczej tych jego treści, które mówią o miłości siostry Faustyny do Zbawiciela, i tych, w których Chrystus zaświadcza o swej miłości do człowieka.

Skąd przeświadczenie, że jest to wizja ateisty? Otóż sądzę, że tylko człowiek niemający pojęcia o tym, czym jest miłość według chrześcijaństwa, czym jest miłość Chrystusa, a także czym jest w perspektywie wiary naturalna dla ludzi potrzeba bliskości, ciepła, zrozumienia, zaufania, trwania w jakiejkolwiek relacji, może tak infantylnie sprowadzać to wszystko do erotyki. A na tym właśnie opiera się recepcja „Dzienniczka" przez autora tekstu Mariusza Gołosza i reżyser Ewę Galicę. I to jest właśnie prawdziwy falsyfikat – sprowadzenie Bożej miłości oraz miłości do Boga do spraw płytkich, do biologicznych popędów.

Spektakl „Faustyna. Falsyfikat", choć korzysta z wizerunku oraz twórczości zakonnicy, to nie oddaje jej szacunku. Jest kolejnym wykwitem popularnej wśród dzisiejszych artystów potrzeby dekonstrukcji

I właściwie mógłbym zakończyć na tym ten felieton, ale refleksja nie byłaby wówczas pełna, a być może nawet pozostawałaby daleka od uczciwości. Muszę bowiem przyznać, że spektakl docenia rolę miłości w życiu człowieka, również miłości nieerotycznej. Pokazuje trudne boje kochających się ludzi z codziennością, ukazuje niepohamowaną walkę o bycie kochanym, cenionym, nieopuszczonym, zaopiekowanym.

Autorzy, najpewniej pozbawieni wiary, ale nie mający chyba specjalnie bluźnierczych ambicji, wskazują na wiele doniosłych kwestii, wyciągając wnioski właśnie z lektury „Dzienniczka", często cytując całe jego passusy in extenso, bez złośliwości, a nawet z dostrzegalną atencją.

Czy można odczytywać to – mimo wyraźnej, dość żenującej i w gruncie rzeczy artystycznie niepotrzebnej erotycznej prowokacji – jako pierwiosnki dobra, pierwiastki prawdy, elementy życzliwości?

Moim udziałem stało się dość niezwykłe doświadczenie – spotkałem wśród widzów dość sporą grupę osób nastawionych do Kościoła bardzo negatywnie. Widać i słychać było to w reakcjach publiczności na przedstawione na scenie elementy z życia odgrywanej tam postaci kapłana. I oto owa grupa została przez autorów skonfrontowana z rzeczywistością, której być może nigdy nie doświadczyli. Otóż w pewnym momencie aktorka, grająca młodą adeptkę malarstwa, klęka na kolana i przez niemal kwadrans recytuje… Koronkę do Bożego Miłosierdzia. Nic innego na scenie wówczas się nie dzieje, przez całe 15 minut. Wpatruje się w nas, w publikę, i w poruszający sposób wielokrotnie wymawia te znane wszystkim katolikom słowa.

Długo nie zapomnę reakcji publiczności. Wiercenie się, odwracanie wzroku, spoglądanie na zegarek i na siebie nawzajem. Niepokój, niepewność. Może coś więcej. Ślepy, głuchy i pozbawiony powonienia zobaczyłby, usłyszałby i wyczułby wśród nich ogromny dyskomfort, choć chwilę wcześniej zwyczajnie rechotali, gdy na scenie pojawiał się ksiądz.

Dlaczego tak się stało? Niech państwo odpowiedzą sami. ©℗

eprasa.pl b2ee8dcb6b

MONACHIUM

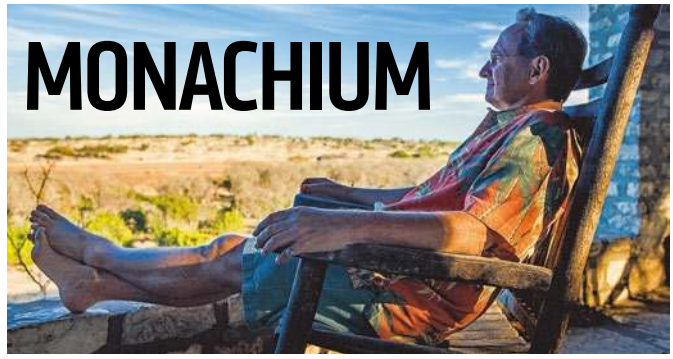

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Monachium 1936. Igrzyska olimpijskie. Jesse Owens zdobył cztery złote medale. Przedstawiciele niemieckiej Rasy Panów byli wściekli i oburzeni, gdy Murzyn z USA stawał na najwyższym podium (cztery razy!).

Z podobną reakcją spotkał się J.D. Vance, gdy stanął na podium w Monachium i wygłosił przemówienie do unijnej Rasy Panów. Byli oburzeni, gdy w imieniu USA wypowiedział kilka myśli, za które obywatele Europy są karani: „mowa nienawiści", „dezinformacja", wyroki więzienia, zakaz publikacji w sieci, demonetyzacja kanału, wykluczenie z udziału w konferencjach prasowych…

J.D. Vance przemawiał krótko, mówił twardą prawdę. Panowie Europy nie lubią słuchać prawdy. Tępią i cenzurują swoich obywateli za to, co tym razem powiedział im w twarz ktoś, kogo ukarać nie mogą. Poniżej esencja przemówienia.

***

Gromadzimy się na tej konferencji, by dyskutować o bezpieczeństwie. I zwykle mamy na myśli zagrożenia zewnętrzne. A zagrożeniem, o które najbardziej się martwię w Europie, nie jest Rosja, nie są Chiny, lecz odwrót Europy od fundamentalnych wartości dzielonych kiedyś ze Stanami Zjednoczonymi.

Uderzyło mnie, gdy były komisarz europejski wystąpił w telewizji i był ZACHWYCONY, że rumuński rząd unieważnił wybory. Groził, że jeśli sprawy nie pójdą zgodnie z planem, to samo będzie zrobione w Niemczech. Te beztroskie stwierdzenia są szokujące dla amerykańskich uszu. Przez lata wmawiano nam, że wszystko, co finansujemy i wspieramy w Europie, odbywa się w imię wspólnych wartości demokratycznych. A teraz nawet cenzura cyfrowa jest przedstawiana jako „obrona demokracji". Wielu pamięta czasy zimnej wojny. Obrońcy demokracji walczyli wtedy z despotycznymi siłami i zastanówcie się, która strona w tamtej walce cenzurowała dysydentów, zamykała kościoły i odwoływała wybory. Dzięki Bogu despoci przegrali. Gdy patrzę dziś na Europę, pytam, co się stało ze zwycięzcami zimnej wojny?

Spoglądam na Brukselę, gdzie komisarze Komisji Europejskiej grożą obywatelom, że będą wyłączać media społecznościowe w czasie niepokojów społecznych, gdy znajdą jakieś treści, które uznają za nienawistne.

Spoglądam na Wielką Brytanię, gdzie brytyjski rząd oskarżył Adama Smitha-Connora, 51-letniego weterana wojskowego, o haniebne przestępstwo: stał 50 metrów od zakładu aborcyjnego i modlił się cicho przez trzy minuty. Nie przeszkadzał nikomu, nie wchodził z nikim w interakcje, po prostu modlił się w ciszy. Brytyjskie organy ścigania zażądały informacji, o co się modli. Adam odpowiedział, że modli się za swego nienarodzonego syna, którego on i jego była dziewczyna „usunęli" wiele lat wcześniej. Adam został skazany za złamanie nowego przepisu dotyczącego „stref buforowych", który kryminalizuje cichą modlitwę w promieniu 200 m od placówki aborcyjnej.

Chciałbym móc powiedzieć, że był to przypadek jednorazowy, ale nie – szkocki rząd rozpoczął dystrybucję listów do obywateli, których domy znajdują się w tzw. strefach bezpiecznego dostępu, ostrzegając, że nawet prywatna modlitwa we własnych domach może oznaczać łamanie prawa. Rząd wezwał do donoszenia na sąsiadów podejrzewanych o popełnienie przestępstwa myślowego.

A teraz z powrotem do Monachium: organizatorzy tej Konferencji zakazali udziału w rozmowach osobom reprezentującym partie populistyczne zarówno z lewej, jak i prawej strony. Nie musimy zgadzać się ze wszystkim, co ludzie mówią, ale gdy przywódcy polityczni reprezentują ważny okręg wyborczy, spoczywa na nas obowiązek uczestniczenia w dialogu z nimi. To, co się dzieje w Europie, wygląda jak obyczaje z czasów sowieckich – wykluczanie ludzi z alternatywnym punktem widzenia, bo mogą wyrazić odmienną opinię lub, co gorsza, wygrać wybory.

To jest konferencja na temat bezpieczeństwa. Mamy ustalić, jak zwiększyć wydatki na obronę. Chciałbym jednak zapytać, w jaki sposób można w ogóle zacząć myśleć o kwestiach budżetowych, jeśli nie wiemy, czego bronimy.

Nie będzie bezpieczeństwa, jeśli boisz się głosów i opinii własnych obywateli.

Nie można zdobyć demokratycznego mandatu, cenzurując swoich przeciwników lub wsadzając ich do więzienia, niezależnie od tego, czy jest to lider opozycji, skromny chrześcijanin modlący się we własnym domu czy dziennikarz próbujący przekazać wiadomości. Nie można też zdobyć poparcia, ignorując opinie swojego elektoratu.

Ze wszystkich wyzwań, przed którymi stoją reprezentowane tu narody, nie ma nic pilniejszego niż masowa migracja. W lutym w tym mieście był zamach – osoba ubiegająca się o azyl, mężczyzna w wieku ok. 20 lat, znany policji, wjechał samochodem w tłum. Ile razy musimy cierpieć takie rzeczy, zanim zmienimy kurs?

Żaden wyborca na tym kontynencie nie poszedł do urny, aby otworzyć granice dla milionów imigrantów. Coraz więcej osób w całej Europie głosuje na przywódców, którzy obiecują położyć kres niekontrolowanej migracji. Tak się składa, że zgadzam się z nimi. Uważam, że ci ludzie dbają o swoje domy, dbają o swoje bezpieczeństwo i zdolność do utrzymania siebie i swoich dzieci.

Zadaniem demokracji jest rozstrzyganie tych ważnych kwestii przy urnach wyborczych. Uważam, że odrzucanie ludzi, odrzucanie ich obaw lub, co gorsza, zamykanie mediów, unieważnianie wyborów lub odcinanie ludzi od procesu politycznego niczego nie chroni. Żadna demokracja amerykańska, niemiecka czy europejska nie przetrwa, wmawiając milionom wyborców, że ich obawy są nieważne.

Europejscy przywódcy mają następujący wybór: przyjąć to, co wam mówią wasi obywatele, nawet jeśli się z tym nie zgadzacie – wtedy będziecie mieli mandat do rządzenia. Opór przeciw własnemu społeczeństwu doprowadzi was do klęski. ©℗

eprasa.pl b2ee8dcb6b

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

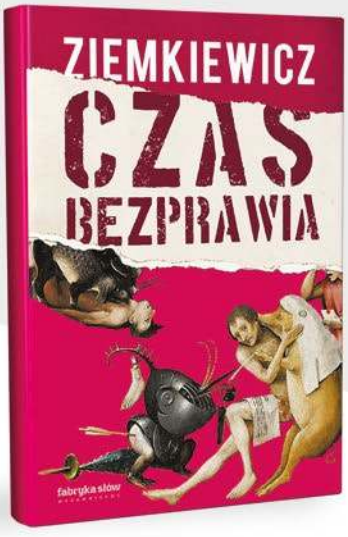

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ: „CZAS BEZPRAWIA"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1478~~ ZŁ

491,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 987ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl b2ee8dcb6b

NARODOWY BANK POLSKI

Dbamy o wartość polskiego pieniądza

Złoto Polaków
450 ton złota

dla bezpieczeństwa polskich rodzin

Polska z 450 tonami złota w rezerwach NBP znajduje się w światowej czołówce największych posiadaczy złota wśród banków centralnych, wyprzedzając m.in. Wielką Brytanię, Hiszpanię oraz Austrię i zbliża się do Europejskiego Banku Centralnego.

nbp.pl

eprasa.pl b2ee8dcb6b